

AUGUST GRABSKI
LEWICOWOŚĆ TO W III RP
POJĘCIE MGLISTEMACIEJ STUHR
NIE WYCIĄGAMY
WNIOSKÓW Z HISTORIIJAK WŁOSI OCENIAJĄ
FRANCISZKAWANDA RUTKIEWICZ
CIĄGLE MUSIAŁA COŚ UDOWADNIAĆ

Korpokapitalizm rządzi **BEZRADNE PAŃSTWA**





TARGI KSIĄŻKI W WARSZAWIE

NORWEGIA – GOŚĆ HONOROWY



Norwegia 20
Warszawa 22



26–29 maja PKiN i plac Defilad

SOLIDARNI
Z UKRAINĄ

targiksiazkiwarszawa.pl

- Targi Książki w Warszawie - wielkie święto książki i literatury
- Spotkania z gwiazdami literatury - kilkuset autorów z kraju i zagranicy
- Gość Honorowy - Norwegia - 50 wydarzeń i 30 norweskich twórców
 - Stoisko m.st. Warszawy - Zaczytana Warszawa
 - Festiwal Kryminalna Warszawa
- Dzień Reportażu z Nagrodą im. Ryszarda Kapuścińskiego
 - Bogaty program dla dzieci i młodzieży

Organizator



Gość honorowy



Patronat honorowy



Ambasada Norwegii



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



PREZYDENT MIASTA STOLECZNEGO WARSZAWY



BIBLIOTEKA
NARODOWA



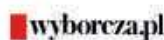
Partnerzy



Wydarzenia towarzyszące



Patronat medialny





Od kłamstwa do kłamstwa

Większość Polaków, co wynika z sondaży, popiera kolejne sankcje nakładane na Rosję. I większość, co wynika z moich obserwacji, nie wiąże tych sankcji z konsekwencjami, które będą musieli ponieść. Wierzą, że jakoś to będzie. I że państwo, zgodnie z obietnicami, wyrówna im wyższe koszty życia. Otóż nie. Nie da się tego zrobić. A wśród polityków brakuje chętnych do powiedzenia ludziom, co ich czeka, jak już pozakręcamy wszystkie kurki i uszczelnimy embargo. I wątpię, by politycy wyszli poza enigmatyczne opowieści, że wszyscy będziemy musieli zapłacić jakąś cenę za tę wojnę. Będą kluczyć i ściemniać. I atakować tych, którzy spróbują liczyć koszty sankcji po naszej stronie.

Ale ludzie już wiedzą, że przez ten kryzys nie przejdą suchą nogą. Widzą, jak rosną ceny. Jak codziennie zmienia się ich życie. Na gorsze.

Łatwiej by było to znosić, gdyby rządzący byli wiarygodni. Ale czy z premierem, który kłamie na taką skalę jak Morawiecki, jest to możliwe? A skoro premier bezkarnie oszukuje, to w jego ślady poszła armia kieszonkowych polityków i urzędników, którzy kłamią na swoich poletkach. Jak długo ten beznadziejny stan może trwać? Tu akurat odpowiedź jest dość prosta. Nie rządzą nami kosmici, w parlamencie też nie ma desantu z Marsa. Takie władze sobie z jakichś powodów wybraliśmy.

Jeszcze gorzej jest, gdy patrzymy na globalne problemy naszego pięknego, choć wstrząsanego kryzysami świata. Jakub Dymek pisze o globalnych korporacjach, które są już potężniejsze od państw narodowych. Mają tak wielką moc, że nawet amerykańskie władze są bezradne. Nic nie mogły zrobić, gdy Elon Musk kupił platformę społecznościową Twitter. Jeden człowiek ma teraz w ręku tak potężne narzędzie, że może wpłynąć na wybór prezydenta USA.

System korpokapitalizmu pozwala na gigantyczne operacje wymykające się spod kontroli państw. Wszystko jest tak zorganizowane, że przestępcy w garniturach są bezkarni. W praniu pieniędzy w rajach podatkowych, w złodziejskich obrotach nieruchomości, w funduszach powierniczych, które są wdmuszkami, w anonimowych przepływach finansowych biorą udział banki, kancelarie prawne, firmy PR, media i cała rzesza podsukujących pieniądze kradzione własnym krajom.

Czy nie ma żadnych sposobów, aby ukrócić tę gigantyczną międzynarodową korupcję? Są, ale nie ma woli politycznej. Bo skala jest porażająca. Na wielkie kwoty okradziono nie tylko Rosję i Ukrainę. W korupcyjnej czołówce są Chiny i Indie, ale też USA. A czy w Polsce nie ma ludzi, którzy błyskawicznie dorobili się miliardów? Na razie międzynarodówka dojących świat rządzi. Na razie?

BAKOWSKI



POZNAJMY SIĘ LEPIEJ

Czy obserwujesz PRZEGLĄD na Facebooku?

Dołącz do nas, czytaj, pytaj i komentuj 😊

Kliknij 👍
Polub stronę
i obserwuj
aktualności!



facebook.com/tygodnikprzeglad

KRAJ

- 8 PiS, czyli nic nie jest takie, jak sądzisz...**
Rozgrywki personalne na prawicy
- 11 We władzy korporacji**
Korporacje potężniejsze od państw narodowych
- 13 Więcej, szybciej, taniej**
– rozmowa z Katarzyną Dudą
- 16 Ściana zakazana**
Turyści omijają Podlasie
- 51 Dezubekizacja. Operacja na otwartym sercu**
Przypadek Danuty Leszczyńskiej

ZAGRANICA

- 20 Ważne, że nie strzelają**
Ludzie przyzwyczajają się do wojny
- 24 Nacjonalizm przybiera na sile**
– rozmowa z prof. Daniele Stasim
- 28 Okrakiem na medialnej barykadzie**
Dziennikarstwo w USA
- 32 Jak Włosi oceniają Franciszka**
Korespondencja z Włoch
- 54 Najpierw ślub, miłość rośnie z czasem**
Małżeństwo po indyjsku

OPINIE

- 36 August Grabski**
Dlaczego lewica nie prowadzi własnej polityki historycznej?

KSIAŻKI

- 40 Niewesołe refleksje**
Z dzienników Andrzeja Walickiego

KULTURA

- 42 Trudno oddychać pełną piersią**
– rozmowa z Maciejem Stuhrem
- 46 Culturalia**
- 66 #PatrzęCzujęRysuję**

SYLWETKI

- 48 O Wandzie, co nie chciała przestać**
Ostatnia góra Wandy Rutkiewicz

ZWIERZĘTA

- 58 Orzeł biały**
Bielik, czyli pacyfista

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Od kłamstwa do kłamstwa
- 23 Jan Widacki**
Krystyna Pawłowicz w nowej roli
- 27 Andrzej Romanowski**
O przyjaźni
- 31 Roman Kurkiewicz**
Zawsze za późno, zawsze za wcześnie
- 35 Tomasz Jastrun**
Ludzie listy piszą
- 47 Wojciech Kuczek**
Dobrodziejstwo zła



42

TRUDNO ODDYCHAĆ PEŁNĄ PIERSIĄ KULTURA
– rozmowa z Maciejem Stuhrem



54

ZAGRANICA

NAJPIERW ŚLUB, MIŁOŚĆ ROŚNIE Z CZASEM
Małżeństwo po indyjsku



58

ZWIERZĘTA

ORZEŁ BIAŁY
Bielik, czyli pacyfista

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK



Gorzki kawałek górniczego chleba

Górnicy znają ryzyko i decydują się na taką pracę, jaka im się opłaca. Gdyby nie lobby górnicze, bezpieczeństwo energetyczne kraju dawno byłoby oparte na zdwyersyfikowanych źródłach energii.

Maciej Dnt



Kierowcy też znają ryzyko, wiedzą, że jakieś auto zjedzie nagle na przeciwny pas ruchu, ale jeżdżą. Do mojej świadomości ryzyko docierało stopniowo, a pracowałem na kopalni tak samo metanowej jak Pniówek. A co do lobby górniczego – jeździłem na „wycieczki” do Warszawy w latach 90. i miałem tę świadomość, że jak razem nie będziemy się trzymać i pięści pod nos władzy nie będziemy podsuwać w razie zagrożenia, to zrobią z nami to samo, co z pegeerami czy innymi zakładami – zniszczą i na bruk. Miałem rodzinę na utrzymaniu i wiedziałem, że jak rząd może swoją rzyć wozic w limuzynie, to mnie też łaski nie robią i muszą pozwolić moją rzyć wozic w kolasce kilkaset metrów pod ziemią.

Józef Brzozowski

Pamiętamy o śmierci Blidy



Red. Jerzy Domański, pisząc o byłej posłance i minister Barbarze Blidzie, podkreśla, że najważniejsza była dla niej rodzina, ale i zwykłych ludzi nie zostawiała bez pomocy. I teraz nie wiem, czy to czas zrobić swoje, czy zasada, że o zmarłych mówić należy tylko dobrze albo wcale? Pani Blida została zapamiętana jako twórca ustawy, na podstawie której sądy orzekały jak leci – bez wnikanja, czy ktoś jest menelem, czy ma

przejściowe problemy – eksmisje. Jeśli tak miała wyglądać jej pomoc dla zwykłych ludzi, to nie dziwny się, że poparcie dla „lewicy” jest takie, jakie jest.

Piotr Robecki

Dlaczego klasa robotnicza w Polsce nie popiera lewicy?

Postulaty lewicy to w znacznej mierze liberalizm. Weźmy partię Razem – to ugrupowanie reprezentujące interesy zamożnej klasy średniej z dużych miast, a nie klasy robotniczej, dziś w dużej części spauperyzowanej, wykluczonej transformacją ustrojową. Lewica musi odzyskać zaufanie ludzi pracy i jest to możliwe, chociaż wymaga ogromnej, no właśnie, pracy.

Paweł Stawicki



Jedynym istotnym kryterium skuteczności działania lewicy powinna być poprawa losu klasy robotniczej. Obecna lewica parlamentarna chyba nawet nie chce tego robić. A nawet jeśli by chciała, to nie sądzę, żeby umiała.

Piotr Krajewski

Leśne przedszkola i szczęśliwe dzieci

Podobnie jak w opisanych leśnych przedszkolach spędzanie przez dziecko choćby jednej, dwóch godzin codziennie na podwórku z kolegami z sąsiedztwa to bardzo niedoceniany sposób na tworzenie naturalnych relacji w grupie, wspólne odkrywanie otoczenia, ćwiczenie kreatywności, samodzielności. W obecnych czasach zostało to wyparte przez intensywne uczestnictwo dzieci w zorganizowanych zajęciach pozalekcyjnych.

Katarzyna Kulesza



ZDJĘCIE TYGODNIA



Elfy są wśród nas.
Majowa parada
ogrodnicza, Hastings,
Wielka Brytania.



PYTANIE TYGODNIA

Czym jest dzisiaj matura?

PROF. ROMAN LEPPERT,

pedagog, Uniwersytet Kazimierza Wielkiego

Z jednej strony „matura to bzdura”, z drugiej „egzamin dojrzałości” – pomiędzy tymi przekonaniem mieści się współczesne myślenie o egzaminie. Nie jest on już od lat żadnym egzaminem dojrzałości, nie jest też jednak bzdurą, jak głosi tytuł kanału na YouTube. Jest zewnętrznym, wystandaryzowanym egzaminem, który pozwala uporządkować przystępujących do niego 18-, 19-latków ze względu na procent zdobytych punktów, szeregując ich pod względem możliwości dostania się na wybrane kierunki studiów, zwłaszcza oblegane. W większości przypadków, by uzyskać indeks, wystarczy jednak zdobycie minimalnej liczby punktów na poziomie podstawowym. Współcześnie więc matura stała się przepustką na studia. Tylko i aż tyle.

MAŁGORZATA ŻUBER-ZIELICZ,

nauczycielka, była dyrektor warszawskich liceów

Czymś, czego coraz większa część społeczeństwa nie akceptuje. Z jednej strony, chcielibyśmy, żeby sprawdzała umiejętności i możliwości przyszłych studentów, pozwalając wybrać najlepszych, a z drugiej – na podstawie wyników tego egzaminu chcielibyśmy jakoś oceniać szkoły, w których maturę zdaje powyżej 80% rocznika. Tych dwóch celów nie da się pogodzić, szczególnie robiąc to „po tanioci”. Zwłaszcza że i liceum, i sama matura niewiele się zmieniły od czasów, kiedy takie

wykształcenie było równie rzadkie jak dziś doktorat. Dla dzisiejszego ucznia matura jest przestarzałym egzaminem, będącym w dużej mierze loterią z powodu braku profesjonalizmu CKE. Cały system kształcenia i egzaminowania na poziomie średnim wymaga namysłu nad tym, czemu, komu i jak ma służyć, i unowocześnienia, z wykorzystaniem doświadczeń krajów rozwiniętych. Mimo przeprowadzonych w ostatnim ćwierćwieczu na chybika i pisanych na kolanie dwóch „reform” organizacyjnych i trzech programowych w naszej oświacie (Handke, Hall, Zalewska) nie udało się do tej pory w III RP tego zrobić.

ALDONA PIKUL,

Dział Rekrutacji na Studia, Uniwersytet Jagielloński

Złożenie egzaminu dojrzałości jest dla wielu osób symbolicznym momentem wejścia w dorosłość. Zwieńczeniem ważnego etapu w życiu, jakim jest szkolna edukacja. Okres egzaminów maturalnych niesie dużo emocji, zarówno dla abiturientów, jak i dla nauczycieli oraz rodziców. Z punktu widzenia uczelni matura to w zasadzie egzamin wstępny – są zobowiązane do prowadzenia rekrutacji na podstawie jej wyników. Dlatego maturzyści marzący o studiach na kierunkach, na które trudno się dostać, czują ogromną presję i wkładają dużo pracy w naukę, a potem dają z siebie wszystko podczas egzaminów. Na szczęście, choć w emocjach może się wydawać, że jest inaczej, wyniki matury nie są ostateczne i można je poprawić.

PiS, czyli nic nie jest takie, jak sądzisz

Jacek Kurski na czele wyścigu potencjalnych następców Kaczyńskiego

Robert Walenciak

Środa, 11 maja, czy czwartek? Raczej czwartek, ale to wciąż domysły, bo te terminy zmieniają się z godziny na godzinę. W każdym razie któryś z nich będzie w Sejmie dniem prawdy. Wreszcie, po tygodniach wahań i uzgodnień, ma się odbyć głosowanie nad najważniejszymi sprawami. Chodzi, po pierwsze, o prezydencki projekt ustawy likwidującej Izbę dyscyplinarną Sądu Najwyższego. Po drugie, o przegłosowanie na drugą kadencję Adama Glapińskiego jako prezesa Narodowego Banku Polskiego.

To są kluczowe dla Jarosława Kaczyńskiego sprawy, które ślimaczą się od miesięcy. Projekt ustawy likwidującej Izbę Dyscyplinarną Andrzej Duda złożył w Sejmie jeszcze w lutym. Gdyby została przyjęta, odblokowane zostałyby unijne pieniądze w ramach Krajowego Planu Odbudowy. Polska otrzymałaby wreszcie miliardy z Unii Europejskiej, na które czeka od miesięcy. Taką obietnicę Duda otrzymał ze strony USA (sic!) i Komisji Europejskiej. Cóż więc stoi na przeszkodzie? Zbigniew Ziobro i jego Solidarna Polska, która nie zgadza się z prezydencką ustawą. I jest pat.

Problem z Adamem Glapińskim trwa jeszcze dłużej. 29 stycznia prezydent zgłosił jego kandydaturę na drugą sześcioletnią kadencję. Ta pierwsza upływa 21 czerwca. Teoretycznie PiS powinien sprawę Glapińskiego szybko zamknąć, ma przecież w Sejmie większość. Tyle że to taka większość, która raz jest, a innym razem jej nie ma. A ponieważ Kaczyński nie może sobie pozwolić na przegrane głosowanie, bo spali-

łoby ono kandydaturę, przekłada je i zbiera głosy.

Czy już zebrał? Widocznie tak. Choć pewnie łatwe to nie było. Wszyscy o tym wiedzą – to jest dla Kaczyńskiego najważniejsze głosowanie. Pozycja prezesa NBP zapewnia kontrolę nad systemem bankowym, Kaczyński nie może sobie pozwolić, by taka władza przeszła w jakieś nieznane mu ręce. A, zauważmy, gdy okazało się, że mogą być kłopoty z przepchnięciem przez Sejm kandydatury Glapińskiego, momentalnie ruszyła giełda nazwisk jego potencjalnych następców. Widać zatem, jak czujne są poszczególne koterie w PiS. I Kaczyński o tym wie. Wie – i co dalej?

Lew, który wyliniał

Przykład tych dwóch głosowań pokazuje nam wyraźnie, jak wygląda dziś Zjednoczona Prawica i władza Kaczyńskiego. Czasy, kiedy PiS

Kaczyński rzucił hasło obrony kościołów. W ten sposób lansował... Bąkiewiczza. Pomysł, by postawić się Amerykanom, nie dać TVN koncesji i zmusić Discovery do sprzedania stacji, przez kilkanaście dni wzbudzał na prawicy emocje, ale i tak wszystko skończyło się sromotnym odwrotem. Inną ideę – budowy w Europie międzynarodówki nacjonalistów – PiS chciałoby jak najszybciej wymazać z pamięci. Bo dziś te wszystkie spotkania z Orbánem, Le Pen i Salviniem są mu wypominane.

Ostatnia wielka akcja Kaczyńskiego dotyczyła Smoleńska. Przed kolejną rocznicą katastrofy chciał narzucić nam wszystkim narrację, że był to zamach. I spotkał się z najszybciej chyba dla niego reakcją: naród na jego okrzyki wzruszył ramionami.

Tych politycznych pudeł jest za dużo, by przejść nad nimi do porządku dziennego. To nie są tzw. wypadki przy pracy, tylko coraz bardziej

Co może Morawiecki? Z Ziobrą się nie cierpią, ale nic z tego nie wynika. Obaj muszą się tolerować.

wносило jakąś ustawę do Sejmu nad ranem, wieczorem nad nią głosowano, a następnego dnia przyklepywane/odrzucone były poprawki Senatu, dawno się skończyły. Podobnie jak czasy, gdy Kaczyński narzucał ton, a jego słowa były jak drogowskazy. Geniusz prezesa? Piątka dla zwierząt, którą lansował, o mały włos nie wywróciła całej Zjednoczonej Prawicy. Odwoływanie Banasia ze stanowiska szefa Najwyższej Izby Kontroli też trwa lata całe, PiS jest tu bezradne i bezzębne. Inicjatywy polityczne? Gdy demonstrowały kobiety,

widoczny trend. Lew, rocznik 1949, wyliniał. A jeżeli tak, to wzmacnia się pozycja partyjnych baronów. I to też widać gołym okiem. Dziś najciekawiej jest w Zjednoczonej Prawicy. Trwa tam walka o pozycję, o wpływ i ewentualną schedę po prezesie. A prezes może jedynie temu się przyglądać.

Głupia flanka

Wyrosła mu bowiem pod opiekuńczymi skrzydłami grupa ludzi, najbliższych współpracowników,



Jarosław Kaczyński nie może ruszyć Zbigniewa Ziobry z obawy, że Zjednoczona Prawica straci w Sejmie większość.

praktycznie nietykalnych. Takich, których nikt nie może ruszyć.

Spójrzmy na rząd. Kogo premier może wymienić, a przynajmniej zdyscyplinować? Zbigniewa Ziobrę, o którym wspominaliśmy wyżej? Cóż, jego nie może ruszyć nawet Jarosław Kaczyński z obawy, że Zjednoczona Prawica straci w Sejmie większość. No to co może Morawiecki? Wszyscy wiemy, że z Ziobrą się nie cierpią, ale nic z tego nie wynika. Obaj muszą się tolerować.

Podobnie jest w Sejmie. Gdy ziobryści mówili „nie” ustawie o Izbie Dyscyplinarnej, do akcji wkroczył szef klubu PiS Ryszard Terlecki. Zagroził wyrzuceniem ziobrystów z rządu i z list PiS w najbliższych wyborach, nazwał nie prawą, ale „głupią” flanką Zjednoczonej Prawicy. Odpowiedział mu Ziobro, apelując o „mądrość i rozsądek, zwłaszcza u człowieka, który ma doświadczenie życiowe”.

Tych 18 szabel, którymi dysponuje w Sejmie Solidarna Polska, czyni Ziobrę nietykalnym. Oczywiście nasuwa się pytanie: jeżeli Kaczyński mógł rozbić Porozumienie Jarosława Gowina, to dlaczego nie może rozbić Solidarnej Polski? Ale odpowiedź jest dosyć prosta. Po pierwsze, już sama operacja wyrzucenia Gowina skończyła się dla Kaczyńskiego tym, że jego większość w Sejmie wisi na

dwóch postach Kukiza. Podobnej zagrywki Zjednoczona Prawica już by nie przeżyła. Po drugie, ziobryści chyba są bardziej zdeterminowani od gowinowców, trudniej ich rozbić. I po trzecie, przynoszą oni Kaczyńskiemu wartość dodaną – jako przeciwwaga Konfederacji. Kaczyńskiemu potrzebne jest skrzydło antyeuropejskie, przyciągające wyborców spod prawej ściany – więc je ma.

Nietykalni

Nietykalnych w rządzie jest zdecydowanie więcej. Mariusz Kamiński? A co może zrobić premier człowiekowi, który kontroluje ABW, CBA, policję, wywiad, kontrwywiad i Straż Graniczną oraz SOP, czyli dawny BOR? I słynnego Pegasusa przy okazji? Jest w „Tygodniku Powszechnym” opowieść Karoliny Lewickiej, jak to Kaczyński z Morawieckim doszli do wniosku, że Kamiński wyrósł zbyt wysoko: „Odbyła się z Kamińskim rozmowa o ograniczeniu jego wpływów, ale Kaczyński i Morawiecki usłyszeli od niego krótkie: tylko spróbujcie mnie tknąć. To, że zbiera haki na wszystkich, było tajemnicą poliszynela, ale wówczas wprost zagroził prezesowi ich użyciem”.

Poza zasięgiem premiera jest także inny „siłowik”, Mariusz Błaszczak.

Jeszcze kilka lat temu Morawiecki mógł go hamować, choćby w roku 2018, kiedy prezydent Duda i Mariusz Błaszczak polecili do Australii. Jednym z punktów ich wizyty było podpisanie listu intencyjnego w sprawie zakupu dwóch fregat. Duda z Błaszczakiem byli w samolocie lecącym na antypody, kiedy dowiedzieli się, że premier ten zakup anulował. Ale to było prawie cztery lata temu. Dziś minister obrony jeździ do Stanów Zjednoczonych, odwiedza siedziby amerykańskich koncernów i w zasadzie może zamawiać, co chce. Morawiecki może robić najwyżej za kasjera.

Nietykalny dla Morawieckiego jest też wicepremier, minister aktywów państwowych, Jacek Sasin. Można rzec, jest on zsmórą premiera, bo wcześniej, w poprzedniej kadencji, był sekretarzem stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i sekretarzem Stałego Komitetu RM, czyli ciętą, które kieruje ruchem projektów aktów prawnych przechodzących przez rząd. Otwarcie wówczas mówiono, że Sasin jest okiem i uchem Kaczyńskiego. W nowym rozdaniu Morawiecki pozbył się Sasina z KPRM, ale wiele radości z tego nie miał – bo Sasin został ministrem aktywów państwowych. Czyli nadzorcą spółek skarbu państwa, a mówiąc językiem politycznym, kramiku z konfiturami.

Wojny zastępcze

Nic dziwnego, że historia ostatnich miesięcy jest aż gęsta od przepychanek Morawiecki-Sasin. I nie są to jedynie słowne potyczki. Gdy okazało się, że Polski Ład jest bublek i zaczyna ciągnąć PiS w dół, Kaczyński zadecydował, że ktoś musi za to zapłacić. Na ofiarę wyznaczony został, co naturalne w takiej sytuacji, minister finansów Tadeusz Kościński, który 7 lutego złożył rezygnację. Kościński był związany z Mateuszem Morawieckim, więc jego dymisję oceniano jako uderzenie w premiera. W tę wyrwę próbował wejść Jacek Sasin, który zaczął lansować na szefa finansów Piotra Nowaka, ministra rozwoju i technologii.

Nowak, minister od października 2021 r., był objawieniem w rządzie. Przyszedł wprost z Międzynarodowego Funduszu Walutowego, gdzie ▶

był doradcą szefowej MFW Krystaliny Georgiewej i wicedyrektorem departamentu zajmującego się polityką monetarną oraz rynkami kapitałowymi. Miał opinię technokraty i przebiegał znajomością w światowych finansach Mateusza Morawieckiego. Zaczęto już zresztą mówić, że byłby znakomitym kandydatem na jego następcę.

To było dla Morawieckiego jak syrena alarmowa. Przystąpił do kontraktaku. Najpierw zdecydował, że czasowo sam będzie kierował Ministerstwem Finansów. A potem wykorzystał sytuację, kilka niezręcznych słów Nowaka, i pod koniec marca

kierującego resortem Zbigniewa Raua. Ale też nie może, bo Rau cieszy się poparciem Jarosława Kaczyńskiego.

Podobnie poza zasięgiem Morawieckiego są wicepremier Piotr Gliński i minister edukacji Przemysław Czarnek. Inna sprawa, że ich zakres obowiązków (kultura, edukacja) jest poza zainteresowaniami premiera.

Mamy zatem strukturę władzy zupełnie nieprzejrzystą, gdzie formalne stanowisko o niczym nie świadczy. Minister finansów jest postacią trzeciorzędną, minister ds. europejskich to urzędnik premiera. Wicepremier ds. bezpieczeństwa, czyli Jarosław

jego pozycję z pozycją szefowej publicznego radia Agnieszki Kamińskiej. On jest królem, ona nikim.

Kurski rozgrywa zręcznie dwie, trzy karty, które ma w rękach. Po pierwsze, udało mu się przekonać polityków obozu rządzącego, że dobre sondaże to głównie zasługa telewizji. Że propaganda, którą sieje TVP, osłabia opozycję i wzmacnia PiS. Politycy PiS, wiemy to z mejli Dworczyka, z jednej strony kompletnie nie poważają mediów publicznych, ale z drugiej wierzą, że są one kluczowe w walce o zachowanie wpływów w społeczeństwie.

Ta wiara to samospełniająca się przepowiednia. Kurskiemu łatwiej jest w takiej sytuacji otrzymać miliardy z budżetu państwa. A mając pieniądze, łatwiej mu konkurować z mediami komercyjnymi. O widza, oczywiście.

Po drugie, Kurski rozgrywa polityków Zjednoczonej Prawicy. Raz ich dopuszcza do programów, innym razem odcina. Są już znawcy, którzy monitorują TVP i, obserwując, którzy politycy są zapraszani do programów, a których pomijani, potrafia powiedzieć, jak wygląda sytuacja w obozie władzy, kto jest w niełasce, a kto idzie w górę. Oto kremlinolodzy naszych czasów.

W ten sposób Jacek Kurski wysforował się na czoło w wyścigu potencjalnych następców Kaczyńskiego. To on, a nie nadaktywny, nie lubiany w PiS Morawiecki ani tchórzliwy Ziobro, ani też powolny Sasin czy kanciasty Błaszczak, wskazywany jest jako delfin numer 1. Piękne określenie, choć powinien pamiętać, że od roli delfina do roli leszcza jeden krok.

Kurskiemu udało się przekonać polityków obozu rządzącego, że dobre sondaże to głównie zasługa telewizji.

ogłosił jego dymisję. Zrobił to osobiście, podczas konferencji prasowej, prezentując zmiany w Polskim Ładzie.

Tak oto Piotr Nowak padł ofiarą „wojny zastępczej” Morawieckiego z Sasinem. A zakończeniem tej rozgrywki była niedawna nominacja Magdaleny Rzeczkowskiej na stanowisko ministra finansów. Rzeczkowska była wcześniej wiceministrem w MF, szefową Krajowej Administracji Skarbowej. Jest prawniczką, a nie finansistką. Podobno jest dobrze zorganizowana, choć zastrajkowali jej pracownicy KAS. Takimi zaś sprawami jak polityka finansowa, podatkowa czy budżetowa raczej się nie zajmowała. Innymi słowy, trzy miesiące trwało poszukiwanie następcy Kościńskiego, aż wreszcie padło na specjalistkę od ceł.

Ta sytuacja pokazuje miejsce w systemie władzy Ministerstwa Finansów, które jeszcze kilka lat temu uważane było za najważniejsze w rządzie.

Kto lewaruje Dudę?

Podobną degradację przeżywa Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Sprawy europejskie zostały z niego wyprowadzone, kancelaria premiera prowadzi własną politykę i np. wyjazd Morawieckiego do Kijowa nie był w ogóle z MSZ uzgadniany. I znów tajemnicą poliszynela jest, że Morawiecki bardzo chciałby odwołać

Kaczyński, formalnie jest nadzorcą ministrów spraw wewnętrznych i sprawiedliwości, ale wpływ ma na nich minimalny. Z kolei jego formalny szef, premier Mateusz Morawiecki, jest jego podwładnym.

W tym pomieszczeniu partyjnego z państwowym są jeszcze inne ośrodki władzy. Na przykład prezydent Andrzej Duda, który w ostatnim czasie bardzo się wzmocnił. Lewarowany jest, jak z przekąsem mówią w PiS, przez ambasadę USA w Warszawie. Coś w tym musi być, dorobek ostatnich miesięcy prezydenta Dudy to weto do lex TVN oraz do lex Czarnek, własny projekt ustawy o Izbie Dyscyplinarnej i coraz bliższe kontakty z amerykańskimi przywódcami. Duda buduje więc swoją pozycję poprzez politykę zagraniczną i specjalne stosunki ze Stanami Zjednoczonymi.

Delfin numer 1

Swoją pozycję buduje także prezes TVP Jacek Kurski. Posadę ma niełatwą – przeżył już na niej kilka politycznych zamachów. I to kierowanych z różnych stron Zjednoczonej Prawicy. Zawsze, i to w ostatniej chwili, kiedy de facto był już pozbawiony funkcji, ratował go Jarosław Kaczyński.

Ale nie tylko wola prezesa prezesów decyduje, że Kurski zasiada w fotelu na Woronicza. To również umiejętności. Porównajmy zresztą

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



We władzy korporacji

Globalne korporacje są już potężniejsze od państw narodowych

Jakub Dymek

Pytanie, czy globalne korporacje są już potężniejsze od państw narodowych, ma coraz częściej charakter czysto retoryczny. Z każdego z trzech szoków ostatniej dekady – populistycznego, pandemicznego i wojennego – społeczeństwa i demokratyczne instytucje Zachodu wyjdą mocno poturbowane. Nie grozi to z kolei firmom zdolnym działać ponad granicami państw,

Amazon w 2021 r. nie zapłacił w Europie ani centa podatku dochodowego, choć sprzedał tutaj towary warte 55 mld dol.

oferującym coraz częściej wirtualne dobra i usługi, zajmującym się już nie tyle wytwarzaniem jakichś towarów, ile przenoszeniem cyfrowych pieniędzy, praw własności albo danych. One zostały wprost stworzone i zaprojektowane, żeby nie tylko przetrwać podobne zaburzenia, ale wręcz z nich skorzystać. Ostatnie lata nie odkryły w tej dziedzinie nieznanych wcześniej prawd. Ale być może na tle wszystkich problemów i ograniczeń, z którymi zmagają się społeczeństwa, gospodarki i instytucje rozwiniętego świata, olbrzymia władza, jaką mają dziś globalne korporacje, jest tym bardziej widoczna. I uderzająca.

Prezydent z Twittera

Tuż przed majowym weekendem, na który przypadają i Święto Pracy, i (nieco rzadziej obchodzony w Polsce) Światowy Dzień Wolności



Globalnie Amazon Jeffa Bezosa sprzedał w 2021 r. towary warte ponad 400 mld dol.

Prasy, doszło do aktu niespotykanej wcześniej prywatyzacji wolności słowa. Elon Musk, jeden z najbogatszych ludzi świata, kupił platformę społecznościową Twitter za 43 mld dol. Z Twittera codziennie korzystają setki milionów ludzi, uczestników debaty i życia publicznego we wszystkich zakątkach globu, dla których ta właśnie aplikacja jest jednym z podstawowych kanałów wymiany wiedzy i opinii. Nigdy wcześniej w historii tak wielka, globalna agora nie należała do jednego człowieka – bo nawet medialne

imperium w stylu sieci Murdocha nie mają tak uniwersalnego zasięgu jak Twitter. Rozważania, czy amerykański miliarder uczyni z Twittera oazę

Od woli korporacji zależy dziś, kto zostanie następnym prezydentem USA.

wolności od cenzury i poprawności politycznej (jak obiecuje), czy wręcz przeciwnie, można odłożyć na bok. ►

► To i tak wyłącznie spekulacje, które prędko zweryfikuje czas. Ważniejsze jest to, że władzę dawania lub odbierania głosu (którą Twitter miał już wcześniej) można kupić i właśnie kupić ją – przy bezradności amerykańskich urzędów federalnych i sądów – jeden człowiek.

To Twitter podjął jedną z najsłynniejszych w najnowszej historii

swój model biznesowy na zminimalizowaniu kontaktu między ludźmi i automatyzacji całego procesu zakupów – algorytmy pomagają nam wybrać towar, zakupu dokonuje się za pomocą jednego kliknięcia, płatności i reklamacje realizowane są cyfrowo, a marzeniem Bezosa jest, aby i kurierów prędzej czy później zastąpiły roboty i drony.

i grozić miliarderni palcem, ale od lat pozostają bezradni.

Biznes na wojnie

Wojna za naszą wschodnią granicą również będzie okazją dla globalnych korporacji. Rosnące zapotrzebowanie na broń i presja na zbrojenia już wywołały wzrost cen akcji i poprawiły prognozy zysków największych koncernów zbrojeniowych. Plan odejścia od rosyjskich surowców w Europie postawił na baczność lobbystów energetycznych, którzy m.in. naciskają na prezydenta Bidena, by natychmiast pozwolił na większe wydobycie w USA. Odbudowa Ukrainy po zakończeniu konfliktu stanie się okazją do zdobycia lukratywnych kontraktów lub prywatyzacji najbardziej dochodowych sektorów ukraińskiej gospodarki. To samo zresztą dotyczy Rosji, gdyby doszło tam do zmiany władzy – zniesienie sankcji i ponowne włączenie rosyjskiej gospodarki w światowy obieg wiązałoby się najpewniej z jakimś przejęciem części zasobów od dawnych ludzi Putina.

Władzę dawania lub odbierania głosu, którą miał Twitter, kupić – przy bezradności amerykańskich urzędów federalnych i sądów – jeden człowiek, Elon Musk.

wolności słowa decyzji – z dnia na dzień zablokował konto Donalda Trumpa, wtedy wciąż jeszcze urzędującego prezydenta USA. A Trump właśnie to medium wybrał sobie jako podstawowy środek komunikacji ze światem. Korzystał z niego z wielkimi sukcesami i bez żadnych oporów, co tylko nakreślało jego popularność i kampanię wyborczą. Dziś byłby prezydent USA nadal jest uważany za najpoważniejszego kandydata republikanów w kolejnych wyborach, w 2024 r. Jeśli Twitter odda mu konto – dzięki któremu docierał do milionów wyborców – szanse na jego powrót do Białego Domu radykalnie wzrosną. Oto obraz potęgi decyzji korporacji w dzisiejszym świecie. Od ich woli zależy – i nie ma w tym wiele przesady – kto zostanie następnym prezydentem USA.

Miliardy Amazona

Nie zawsze oczywiście władza korporacji daje o sobie znać w tak bezpośredni sposób. W trakcie pandemii, gdy handel, branża rozrywkowa czy restauracyjna traciły miliony klientów i bały się o przyszłość, wielcy globalni pośrednicy zagarniali ich kawałek tortu. Amazon – własność drugiego obok Muska internetowego miliardera, Jeffa Bezosa – pracował nieprzerwanie. Internetowy „market wszystkiego” dostarczał towary pod drzwi klientów, przejmując rolę lokalnego sklepu, poczty, apteki. Amazon opiera

Nie może więc chyba dziwić, że pandemia okazała się rekordowo dochodowym czasem dla Amazona, który powiększył swoje zyski (nie przychody, ale zyski właśnie!) dwukrotnie w pierwszym roku lockdownu i od kwietnia 2020 r. do końca marca 2021 r. zarobił prawie 27 mld dol. w samych Stanach Zjednoczonych. Globalnie firma Bezosa sprzedała w 2021 r. towary warte ponad 400 mld dol.

Odbudowa Ukrainy stanie się okazją do zdobycia lukratywnych kontraktów lub prywatyzacji najbardziej dochodowych sektorów ukraińskiej gospodarki.

(dla porównania: to wielokrotność polskich wydatków budżetowych w tym roku). Dodatkowe ponad 60 mld Amazon zarobił na usługach sieciowych. Bo jak niegdyś prywatne imperia biznesowe Duńskiego Zachodu chciały mieć własne pociągi i koleje, tak dzisiejsi korporacyjni giganci chcą kontrolować infrastrukturę internetu, od której zależy tak duża część światowej gospodarki. Amazon, jak podaje serwis Bloomberg, w 2021 r. nie zapłacił w Europie (europejski oddział firmy znajduje się w Luksemburgu) ani centa podatku dochodowego, choć sprzedał na naszym kontynencie towary warte 55 mld dol. I tu – podobnie jak w przypadku przejęcia Twittera – najpotężniejsi politycy świata mogą ztorzeć

Jak mówi stare powiedzenie, „nie można pozwolić, by dobry kryzys się zmarnował”. Na pytanie o to, czy globalne korporacje są dziś potężniejsze niż państwa narodowe, każdy może odpowiedzieć sobie sam.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



Więcej, szybciej, taniej

Tego od polskich pracowników oczekują globalne koncerny

Rozmawia Jakub Dymek

Dlaczego na okładce książki o pracy w Polsce – w magazynach na Dolnym Śląsku, call center w Krakowie albo montowniach pod Poznaniem – widnieje twarz człowieka tuziąco podobnego do miliardera Jeffa Bezosa? Założyciel Amazona, giganta handlu internetowego, może nawet nigdy tu nie być.

– Amazon jest największą amerykańską inwestycją w Polsce, jeśli chodzi o miejsca pracy – w magazynach, w obsłudze klienta, logistyce. Ale Jeff Bezos, poza byciem jednym z najbogatszych ludzi na świecie, jest rekordzistą w jeszcze innej dziedzinie. W 2014 r. został uznany za najgorszego pracodawcę świata według ITUC, największego światowego zrzeszenia związków zawodowych. Jeśli firmy takie jak Amazon wyznaczają standardy pracy w rosnącej liczbie miejsc na świecie, to powinniśmy patrzeć im na ręce – bo te decyzje może zapadają w Dolinie Krzemowej, ale ich skutki są bardzo widoczne np. w Polsce.

A o co w tym modelu pracy chodzi?

– Bezos chwali się, że jego zasada postawienia klienta na pierwszym miejscu uczyniła możliwym sukces Amazona. I to prawda, że klient jest na pierwszym miejscu. Konsument kupuje towar w internetowym sklepie Amazona najszybciej jak się da, jednym kliknięciem, i również najszybciej jak się da, nierzadko bezpłatnie, dostarcza mu się ten towar pod same drzwi. Ale co to oznacza w praktyce? Że pracownicy magazynów muszą być bezbłędni, działać na najwyższych obrotach, realizować zamówienia i zadania bez żadnej zwłoki. To, jak egzekwuje



KATARZYNA DUDA

– specjalistka ds. polityki społecznej i rynku pracy w OPZZ, autorka książki „Korpo. Jak się pracuje w zagranicznych korporacjach w Polsce”.

się ten najwyższy standard – ograniczając czas na wyjście do toalety i na zjedzenie kanapki w pracy albo ściśle kontrolując pracowników przy użyciu technologii – jest podporządkowane tej naczelnej idei: sprawniej, szybciej, taniej, więcej. Każda minuta pracy pracownika jest ważna. Wyjście na przerwę o trzy minuty za wcześnie to kosztarne naruszenie tego systemu!

Dlaczego?

– No bo kiedyś, gdy w firmie pracowało 20 albo nawet i 100 osób, kilka minut spóźnienia czy zrozumiałe, niezawinione pomyłki przy pracy to coś, z czym można było

sobie poradzić. Ale jeśli w firmie globalnie pracuje milion osób i obsługuje miliardy zamówień, to suma pojedynczych minut i pomyłek staje się wielkim problemem. Trzeba więc wyeliminować najmniejsze błędy.

No dobrze, ale plany, cele produkcyjne, taśmowa organizacja pracy nie pojawiły się dopiero teraz. W systemie socjalistycznym też wynagradzano ludzi za wyrobienie normy i jej przekroczenie, też była propaganda współzawodnictwa pracy.

– Ale nie było stania ze stołem nad głową człowieka przy biurku. Możemy sobie zadawać pytanie, czy gdyby technologia do nadzoru i kontroli pracowników była wówczas podobna do dzisiejszej, byłoby tak samo czy inaczej. We współczesnych call center jednak naprawdę liczy się czas spędzony przez pracownika w toalecie. Zabrania się korzystania z własnych telefonów bądź czytania książek, żeby człowiek nie odrywał się od pracy – nawet jeśli tej pracy nie ma, bo klienci nie dzwonią. To ma nawet technokratyczną nazwę: „polityka czystego biurka”.

A skoro przy biurkach jesteśmy... Praca dla zagranicznej korporacji kojarzy się w Polsce przede wszystkim z biurem i szklanym wieżowcem – przy warszawskim rondzie ONZ albo w równie stereotypowym już Mordorze. We wnętrzach jak z serialu. Na ile ten wizerunek pracy odpowiada rzeczywistości?

– Może się wydawać, że praca dla korporacji w dużym polskim mieście to przechadzanie się po korytarzach ładnych biurowców, ale rzeczywistość bywa dużo mroczniejsza. Prawdziwe oblicze pracy dla wielkiej platformy internetowej to np. robota „czyszciciela”

► internetu". Powiedzieć, na czym ona polega?

Tak.

– Chłopak siedzi przed ekranem komputera i ogląda najgorsze okrucieństwo: wojny gangów w Meksyku, sceny okaleczania kobiet w Afryce czy gwałty w brazylijskich slamsach, nagrania pedofilskie. Mówi mi, że widział filmik, na którym ktoś odcina maczetą rękę 10-letniemu dziecku gdzieś

W 2014 r. Jeff Bezos został uznany za najgorszego pracodawcę świata.

w Indiach. Te wszystkie treści ludzie wrzucają do internetu. To najmroczniejsza strona ludzkiej natury. A więc ktoś – np. mój rozmówca w Polsce – na zlecenie wielkiej platformy cyfrowej, z której korzystamy wszyscy, ogląda cały podejrzany materiał i blokuje okrutne, sadystyczne, pornograficzne lub zwyczajnie niezgodne z regulaminem treści.

I co dalej z tym się dzieje?

– Dzięki niemu my nie musimy tego oglądać – ryzyko, że natkniemy się na takie materiały, przeglądając popularną stronę, jest mniejsze. Taką pracę jest potrzebna wszędzie, bo platformy cyfrowe działają globalnie, ale taniej jest ją zlecać podwykonawcom w Bangladeszu, na Filipinach lub w naszym kraju. I np. Duńczykom opłaca się sprzątać swój internet w Polsce, bo tutaj nawet pracownik znający język będzie tańszy niż ktoś wykonujący to samo zadanie w Kopenhadze.

To wszystko brzmi niewinnie – praca zdalna albo tylko przed komputerem, oglądanie filmików, klikanie. Bardzo „korpo”. Ale przez kilka godzin dziennie oglądasz najgorszą stronę ludzkiej natury, a umowa z firmą nawet zabrania ci mówić o tym w domu, tym bardziej dzielić się swoimi doświadczeniami publicznie. To może prowadzić do poważnych obciążeń psychicznych.

Taka praca w zagranicznych korporacjach to częściej norma czy wyjątek?

– Musimy zwrócić uwagę na jedną rzecz charakteryzującą zagraniczne inwestycje w naszym kraju. Miejsca pracy w korporacjach, które trafiają do Polski, to bardzo często outsourcing – czyli przenoszenie zadań, całych zespołów albo firm do krajów, gdzie są niższe koszty pracy. Gdzie lokalny pracownik robi to samo za mniej. Dla firm z Wielkiej Brytanii, Norwegii czy nawet Hiszpanii takim miejscem stała się w XXI w. Polska. Bohaterkami i bohaterami mojej książki są w dużej mierze ludzie, którzy, pracując w naszym kraju, wykonują zadania będące

integralną częścią firmy gdzieś np. w Wielkiej Brytanii – prowadzą jej księgowość, sprawy kadrowe, obsługują reklamacje i zamówienia klientów. Tego jest naprawdę dużo – centra obsługi klienta, praca na słuchawce, załatwianie jakichś spraw dotyczących zamówień, to, co kiedyś robił ktoś na miejscu: w Londynie, Manchesterze czy Leeds. A dziś robi to ktoś w Łodzi. Dzwoni klient i mówi: „Chcę rozmawiać z biurem w Londynie”. A Polak do niego: „Panie Smith, nie ma żadnego biura w Londynie. Jest biuro w Łodzi, Łódź – Poland”.

I pojawia się niezadowolony?

– Oczywiście. Często padają obelgi i rasistowskie uwagi, bo ktoś po drugiej stronie nie chce rozma-

– Stosunek polityków wszystkich chyba opcji w Polsce do inwestycji zagranicznych opierał się na przekonaniu, że to jest coś, o co musimy zabiegać, walczyć, prosić. Że jak nie włożymy w to wysiłku i starań, to miejsca pracy nigdy się nie pojawią. A jak już się pojawiają, to Polskę i zagraniczną firmę powinna spajać jakaś więź wdzięczności: my im daliśmy miejsce i ludzi, oni nam pracę dla rodaków. Że powstaje jakieś wielkie zobowiązanie: tyle im daliśmy zarobić! Ale oczywiście nie ma żadnej lojalności, tylko kalkulacja.

Gdy w 2009 r. Fiat chciał wycofać produkcję jednego modelu z fabryki w Tychach, było wielkie oburzenie. Włoska firma – nie bez nacisków politycznych po kryzysie ekonomicznym – postanowiła przenieść produkcję do ojczyzny. Ależ było protestów! Politycy robili sobie kampanię pod bramami zakładu w Tychach, obiecując, że będą z tym walczyć, i przekonując, że ich ekipa – jak mówił np. Jarosław Kaczyński – powstrzymałaby podobne ruchy. Pojawiło się wręcz poczucie zdrady.

Ale to źle, że ci politycy protestowali?

– A czy to źle, że protestowali robotnicy we Włoszech, bo Fiat przeniósł produkcję gdzieś indziej? Ja nie będę mówić, co jest słuszne, a co nie, czy lepiej, że z powodu tej

Najwyższy standard obsługi egzekwuje się, ograniczając czas na wyjście do toalety i na zjedzenie kanapki.

wiać z Polakiem. Lub na odwrót, cieszy się, że rozmawia z Polakiem, a nie z jakąś Hinduską czy informatykiem z Bangladeszu. Bo musimy zrozumieć jedną kluczową rzecz dotyczącą działalności tych firm w Polsce. One w jakimś sensie nie stworzyły żadnych miejsc pracy – tylko je przeniosły. Powtórzę się, ale to ważne: praca pani Halinki z księgowości w Polsce była jeszcze kilka albo kilkanaście lat temu pracą innej pani Helen, z Anglii.

A jaki jest stosunek polityków w Polsce do outsourcingu?

decyzji pracy nie ma w Polsce, czy że nie ma jej we Włoszech. Chcę pokazać, jak kurczowo klasa polityczna w Polsce broni tych miejsc pracy, nie rozumiejąc jednej podstawowej rzeczy. One właśnie dlatego są w Polsce, że można było je tu przenieść. A skoro można było je przenieść, to można je też wynieść. Przecież politycy chyba rozumieli, dlaczego te fabryki trafiły do Polski. Bo tu jest taniej. A jeśli nie będzie taniej, to można przenieść się gdzieś indziej. Walczą także egoizmy narodowe. W interesie polskiej klasy

politycznej jest, by te miejsca pracy powstawały w Polsce. Ale z oczywistych powodów politycy we Francji, Wielkiej Brytanii czy Włoszech również mogą żądać i postulować, żeby największe marki z tych krajów produkowały w swojej ojczyźnie.

z Amazona, Magdaleny Malinowskiej, której zarzucono „filmowanie zwłok”. Ale w internecie pod tymi reportażami pojawiały się liczne komentarze, które sugerowały, że człowiek, który zmarł w pracy, musi być sam sobie winny. „Czemu

powiedzieć, że „zestano go do innej parafii”. Dariusz mówi swojemu liderowi, że wprowadzane przez niego zmiany, ograniczanie liczby pracowników delegowanych na magazyn do jednego zadania, nie spowodują, że tych obowiązków będzie mniej. Po prostu mniej ludzi będzie musiało wykonać tę samą, bardzo obciążającą fizycznie pracę. Dariusz cierpiął. Przez miesiąc sygnalizował, że ten nakład pracy jest za duży na jednego człowieka. Jego żona napisała dziewięć mejli do Państwowej Inspekcji Pracy. W tym czasie mógł wkroczyć Amazon, mogła wkroczyć PIP, sam lider mógł wycofać się ze swoich pomysłów. Ale do tego nie doszło, a 9 września 2021 r. Dariusz zmarł. To nie musiało się stać.

A dlaczego się nie zwolnił?

– To bardzo ciekawe. Pan Dariusz pracował w tym momencie na utrzymanie rodziny. A dlaczego jego żona, pani Beata, nie pracowała? Bo rok wcześniej uległa wypadkowi w pracy w Amazonie! Jej grozi w tym momencie, że przestanie chodzić. Dariusz czuł się odpowiedzialny za całą rodzinę. Pracował i nie chciał się zwolnić właśnie dlatego. To jest tragedia: kobieta traci zdrowie po wypadku, a potem traci męża, który ciężko pracował, żeby utrzymać rodzinę.

Pójście na przerwę o trzy minuty za wcześnie to koszarne naruszenie systemu!

Miejsca pracy są jednak ważne. Sama piszesz, że motorem wszystkich decyzji polityków w sprawie zagranicznych korporacji jest strach przed bezrobociem.

– Tak, dlatego polscy politycy tak mocno podkreślają, że jesteśmy bezpiecznym krajem, przyjaznym dla biznesu, przewidywalnym. I aspekt „bezpiecznego” kraju wciąż działa na naszą korzyść w tej logice. Bo te miejsca pracy wczoraj były w Londynie, dziś są w Lublinie albo w Łodzi, ale jutro mogłyby być we Lwowie. Teraz z powodu wojny ta perspektywa się odsunęła – za duże ryzyko. Ale może gdyby nie inwazja na Ukrainę, już teraz byśmy o tym rozmawiali. Stabilność jest ważna dla korporacji, ale zawsze jest pokusa, by iść tam, gdzie tanio, coraz taniej. Nikt nam nie obiecywał, że te firmy będą w Polsce na zawsze ani tym bardziej, że będą nam wdzięczne. A dokładnie taka atmosfera towarzyszyła decyzji o wyprowadzeniu części produkcji Fiata z Polski.

W magazynie Amazona we wrześniu 2021 r. zmarł człowiek, pan Dariusz, któremu dedykujesz swoją książkę. Wdowa po nim, pani Beata Dziamska, mówi: „Chcę, by winni śmierci Darka ponieśli konsekwencje. I chcę oszczędzić innym żonom, matkom i córkom tego, przez co ja przeszedłam. To nie był pierwszy przypadek śmierci w Amazonie, ale niech jego nagłośnienie sprawi, że będzie ostatni”.

Czy ta sprawa coś zmieniła?

– W debacie publicznej? Nie wydaje mi się. Powstały reportaże i prasa opisywała śmierć pana Darka, podobnie jak opisywała zwolnienie działaczki związkowej

nie wziął chorobowego?”, „Czemu się nie skarżył?”, „Po co tam się zatrudniał?”. Mieliliśmy do czynienia z typowym przeniesieniem odpowiedzialności: winny czy współwinny własnej śmierci jest człowiek, który zmarł w pracy, a nie zaniedbania przełożonych, zła organizacja pracy czy inne powody tej śmierci, której można było zapobiec!

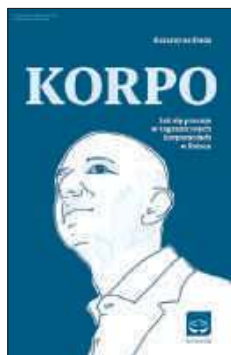
Gdyby ludzie przepracowani mogli po prostu wziąć wolne albo pracować nieco mniej intensywnie, chyba by to robili? Ale jeśli, jak piszesz, kontrolowany jest nawet czas pójścia do toalety i procent wyrobienia normy na minutę pracy...

– ...to nie jest to możliwe. Mną ta sprawa wstrząsnęła. Było tak wiele etapów, na których można było zapobiec tej śmierci. Liderem działu pana Darka był człowiek, którego wcześniej, po skargach i konfliktach z pracownikami, przeniesiono z innego działu, bo nikt nie chciał z nim pracować! Pracownicy mówili, że są wykończeni, że on źle rozdziela obowiązki. I udało im się doprowadzić do jego przeniesienia. Ale ten człowiek nie został ukarany ani zwolniony. Można

Korporacje nie stworzyły żadnych miejsc pracy – tylko je przeniosły.

Dlaczego do opisanie korporacji używasz metafory Wielkiego Brata?

– Uderzyło mnie podczas pracy nad książką, że to właśnie w Bielanach Wrocławskich, gdzie dziś mieszczą się fabryki i zakłady wielkich globalnych koncernów, kręcono słynny reality show. Przypomnijmy, że chodziło o to, że ludzie dali się dobrowolnie zamknąć w filmowanym więzieniu, gdzie tytułowy, zapożyczony z Orwella Wielki Brat nadzorował ich i mówił, co mają robić. Kontrolował ich życie. A co innego robią dziś te firmy?



Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

ŚCIANA ZAKAZANA



Cudzoziemców i Polaków odstrasza budowa zapory w puszczy i ryzyko uciążliwych kontroli przez służby mundurowe

Zuzanna Muszyńska

Po wpisaniu w wyszukiwarkę pytania: *What is Poland mostly known for?* Google wylicza: z najsmaczniejszych pierogów, papieża Jana Pawła II i najstarszego lasu pierwotnego w Europie. Ten las to jedyny polski obiekt przyrodniczy wpisany przez UNESCO na listę światowego dziedzictwa, Puszcza Białowieska, wraz z jej przyrodniczym sercem, Białowieskim Parkiem Narodowym. Najstarszy polski park narodowy, utworzony w 1921 r., został sto lat później, we wrześniu 2021 r., de facto zamknięty dla turystów z Polski i z zagranicy. I stan ten trwa do dziś.

Podlascy przedsiębiorcy związani z branżą turystyczną tak jak wszyscy podczas pandemii koronawirusa przeszli w tryb zamykania się i otwierania, lecz teraz, kiedy cała Polska była na majówce i można było wreszcie odbić sobie poniesione w ostatnich latach straty, oni tkwią w niepewności. Jaki wyrok zapadnie wobec Podlasia pod koniec czerwca w sprawie sezonu turystycznego lato-jesień 2022, pozostaje zagadką.

Nie da się nas włączyć i wyłączyć

– Liczba turystów odwiedzających Białowieski Park Narodowy szacowana jest na podstawie biletów sprzedanych do Rezerwatu Pokazowego Żubrów BPN – tłumaczy Marek Świć, kierownik Działu Udostępniania Białowieskiego Parku Narodowego. – To najpopularniejszy cel turystyczny Białowieskiego PN; zwykła suma biletów z każdego obiektu zafałszowałyaby faktyczną liczbę turystów, którzy najczęściej odwiedzają kilka miejsc podczas jednej wizyty w BPN.

W 2019 r. rezerwat żubrów gościł 173 563 osoby, w 2020 r. – 158 176, a w 2021 r. – 142 470. Do końca marca br. było 3186 zwiedzających. – Pomimo podejmowanych przez park działań mających na celu zachęcenie turystów do odwiedzenia Rezerwatu Pokazowego Żubrów BPN, który znajduje się poza strefą czasowego zakazu przebywania, liczba zwiedzających w roku bieżącym dramatycznie odbiega od liczb z lat poprzednich – ocenia Świć. – Białowieski Park Narodowy otrzymywał i wciąż otrzymuje zapytania o możliwość odwiedzin w sezonie wiosennym/

letnim/jesiennym, jednak z powodu ryzyka kolejnych przedłużeń restrykcji odpowiedzi na takie pytania są trudne i nie dają żadnej gwarancji.

Mniej turystów to mniejsze wpływy ze sprzedaży firmowanych przez BPN pamiątek, co z kolei przekłada się na ograniczenie możliwości realizowania zaplanowanych działań z zakresu ochrony przyrody, jak również utrzymania i obsługi obiektów turystycznych w parku. Zdaniem Świcia za zahamowanie ruchu turystycznego należy winić spadek atrakcyjności regionu w oczach potencjalnych odwiedzających, destrukcję marki turystycznej lokalnych atrakcji oraz trudności logistyczne, np. niedostępność bazy restauracyjno-noclegowej, która w większości znajdowała się w granicach aktualnej strefy zakazu przebywania.

Gdy zakaz zostanie zniesiony, turysty wrócą. Kiedy będzie normalnie, nie wiadomo. – Zjawisko stabilnego, normalnego ruchu turystycznego opiera się na znacznie bardziej skomplikowanej formule niż włączenie lub wyłączenie – tłumaczy Świć. – Ogół ruchu turystycznego funkcjonującego w latach ubiegłych był efektem

wieloletnich działań i wykreowania marki turystycznej regionu, a także opierał się na trwającej od dekad ewolucji branży, która płynnie dostosowywała się do zwiększającej się liczby turystów, zarówno pod względem oferty, jak i możliwości logistycznych. Perspektywa stabilności turystycznej regionu, wraz z ugruntowaną i rozpoznawalną marką, stanowiła o jego atrakcyjności, czego nie uda się łatwo odbudować w najbliższym sezonie.

Czy będzie do czego wracać?

W lokalnej gwarze tropinka (z rosyjskiego) to ścieżka, dróżka. W nazwie Stowarzyszenia na rzecz Dialogu Tropinka jest „intuicją kierunku, przecuciem ścieżki wydeptywanej w Puszczy – również przez człowieka”. Katarzyna i Manfred, założyciele Tropinki, spotkali się kilkanaście lat temu na puszczańskich szlakach. Ona – tłumaczka literatury niemieckiej, wnuczka Podlasian, on – szwajcarski mikrobiolog, fotograf, miłośnik przyrody. W puszczy znaleźli miejsce dla swojego „domu z pomysłem na życie”. Dworek Rousseau powstał w wyniku przebudowy starej leśniczówki, zdobywając w 2019 r. wyróżnienie w konkursie na najlepiej zachowany zabytek budownictwa wiejskiego. Ludzie kultury i miłośnicy puszczy zjeżdżają tu od lat na spotkania z przyrodą, literaturą, sztuką i dziedzictwem pogranicza. To tutaj rodzą się plany takich wydarzeń jak Poezja w Puszczy czy wystawa fotograficzna poświęcona narewskiemu Żydom „Sąsiedzi, których już nie ma”.

Dworek Rousseau i Dom na Rykowisku leżą poza zoną, natomiast ukończony w sierpniu 2021 r. Dom na Uroczysku Hruszki już w zonie. – Od września 2021 r. praktycznie nie mamy turystów – opowiada Katarzyna Leszczyńska. – Zdarzyło się zaledwie kilka rezerwacji, m.in. od naszych stałych gości, którzy stęsknili się za puszczą, no i chcieli nas wspomóc, za co jesteśmy im bardzo wdzięczni.

Rząd, wprowadzając stan wyjątkowy we wrześniu 2021 r., uznał, że jest już po sezonie. – To bzdura

– denerwuje się Katarzyna. – W dużej mierze żyjemy z turystów o zainteresowaniach przyrodniczych, którzy zjeżdżają we wrześniu i w październiku: na rykowisko, na obserwacje ornitologiczne, na grzyby. Wielu turystów zagranicznych wynajmowało nasze obiekty, zamawiając u nas wyjścia do puszczy z przewodnikiem.

Obawiamy się, że w czerwcu, znowu w ostatniej chwili, zostaniemy powiadomieni o kolejnym przedłużeniu stanu wyjątkowego na pograniczu.

Mieszkając częściowo w Szwajcarii, prowadzimy małe biuro podróży oferujące tego rodzaju wycieczki w Polsce, Ukrainie, Szwajcarii, Austrii i Niemczech. Od września nie mieliśmy ani jednej rezerwacji zagranicznej na Podlasiu. Cudzoziemców, podobnie jak Polaków, odstrasza budowa zapory w puszczy i ryzyko

niż w innych częściach kraju; ze strony uchodźców zagrożenia nie ma absolutnie żadnego. Jeśli turyści nie będą do nas teraz przyjeżdżać, za rok, dwa może się okazać, że nie ma do czego wracać.

Dworek Rousseau leży przy Puszczy Ładzkiej, po której można wędrować bez przeszkód. Na



uciążliwych kontroli przez służby mundurowe. Przeraża ich myśl, że jadą na wakacje do lasu, w którym gdzieś obok cierpią ludzie. Od wybuchu wojny w Ukrainie tym bardziej wielu boi się przyjeżdżać na wschód.

Zdaniem Katarzyny władze opuściły przedsiębiorców z Podlasia. Nie informują, co dalej, gdzie szukać wsparcia ani jaki jest plan odbudowy marki turystycznej puszczy. – Niepewność jutra jest olbrzymia

jej skraju znajduje się dąb Dunin, ogólnopolskie Drzewo Roku 2021 i Europejskie Drzewo Roku 2022. Można też odwiedzić pasieki przy zonie w Babiej Górze, wybrać się nad zalew Siemianówka, szlakami przez małe wioski i lasy poza BPN, odwiedzić galerię w Narewce lub Muzeum Białoruskie w Hajnówce. Niestety, większość turystów uważa, że te atrakcje nie są warte wycieczki na Podlasie – obłożenie ▶

► w turystycznych obiektach noclegowych regionu spadło o 70-80%. Liczą się przede wszystkim Białowieża i Białowiecki Park Narodowy.

Trzeci rok bez pracy

Grażyna Artemiuk prowadzi restaurację w Hajnówce (poza strefą) i w Białowieży (w strefie). Pierwszą Babushkę otworzyła w 2014 r. Lokal serwował tradycyjne dania

żal do władz, jesteśmy zaangażowanymi przedsiębiorcami, zatrudniamy więcej ludzi, płacimy więcej podatków; pomoc nam się należy, ale reguła *de minimis* ją wyklucza (maksymalna kwota wsparcia publicznego, która nie wymusza na przedsiębiorcy zgłaszania pomocy i podejmowania specjalnych kroków prawnych – przyp. aut.). Do tej pory nic w tej sprawie się nie zmieniło – ocenia Grażyna.

to było w lutym. Wolalabym, żeby nam powiedzieli już teraz: otworzymy was jesienią. Wiedziałabym, co robić. A tak siedzę jak na szpilkach.

Ludzie sądzą, że ich nie otworzą. Budimex zamawia wyżywienie dla pracowników do lipca włącznie. Turysty będą omijać ścianę wschodnią. Grażyna: – Tylko wariat, który kocha Białowieżę, przyjedzie. Gdyby trafiło na górali, już dawno pojechałoby pod Sejm.

Od wybuchu wojny w Ukrainie tym bardziej wielu boi się przyjeżdżać na wschód.

w przystępnych cenach. – Po dwóch latach zaczęłam myśleć o powiększeniu działalności, a ponieważ od lat pracowałam w Białowieży, właśnie tam rozglądałam się za działką inwestycyjną. Pobudowałam dużą restaurację z pięcioma pokojami do wynajęcia na górze. Otworzyłam ją w 2017 r. Wiodło się nam bardzo dobrze, ale nastąpiła pandemia, a potem doszła sytuacja na Białorusi. Obecnie zaczynamy trzeci rok praktycznie bez pracy – przyznaje Grażyna.

Białowieża nastawiona jest na turystykę całoroczną. Zimą biegówki, latem rowery. Tylko listopad i marzec są słabsze. – Normalnie na miesiąc czy dwa przed okresem bożonarodzeniowym czy sezonem letnim, w listopadzie i w maju, wszystkie pokoje mamy zarezerwowane – mówi Grażyna. – We wrześniu zeszłego roku policja przychodziła na kwatery, wypraszała ludzi. Nikogo nie obchodziło, że mieliśmy pełne obłożenie. Wszystkie osoby bez pozwoleń na pobyt musiały opuścić Białowieżę.

Część pracowników sezonowych sama odeszła – Ukraińcy, zatrudnieni na okres od kwietnia do października, powyjeżdżali wcześniej, jak również młodzież akademicka, która normalnie zostawała na wrzesień. Część stałych pracowników trzeba było zwolnić. Został lokal w Hajnówce, którego klientami są mieszkańcy miasta. Wystarczy, żeby zachować pracowników, za mało, żeby opłacić wszystkie zobowiązania. – Mamy

W Białowieży zrobiło się depresyjnie. Na głównej ulicy zdarza się, że w korkach stoi kilkadziesiąt ciężarówek. Ciężki sprzęt niszczy drogi, wszędzie policja i wojsko. W centrum powstało wojskowe miasteczko – kontenery, zasieki, mury z worków. Trudno sobie wyobrazić spacerujących po mieście turystów. Kto odbuduje Białowieżę? Grażyna nie ma wątpliwości: – My. Tytaniczną pracą, za nasze pieniądze. Będziemy nimi nabijać kieszenie władzy. Tym bardziej trudno zrozumieć, dlaczego nas tak źle traktują. W odpowiedzi na interpelację poselską minister odpowiada, że jest w kontakcie z przedsiębiorcami. Ale z którymi?! Jesteśmy zrzeszeni, spotykamy się, wiemy, kto z kim się komunikuje. Ani wojewoda, ani

Strefa zapomnienia

Do 30 czerwca obowiązuje rozporządzenie MSWiA w sprawie wprowadzenia czasowego zakazu przebywania na terenie 183 miejscowości przy granicy z Białorusią w województwach podlaskim i lubelskim. W Podlaskiem dotyczy to 115 miejscowości. Rozporządzenie weszło w życie 2 marca jako przedłużenie poprzedniego, które obowiązywało od 1 grudnia ub.r. Wcześniej – od 2 września do 30 listopada 2021 r. – wprowadzono na tym terenie stan wyjątkowy. Zakaz wjazdu ma trwać co najmniej do zakończenia budowy pięciopółmetrowej stalowej zapory granicznej, która przecinać będzie m.in. Puszczę Białowską.

Przedsiębiorstwa z zony mogą liczyć na odszkodowania w wysokości 65% dochodów, na mocy ustawy z 29 września 2021 r. o rekompensacie w związku z wprowadzeniem stanu wyjątkowego.

W Białowieży ciężki sprzęt niszczy drogi, wszędzie policja i wojsko. W centrum powstało wojskowe miasteczko.

władze lokalne nie są zainteresowani rozmowami z nami.

W przededniu majówki dla przedsiębiorcy, która w normalnych okolicznościach otwierałaby sezon, najgorsza była niewiedza. – Nie jestem w stanie niczego zaplanować – skarży się – produkcji, finansów, szkolenia pracowników. Potrzebuję sezonowo 15-20 osób. Nikt nie szuka pracy na lato w czerwcu, a nas zapewne poinformują o dalszych planach co do zony kilka dni przed końcem stanu wyjątkowego, tak jak

Naliczanie odszkodowań od początku wzbudza kontrowersje. W pierwszych miesiącach po wprowadzeniu stanu wyjątkowego brano pod uwagę czerwiec, lipiec i sierpień 2021 r., podczas gdy u wielu przedsiębiorców jesienią zwiększa się ruch, bo zaczyna się sezon łowiecki, odbywają się szkolenia i kongresy, przyjeżdżają wycieczki szkolne. Korzystniejsze byłoby tak jak podczas pandemii koronawirusa naliczanie na podstawie analogicznych miesięcy roku poprzedniego.

Wiosną 2022 r. błąd w kolejnym rozporządzeniu zablokował wypłaty odszkodowań (pisaliśmy o tym w PRZEGLĄDZIE nr 15, w artykule „Na granicy bez zmian”). Jedno słowo – wprowadzenie zamiast przedłużenia – sprawiło, że do naliczania rekompensat przedsiębiorcy mogli wskazać trzy miesiące z półroczu poprzedzającego datę 2 marca, czyli z okresu, kiedy byli już zamknięci. Dopiero burza w mediach po interwencjach samych zainteresowanych oraz posłów opozycji skłoniła władze do rozwiązania problemu – obecnie przedsiębiorcy do naliczania rekompensat mogą wskazywać miesiące z okresu czerwiec-listopad 2021 r. Grażyna Artemiuk zwraca uwagę na opieszałość władz: – 31 marca pokazali nas w głównym wydaniu „Faktów” TVN. Nazajutrz sprawy zaczęły iść do przodu. Wszystko dało się załatwić jedną konferencją prasową.

Na rekompensaty dla dużych przedsiębiorców, takich jak Artemiuk, obowiązuje limit *de minimis*. Ulgi w urzędzie skarbowym podczas pandemii koronawirusa czy dopłaty

do instalacji fotowoltaicznych sprawiły, że wypłat dla kilku dużych firm podlaskich nie było. W grudniu odblokowano tę możliwość, ale prace legislacyjne trwają do dziś. Grażyna nie otrzymuje odszkodowań od lutego br.

Sejmik Województwa Podlaskiego ogłosił pod koniec kwietnia stanowisko w związku z tą sytuacją. „Poszczególne sektory turystyki notują coraz większe spadki dochodów, a niektóre z nich nie mogą w ogóle prowadzić swojej działalności”, piszą radni. Zwracają uwagę na fakt, że branża turystyczna jest ważną częścią gospodarki regionu, i apelują o jak najszybsze przywrócenie możliwości swobodnego poruszania się turystów po Podlasiu.

– Czekamy na natychmiastowy, jasny i czytelny sygnał mówiący o tym, co dalej: otwieramy się czy trwamy w zawieszeniu. Mam ogromną nadzieję, że od 1 lipca wszyscy zainteresowani będą mogli swobodnie się poruszać po województwie podlaskim i zwiedzać każdy jego zakątek – podkreśla Katarzyna Turosieńska,

prezesa Oddziału Podlaskiego Polskiej Izby Turystyki. – Równolegle należy ruszyć z potężną kampanią promocyjno-informacyjną. Turyści muszą otrzymać jednoznaczny przekaz, że jest tu nadal bezpiecznie, pięknie i czysto. Kampania powinna być skierowana zarówno do turysty polskiego, jak i na rynki zagraniczne. Warto też zorganizować tu duże wydarzenia kulturalne, które przyciągną zainteresowanych i zaangażują ich w działania. Może to być festiwal podróżniczy, kulinarny lub ekologiczny. Najlepiej, by każdego dnia odbywał się w innej miejscowości i niejako zmobilizował odbiorcę do przemieszczania się. Takie wydarzenia wiązać się oczywiście z dużym nakładem finansowym, sama branża turystyczna sobie z tym nie poradzi. Liczę na to, że zaangażowane zostaną środki ministerialne i np. przy koordynacji POT ruszą wielkie działania ratujące markę Podlasia.

Czy słysząc te apele w Warszawie?

Zuzanna Muszyńska

z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl



WOJNA W UKRAINIE

16 milionów osób już teraz
potrzebuje wsparcia.
PAH jest na miejscu i pomaga.

Wesprzyj nasze działania
w Ukrainie: pah.org.pl/wplac/



fol. Agata Grzybowska / RATS Agency

WAŻNE, ŻE NIE STRZELAJĄ

Jak ludzie przyzwyczajają się do wojny

Zwierzęta to nieodzwonny element frontowej rzeczywistości.



Marcin Ogdowski

To zdjęcie wraca regularnie w rozmaitych internetowych dyskusjach. Raz uchodzi za fałszywkę, innym razem jest fałszywie opisywane. Lecz jest prawdziwe i nieinscenizowane. Wykonano je w lipcu 1941 r. w Warszawie, na nadwiślańskiej plaży – owszem, na zlecenie redakcji stołecznej gazdiniówki. Przedstawia trzy piękne

Polki zażywające kąpieli słonecznej. W tle widać innych wyluzowanych plażowiczów. Najtrudniejsze chwile okupacji jeszcze nie nastąpiły (wtedy plażowanie będzie zakazane), ale i tak każdego dnia Niemcy zabijają setki Polaków, w tym warszawiaków. To jakby z zasady wyklucza uchwyconą na fotografii beztroskę. Jednak lato i słońce robią swoje...

Czym jest normalność w wojennej codzienności? Za sprawą konfliktu w Ukrainie to pytanie nurtuje

wielu z nas. Bo z jednej strony czytamy o bombardowaniach i śmierciach, z drugiej docierają do nas informacje o Kijowie, w którym 40% lokali gastronomicznych wznowiło działalność. Ponownie otwarto jedną trzecią przedstawicielstw dyplomatycznych, publiczne toalety, a metro od połowy maja znów będzie płatne (po 24 lutego podziemna kolej zniósła opłaty i ograniczyła kursowanie, część stacji zamieniono w schrony). Niektórym trudno te komunikaty spiąć w logiczną całość, co wcale mnie nie dziwi. Przed laty przeczytałem artykuł poświęcony ostatnim dniom przed wybuchem powstania warszawskiego. Była w nim mowa o restauracyjnych ogródkach nad Wisłą. Dla Polaków. Wychowany w kulturze narodowej martyrologii, przeżyłem szok poznawczy. Ogródki dla mieszkańców najbardziej umęczonego przez hitlerowców miasta?! A jednak. Wiele lat później wojna stała się moim doświadczeniem zawodowym. Szukałem więc tej normalności w nienormalności w Iraku, Afganistanie i Ukrainie.

Potrzeba normalności

Pod koniec stycznia 2015 r. dotarłem z ekipą pod donbaskie Debaltsewe. Na ostatnim odcinku cudem znaleźliśmy transport – cywilne auto, a w nim starszą panią z synem jako kierowcą. Kobieta była elegancko ubrana, w pełnym makijażu. Tego ranka – powiedziała – wywiozła wnuki do oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów Artiomowska. Ale że z synem ewakuowali dzieci w pośpiechu, nie zabezpieczyli mieszkania, co uświadomili sobie w drodze, więc po odstawieniu pociech znów wsiedli do samochodu. Miasto było już pod ciężkim ostrzałem, a oni jechali do domu, by zamknąć drzwi na klucz. „Bo przecież wojna się skończy, a człowiek musi gdzieś mieszkać”.

Kilkanaście dni później rebelianci przy wsparciu armii rosyjskiej zajęli Debalcewe. Zjawiłem się w mieście dwa miesiące później, będąc już na terytorium Donieckiej Republiki Ludowej. W wyniku niedawnych walk ucierpiało 70% zabudowy. Niektóre fragmenty wyglądały fatalnie – mówiło się wręcz o „małym Stalingradzie”. Ale mieszkańcy, którzy wcześniej uciekli, wracali. „Ważne, że już nie strzelają”, deklarowali i w skrzykniętych z własnej inicjatywy grupach sprząтали gruzowiska.

Ten argument – że już nie strzelają – jest bardzo charakterystyczny. I rozumiały, o czym przekonałem się w Doniecku, gdzie z początkiem 2015 r., po miesiącach zawieruchy, nastał względny spokój. „Najważniejsze, że nie spadają rakiety”, mówiła doniecka ulica. I cieszyła się z każdego przejawu normalności – kursujących autobusów, otwartych kin i szkół. To, kto rządził, miało drugorzędne znaczenie. To, że na przedmieściach wciąż toczyły się walki – również.

Wiosną 2015 r. oglądałem eliminacje do lokalnych mistrzostw w piłce nożnej. Chłopcy z wszystkich dzielnic Doniecka rozgrywali mecze nie na powietrzu, lecz pod dachem – co było jedynym novum w odniesieniu do poprzednich lat. W innej szkole na obrzeżach miasta byłem świadkiem zajęć baletowych – kilku-, kilkunastoletnie dzieciaki nie zwracały uwagi na pomruki artylerii, które niosły się między blokami i powodowały drżenie szyb.

„Najważniejsze, że nie spadają rakiety”, mówiła doniecka ulica z początkiem 2015 r. To, kto rządził, miało drugorzędne znaczenie.

Nauczyciele tłumaczyli mi, że szkoła – jak większość w Doniecku – nie działała tylko przez trzy miesiące jesienią 2014 r., kiedy o miasto toczyły się najcięższe walki. I nawet wtedy nie przerwano edukacji – większość uczniów miała dostęp do internetu i za jego pośrednictwem przesyłano zadania. W piwnicach szkół zorganizowano schrony, ale w kwietniu 2015 r. już z nich nie korzystano. Coś, co w Ukrainie odebrano jako

wielką narodową tragedię – wyparcie obrońców z ruin donieckiego lotniska – mieszkańcom Doniecka przyniosło autentyczną ulgę; pozwoliło na odsunięcie frontu o kilka kilometrów od centrum metropolii.

Żywy dowód człowieczeństwa

Analogiczna sytuacja miała miejsce na południu, w Mariupolu – tyle



W okolicach wsi Nowosiliewka, blisko linii frontu, widziałem traktory i inny sprzęt rolniczy.

że tam odepchnięto separatystów i Rosjan. Ledwie kilkunastokilometrowy bufor sprawił, że już w 2016 r. do miasta wróciła większość mieszkańców – a jeszcze latem poprzedniego roku władze Mariupola nie

mogły się doliczyć 40% statych rezydentów. Lecz nawet w najcięższych chwilach mariupolanie organizowali sobie życie na przekór wojnie. Któregoś lipcowego wieczoru 2015 r. poszliśmy z kolegami nad morze. Był weekend, knajpy i dyskoteki pełne; alkohol, muzyka, tańce. Odstawione dziewczyny, eleganccy chłopcy – i zabawa do rana. Czasem tylko, gdy patrzyło się wzdłuż wybrzeża, widać było odległe wybuchy.

Rano wsiedliśmy do samochodu i po przejechaniu 15 km znaleźliśmy się w innym świecie. Okopy, zrujnowane budynki przekształcone w małe twierdze – tak wyglądał znany niegdyś kurort Szyrokino. Dotąd miałem specyficzne doświadczenia wojenne. Dotyczyły one konfliktów asymetrycznych, (anty)partyzantkich. Iraccy bojownicy czy afgańscy talibowie nie mieli artylerii.

Nie w zakresie, który umożliwiałby nawały ogniowe. Wyczytałem, że zmasowany ogień jest przyczyną załamania nerwowego u żołnierzy, ale wiedziałem też, że ludzie przyzwyczajają się do niego. Co mimo wszystko wydawało mi się niewyobrażalne. Aż trafiłem na całonocną kanonadę. Separatyści i Rosjanie ostrzeliwali pozycje, na których byłem, z najcięższych dział i haubic. Zmusili nas – mnie, kolegę fotoreportera i przede wszystkim ukraińskich żołnierzy – do zagrzebania się w piwnicach i jamach. Na początku było strasznie – każda eksplozja rodziła obawy, że strop zwali się nam na głowę. Ale ile można się bać? Idąc śladem Ukraińców, skupiłem się na oglądaniu „Seksu w wielkim mieście”, w zabawnej dla mnie wersji z rosyjskim dubbingiem. A gdy skończyło się paliwo w generatorze i telewizor zgasł, po prostu poszedłem spać.

► Rano żołnierze jak gdyby nigdy nic czyścili broń, parzyli kawę, przygotowywali śniadanie. Tam, gdzie było jedzenie, zawsze pojawiały się psy – nieodczuwany element frontowej rzeczywistości. Uchodźcy z terenów objętych działaniami zbrojnymi często zostawiają czworonogi, poza

wzdłuż okolicznych pól i choć natężenie walk znacząco osłabło w porównaniu z sytuacją z poprzedniego roku, wieś nadal znajdowała się w strefie rażenia. Dla 68-letniej Swietłany i tak był to znaczny postęp.

– Nie muszę wnuków w schronie zamykać – mówiła, uśmiechając się

świeżo zaoranymi polami. Gdzieś niedługo widziałem nawet pracujące traktory i inny rolniczy sprzęt. W zasięgu strzału z broni ręcznej, czasem wręcz obok okopów. I po jednej, i po drugiej stronie frontu.

– Do nich nie strzelamy. Ani my, ani tamci – zapewnił mnie jeden z Ukraińców. Ale to było dawno temu, jakby w innym życiu. Dziś Rosjanie strzelają nawet do rolników. Ba, niszczą ich gospodarstwa, parki maszyn, zabijają zwierzęta, kradną zapasy zboża. Z terenów zajętych po 24 lutego wywieźli do Rosji 400 tys. ton produktów rolnych, jedną trzecią zawartości magazynów.

I tylko wiosna jest taka sama, i jak to w Ukrainie – coraz obłądziej zielona. Co przypomina mi podróż, którą odbyłem kiedyś pociągiem z Dni-pro do Kijowa. Do przedziału, który oprócz mnie zajmowała starsza para, weszła kobieta po czterdziestce. Wkrótce dowiedziałem się, że cała trójka doświadczyła donbaskiej wojny, mieszkając w miejscowościach, o które toczono walki. Tyle że moi wcześniejsi współpasażerowie nadal żyli w Ukrainie, „nowa” zaś już

Psy i koty ciągną do ludzi, żołnierze otaczają je opieką. Bo zwierzak to substytut normalności, domu.

tym natura też ma swoje prawa – zwierzęta rozmnażają się bez względu na okoliczności zafundowane im przez człowieka. Psy i koty ciągną do ludzi, a żołnierze otaczają je opieką. Bo zwierzak to substytut normalności, domu, przedwojennego życia, zarazem żywy dowód na potrzebę zachowania człowieczeństwa.

Kto wyciągnie dzieci ze schronu?

Te ludzko-zwierzęce więzi potrafią być silne – co piszę jako osoba, która pomagała oficerowi WP przemycić 30-kilogramowego psa z Iraku do Polski. Przekonała mnie o tym również historia pani Lilii, mieszkanki Doniecka. – Gdzie ja, stara baba, będę z takim dużym psem się tulać? – pytała retorycznie 62-latką, wskazując Rema, owczarka niemieckiego. – Strasznie mądra psina. Wystrzały z broni ręcznej nie robią na nim wrażenia, dział i moździerz też się nie boi. Ale grady go przerażają. Przybiega, zanim jeszcze zaczynają strzelać, i chowa się w przedsionku. Jakby wiedział, że tamci za chwilę odpalą rakietę...

Rozejrzałem się wówczas po obejściu. Dom – nieduża, trzyizbowa chałupka, jedna z wielu w tej okolicy – znajdował się jakieś 600 m od pierwszych pozycji wojsk Donieckiej Republiki Ludowej. W czasie najintensywniejszych walk o donieckie lotnisko stanowił najbliższe zaplecze frontu. – Żyjemy, dom cały i niech już tak zostanie – twarz pani Lilii pojaśniała.

Po drugiej stronie, we wsi Nowosiliewka, gdzie byłem latem 2016 r., mieszkańcy życzyli sobie tego samego. Linia frontu rozciągnęła się

smutno. Ów schron to piwniczka w chałupie, na tyle duża, by pomieścić dwoje nastolatków.

– A wy się nie chowaliście? – spytałem Swietłanę, obok której stał starszy od niej o dwa lata mąż.

– Miejsca nie było, a poza tym niechby w dom trafiło – odparł mężczyzna. – Kto by dzieci z piwnicy wyciągnął? Nam wystarczył rów.

Inny mój ówczesny rozmówca, 14-letni Sierioża, w razie potrzeby chował się pod łóżko. Rówieśnik Wiktor wybuchnął śmiechem po tym wyznaniu kolegi. On nigdzie się nie chował. A do wojny przywykł,

Nawet w najcięższych chwilach mariupolanie organizowali sobie życie na przekór wojnie. W lipcowy wieczór 2015 r. knajpy i dyskoteki były pełne.

bo „trzeba jakoś żyć”. – Szkoda tylko, że wciąż nie wiadomo, co będzie ze szkołą – przyznał. – Nauczyciele zostali, ale dużą część uczniów rodzice powywozili. A z naszej dwójki dziesiątej klasy nie zrobią – chłopak miał naprawdę zafrasowaną minę. Zaraz jednak się rozpogodził na myśl o wakacjach. O wyjeździe na kolonie organizowanym specjalnie dla takich dzieci jak on i Sierioża, z terenów dotkniętych działaniami wojennymi. – Bo widzisz – Wiktor wskazał dłonią niewielkie centrum wsi, po którym kręcili się żołnierze. – Niby tu normalnie, a tak naprawdę nienormalnie. Więc rekreację chcą nam zapewnić gdzie indziej.

„Niby normalnie”, powtarzałem sobie później w myślach. Jechałem na pierwszą linię ukraińskiej obrony ścieżkami wytyczonymi między

w DRL – skąd wyjechała właśnie do rodziny. W którymś momencie między Ukraińcami doszło do kłótni, spowodowanej wywodami młodszej z par, jako żywo przypominającymi narrację rosyjskiej propagandy. Padło sporo mocnych słów, na kilka minut zapadła niezręczna cisza. Szybko jednak doszło do pojednania, wraz ze stwierdzeniem, że „wszystkim nam się po dupach oberwało”.

– A ja wciąż tego nie rozumiem – westchnęła inicjatorka sporu. – Jak to możliwe? Że słońce świeci, ptaszki śpiewają, a ludzie się zabijają...

Bo czy to da się w ogóle zrozumieć? Przywyknąć można, ale objąć rozumem już niekoniecznie...

Marcin Ogdowski

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Krystyna Pawłowicz w nowej roli

Po tym jak premier Morawiecki wytknął prezydentowi Macronowi, że rozmawia telefonicznie z Putinem, a Macron w rewanżu zarzucił mu, że przyjaźni się z proputinowską, skrajnie prawicową Marine Le Pen, stosunki polsko-francuskie bardzo się ochłodziły. Nawet utrzymane w tonie pojednawczym i przyjaznym gratulacje wysłane przez Dudę i Morawieckiego do Paryża po zwycięstwie Macrona w wyborach prezydenckich mogą nie wystarczyć do naprawienia relacji. A po brexicie, po odejściu z polityki Angeli Merkel i zatłamani się niemieckiej polityki wschodniej wszystko wskazuje, że to Francja będzie głównym rozgrywającym w Unii Europejskiej. Pisowskie władze jednak od tej „wymaginowanej wspólnoty” jakoś zależą i chcą od niej coś uzyskać.

Nie pierwszy raz Polacy potrzebują czegoś od Francji. W czasach napoleońskich potrzebowali szczególnie dużo. W przekonaniu Napoleona do sprawy polskiej wielkie zasługi miała ponoć pani Maria Walewska de domo Łączyńska. Poznała Napoleona w styczniu 1807 r. na balu w Zamku Królewskim w Warszawie lub – co także być może – w pałacu Michała Poniatowskiego w Jabłonnem. Dość, że było to na balu, w pałacu i, co najważniejsze, w styczniu! Napoleon sprowadził sobie później piękną Polkę do swojej kwatery. Ta poświęcając się dla ojczyzny niewiasta w łóżu cesarza, bezpośrednio po orgazmie, a może nawet jeszcze w jego trakcie, szeptała podobno władcy do ucha: „Cesarzu, a Polska?”. Efektem tych poświęceń było to, że już 7 lipca tegoż roku, traktatem zawartym w Tylży, Napoleon utworzył Księstwo Warszawskie.

Polityka historyczna podpowiada, że dla poprawy stosunków polsko-francuskich trzeba znów sięgnąć do tej wypróbowanej metody. Trzeba Macronowi podsunąć kochankę. Musi być piękna, mieć arystokratyczne maniery, no i przede wszystkim być wielką patriotką.

Kandydatka już jest. Poniekąd sama się zgłosiła. Krystyna Pawłowicz! Obwieściła niedawno w mediach społecznościowych, że choć jest o rok starsza od żony francuskiego prezydenta, wygląda od niej młodziej,

a więc, ma się rozumieć, bardziej ponętnie. Zestawiła nawet jakieś bardzo niekorzystne zdjęcie pani Macron ze swoim. Cóż za finezja w kuszeniu prezydenta Francji! Oj, kokietka, kokietka. Zresztą i bez tego wiemy, że Krystyna Pawłowicz jest piękna. Wszak to osoba medialna i co najmniej z ekranów telewizorów znają ją w Polsce wszyscy. Do tej pory mógł jej wizerunku nie znać Macron, bo chyba rzadko ogląda polską telewizję. Teraz, po tej kokieteryjnej prowokacji w mediach społecznościowych, o której na pewno francuskie służby, jak nie prasowe, to specjalne, poinformowały prezydenta, zapewne obejrzał sobie konterfekt osoby, która się porównała do jego żony. Można zasadnie podejrzewać, że jeśli jeszcze nie jest zakochany na zabój, od tego stanu dzieli go tylko krok. Gdyby w dodatku dane mu było poznać arystokratyczne maniery Krystyny Pawłowicz (my w Polsce znamy je aż nadto dobrze), jej kulturę osobistą, takt, wyszukane słownictwo, kulturę

jedzenia nawet w trudnych warunkach sali sejmowej, dostojność ruchów całej postaci, cechy jej anielskiej wprost osobowości, dotychczasowa pani Macron nie miałaby żadnych szans. Jeśli

**Macronowi trzeba podsunąć kochankę.
Kandydatka już jest.**

do tego dołożyć niewątpliwie głęboki patriotyzm pani Pawłowicz, jej przywiązanie do prezesa Kaczyńskiego, to nie ma cienia wątpliwości, że Macron, a wraz z nim cała Francja działaliby pod dyktando pisowskiej polityki i nawet premier Morawiecki nie musiałby kontynuować przyjaźni z panią Le Pen.

Nie wykluczam jednak, że Krystyna Pawłowicz może mieć w kraju też inne zadania. Prezydent złożył w Sejmie projekt ustawy o konkurencyjnej wobec PAU i PAN Akademii Kopernikańskiej, która ma zrzeszać mędrców z prezydenckiej nominacji. Tu również widzę rolę dla Krystyny Pawłowicz, bo można by twórczo dla dobra kraju wykorzystać, oprócz jej przymiotów wspomnianych wyżej, zaletę dotąd niewymienioną. Jej mądrość i kulturę dialogu. Tak, Krystyna Pawłowicz na pewno nadaje się na prezesa Akademii Kopernikańskiej! Nawet bardziej niż prof. Zybertowicz.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Nacjonalizm przybiera na sile

Orbán, Kaczyński, przywódcy Serbii, Salvini zaczęli za przykładem Donalda Trumpa umacniać narodowy populizm

Rozmawia
Bronisław Tumiałowicz

Czy nacjonalizm może być tylko zły, czy też zdarzają się jego pozytywne odmiany?

– To zależy, o jakiej odmianie nacjonalizmu myślimy. Może być np. nacjonalizm obywatelski (*civic*) i nacjonalizm etniczny. Podam dwa przykłady z polskiej historii, Romana Dmowskiego i Józefa Piłsudskiego. Piłsudski reprezentował nacjonalizm obywatelski zasadzający się na rozbudowywaniu bazy państwowej łączącej mniejszości narodowe, religijne, etniczne. Tymczasem

się dosyć wyraźnie od tego, z czym mamy do czynienia teraz. Podobnie jest w innych krajach, np. we Francji, gdzie podziały polityczne nie przebiegają już według starych wzorów, np. lewica-prawica. Między rządem a opozycją różnice są dużo ostrzejsze i można je określić jako podział między elitą a narodem, ludem. Poszczególne odłamy czy partie polityczne mają różne proveniencje, ale współczesny nacjonalizm populistyczny zakłada istnienie wspólnego wroga, wobec czego elita jest zdrajcą narodu, bo działa przeciwko racji stanu. Scena polityczna w Polsce również może być takim *case study*, bo dominuje tu narracja określająca

– Nacjonalizm i populizm mają takie samo jądro, czyli naród. Elita jest tu wrogiem wewnętrznym. W II Rzeczypospolitej wrogiem był Żyd, obcy. A ponieważ pierwszy prezydent Gabriel Narutowicz został wybrany m.in. przy sporym udziale głosów mniejszości, zapłacił za to życiem. Teraz retoryka polityczna posługuje się jeszcze odpryskami tej międzywojennej, używa sformułowań lewacka, masońska, żydowska, liberalna itd., co mało wyjaśnia, a dużo komplikuje na poziomie sensu politycznego, ale jest bardzo skuteczne. Europa, rozumiana jako Unia Europejska, dotąd bardzo jednolita ideologicznie i programowo, opierała się na dwóch filarach: Europejskiej Partii Ludowej i frakcji socjalistycznej. Teraz Orbán, Kaczyński, przywódcy Serbii, a w moim kraju były wicepremier Matteo Salvini, zaczęli po części małpować Donalda Trumpa i umacniać narodowy populizm. Powstał nowy rozkład sił, nowa równowaga pomiędzy ugrupowaniami i ruchami liberalno-demokratycznymi i narodowo-populistycznymi. Zamiast Europy jako wspólnoty interesów, zmierzającej być może w kierunku federacji niepodległych państw, tworzy się Europa jako organizacja narodów, Europa ojczyzn. Choć najwyraźniej potrzebujemy ścisłej współpracy w dziedzinie energetyki, obronności, zmian klimatycznych, demograficznych itd., tworzą się tendencje odśrodkowe, egoistyczne.

Napaść Rosji na Ukrainę chwilowo podtrzymała spójność Unii.

Współczesny nacjonalizm populistyczny zakłada istnienie wspólnego wroga, wobec czego elita jest zdrajcą narodu, bo działa przeciwko racji stanu.

nacjonalizm etniczny ma inne zabarwienie. Wyklucza inne mniejszości, stawiając za cel państwo jednolite etnicznie. Choć oba nacjonalizmy dążą do ugruntowania mocy i stabilności państwa, różniły się jednak wyraźnie i diametralnie, były względem siebie w opozycji. Polska, a konkretnie II Rzeczpospolita, stanowi więc według mnie doskonałe studium przypadku (*case study*) do analizy kwestii narodowej. Tego dotyczy właśnie wydana przeze mnie we Włoszech książka „Polonia Restituta”.

Czy my w Polsce nadal żyjemy w atmosferze lat 20. zeszłego wieku?

– Uważam, że dzisiaj funkcjonuje inna forma nacjonalizmu, związana z populizmem. Chociaż jej korzenie na pewno tkwią w historii i tradycji polskiej polityki, to, co się pojawiło w pierwszej połowie XX w., różni

wroga wewnętrznego i zewnętrznego. Elita związana z Unią Europejską była do niedawna wrogiem. Teraz nałożyła się na to wojna w Ukrainie i wrogiem jest Putin. Pojawiła się okazja, aby skorzystać skutecznie z takiej populistycznej retoryki, sugerując, że tragedia smoleńska też jest z tym wrogiem związana.

Dotychczasowe ciągoty narodowe i nacjonalistyczne zostały wzmocnione przez retorykę populistyczną operującą pewnymi skrótami myślowymi, prostymi, choć nie zawsze trafnymi receptami. Czy tak?

Prof. Daniele Stasi – specjalizuje się w historii doktryn politycznych, a szczególnie w problematyce neonacjonalizmów i współczesnych populizmów. Niedawno wydał we Włoszech książkę „Polonia Restituta” analizującą sytuację polityczną w Polsce od odzyskania niepodległości w 1918 r. do zamachu majowego w 1926 r.



PROF. DANIELE STASI z Uniwersytetu w Foggii

– visiting profesor na Wydziale Stosowanych Nauk Społecznych i Resocjalizacji Uniwersytetu Warszawskiego

Czy nadal obowiązuje maksyma, że wrogowie naszych wrogów są naszymi przyjaciółmi?

– Powstała nowa konstelacja polityczna, ale chyba nie na długo. Zygmunt Balicki, publicysta, polityk i jeden z czołowych ideologów Narodowej Demokracji, w książce „Egoizm narodowy wobec etyki” podkreślał, że każdy nacjonalizm jest egoistyczny, bo zabiega tylko o interesy danego narodu. W relacjach międzynarodowych taki sojusz bywa raczej krótkotrwały, bo na arenie politycznej nacjonalizmy walczą między sobą. Formuła, w której wrogowie naszych wrogów są naszymi przyjaciółmi, może mieć chwilowy charakter. Nie powstanie przecież międzynarodówka nacjonalistyczna. Może być tylko nacjonalizm włoski, niemiecki, rosyjski itd. W Unii Europejskiej prace idą w kierunku łączenia interesów państwowych, takiego ich dopasowywania, aby służyły każdemu. Narodowi populiści uważają, że to niemożliwe.

Ale przecież nie cofniemy się do księstw udzielnych czy miast-państw. Jest globalizacja, która wiele ujednoliciła, uwspółniła, zuniwersalizowała.

– Nacjonalizm populistyczny tworzy nowe problemy, nie rozwiązując istniejących. **Nacjonałści wołają ludzi niepokoić, a nie uspokajać?**

– Ale problemów do rozwiązania jest przecież bez liku. Przydałaby się więc wspólna polityka związana z imigrantami, a nie wrogość wobec przybyszów i unijnych projektów.

Nacjonalizm populistyczny tworzy nowe problemy, nie rozwiązując istniejących.

Coś trzeba przedsięwziąć w związku z polityką ekologiczną. Jakoś trzeba się porozumieć w sprawie stosunku do Rosji, która w istocie toczy wojnę z całym Zachodem. Negowanie sensowności współpracy europejskiej wywraca te procesy do góry nogami. Polska, w 2004 r. wstępując do Unii Europejskiej, dokonała skoku cywilizacyjnego i tu egoistyczna postawa była i jest krótkowzroczna. **Mówi pan o sprawach, wydawałoby się, oczywistych. Tymczasem**

umiejętnie prowadzona propaganda populistyczna potrafi odwrócić przekonania niemal o 180 stopni. Przykładem jest stosunek Polaków do uchodźców, jeszcze sprzed exodusu Ukraińców.

– Winna jest tutaj także polityka historyczna, która staje się głównym elementem nacjonalizmu. Na bazie różnych traum narodowych można ludzką wiedzę i poglądami bardzo skutecznie manipulować i tworzyć postawy nacjonalistyczne. Polska jest rajem dla polityki historycznej. Wystarczy przejść ulicami Warszawy, by zobaczyć, ile jest tutaj pamiątek przeszłości. Można skutecznie manipulować tymi tragediami i w ten sposób tworzyć nowe zastępy nacjonalistów, oficjalną narrację tożsamości narodowej, która zamiast ludzi łączyć, tylko dzieli. **Czyżbyśmy byli niechlebnym wyjątkiem w panoptikum manipulacji europejskiej?**

– Nie. Tak się robi i w innych krajach, gdzie populizm dochodzi do głosu. Na przykład Silvio Berlusconi, trzykrotny premier Włoch, starał się przeciwstawić dotychczasowej narracji, która legitymację moralną dawała wojnie partyzanckiej, zwycięstwu włoskiego ruchu oporu nad faszystowską władzą. Symbolem oporu jest bardzo popularna piosenka partyzancka „Bella Ciao”, której upowszechnianiu sprzeciwił się Berlusconi. Przypisuje mu się więc próbę rehabilitacji włoskiego faszyzmu. Tym tropem idą dalej

włoscy nacjonałści, którzy chcą tworzyć nowe dogmaty. Generalnie mówi się, że historia dzieli się na „naszą” i jakąś „inną”, którą zajmują się naukowcy. Taki sposób myślenia rozciąga się na inne sfery, m.in. epidemię koronawirusa. Co innego mówią naukowcy, co innego „nasi”. Polityka i nauka stają się rozłączne. Nawet nie konsultuje się z ekspertami decyzji w różnych ważnych sprawach. Proces modernizacji staje pod znakiem zapytania, ▶

▶ skoro w populistycznych rządach regułą jest niekompetencja. Pandemia nie pokonała populizmu, raczej go umocniła. Ten sposób rządzenia odnosi czasem sukcesy. Triumfem populizmu jest np. brexit.

Czyli jesteście świadkami globalnej inwazji postaw egoistycznych wzmocnionych brakiem kompetencji w najważniejszych sprawach. Rozpadł się ZSRR, ale także Jugosławia i Czechosłowacja. I po co?

Nacjonalizmy wróciły na scenę w Europie, ale i w USA za prezydentury Donalda Trumpa.

– Amerykański politolog Francis Fukuyama powiedział, że upadek komunizmu to koniec historii. Powstanie teraz system homogeniczny oparty na liberalnej demokracji, będącej wraz z rynkowym porządkiem gospodarczym najdoskonalszym z możliwych systemów. Nic nie zatrzyma procesu demokracji. Niestety, sytuacja wygląda inaczej. Nacjonalizmy nie trafiły na śmietnik historii, wróciły na scenę w Europie, a nawet w USA za prezydentury Donalda Trumpa. Koniec bipolarizmu zamiast eksplozją demokracji zaowocował rozwojem tak lekceważonych nacjonalizmów. W tym w krajach postkomunistycznych. Realizm przegrywa z twardą ideologią. Kryzys finansowy roku 2008, pandemia i wojna przyspieszyły tendencje centralizacji władzy zamiast jej uspołecznienia. Powstanie państw pseudoautorytarnych wspomaga również wszechobecna sfera mediów.

W rękach populistycznej władzy media się prostytuują.

– Tu posłużę się przykładem Włoch. Silvio Berlusconi, przyjaciel Putina i Kaddafiego, stworzył imperium medialne, które postarało się o monopol. Ten proces, zakończony w 1992 r. upadkiem systemu, w którym prym wiodły różne partie polityczne, zaowocował radykalną zmianą, powstaniem systemu rządów koalicji populistycznej złożonej

z dwóch partii. Berlusconi przez dwie dekady nie tylko pomnażał majątek, ale też był głównym bohaterem sceny politycznej. Lider Ligi Północnej Matteo Salvini ma dziś jego poparcie. Przed rokiem 1992 mieliśmy we Włoszech względnie stabilną scenę polityczną. Teraz rozgorzała walka ideologiczna, równowaga została zaburzona, co skutkuje niekorzystnymi procesami, z którymi Włochy borykają się od lat. Na przykład narastają różnice między północą a południem Włoch, rośnie biurokracja, klientelizm polityczny i ekonomiczny niszczy wolny rynek, Włochy mogą się znaleźć w sytuacji, przez którą przeszła Grecja – stać się pasożytem w „bogatej” Europie, bo standardy ekonomiczne i polityczne są zagrożone. Nacjonalisci mówią wprost: Unia Europejska nie może nam narzucać standardów i norm.

Co robić? To pytanie politycy zadawali sobie niejednokrotnie.

– Oczywiście wybrać odpowiednich polityków, którzy przeciwstawiają się niebezpiecznym tendencjom, ale Berlusconi, który wciąż chce odgrywać ważną rolę w polityce, liczy na odejście premiera Maria Draghiego i wybranie na jego miejsce kogoś mniej „europejskiego”. A na Węgrzech Orbán ponownie wygrał w demokratycznych wyborach.

Czy globalizacja nie jest w stanie usunąć ze sceny tendencji nacjonalistycznych?

– Nie. Wręcz odwrotnie, bo ona jednak nie obejmuje w ten sam sposób całego świata. Nie może zapewnić wszystkim narodom i państwom takiej samej redystrybucji dóbr. Jednym przynosi wzmocnienie, a drugim cierpienie. Wbrew temu, co głosił Fukuyama, globalizacja tworzy nacjonalizmy i dzisiaj widzimy to coraz wyraźniej w Europie. Zresztą główną przyczyną wybuchu II wojny światowej również był nacjonalizm.

Ten kierunek polityczny i prąd ideologiczny jakby dodatkowo syci się takimi patologiami społecznymi jak szowinizm, rasizm, antysemityzm, homofobia, wszelkie inne ksenofobie, fundamentalizm religijny. A przecież nie każdy nacjonalista musi być homofobem czy dewotem.

– Oczywiście nie każdy nacjonalista musi być homofobem, ale jeśli np. polskość ma być silnie oparta na katolicyzmie, to „prawdziwi Polacy” będą się opowiadać za twardym modelem rodziny. We Włoszech, które nie są państwem faszystowskim ani rasistowskim, takie tendencje są jednak obecne

Pandemia nie pokonała populizmu, raczej go umocniła.

na scenie politycznej. U nas też zaobserwowaliśmy spektakularny wzrost ruchów negujących np. istnienie epidemii. Tym wszystkim żywi się populizm, a doskonałym nośnikiem różnych idei są media. Tutaj mogą zabłysnąć charyzmą rozmaici ideolodzy. Mimo że niektórzy – jak Orbán – są dosyć niekonsekwentni albo nawet – jak Salvini – groteskowi, dzięki mediom zdobywają poklask liczących się grup wyborców.

Co zatem czeka liberalną demokrację?

– Trudno być prorokiem. Na razie żadne ugrupowanie kierujące się racjonalizmem nie zyskuje masowego uznania.

Bliskiemu mi
Markowi Ungierowi
głęboko współczuję
po śmierci Syna.

Ze słowami wsparcia i otuchy

Jerzy Domański

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

O przyjaźni

Czy znajomość zaledwie półtoraroczną, utrzymaną wyłącznie przez telefon i mejle, można nazwać przyjaźnią? Czy kogoś, kto nie jest rodziną, kogoś starszego o pokolenie, można uznać za rodzinę i rówieśnika? Czy można mieć przyjaciółkę, której nigdy nie widziało się na oczy? Wszystko to możliwe – przykładem Ewa.

Poznaliśmy się przez anons w izraelskiej gazecie – ubiegłej jesieni. Ale przed wielu laty urodziliśmy się w tej samej krakowskiej kamienicy, przy ulicy Dietla 99. Ewa była jej współwłaścicielką i mieszkała tam przed wojną. Ja w PRL mogłem być tam tylko lokatorem. Skoro jednak pochodziliśmy „z Dietla”, natychmiast uznaliśmy, żeśmy się odnaleźli. I od razu mówiliśmy sobie „ty”.

Ten kontakt spadł mi jak z nieba. Kończyłem właśnie pisanie książki „Pamięć gromadzi prochy”, gdzie pomieściłem rozdział o dziejach tej kamienicy. Gdyby nie Ewa i jej syn Ami, rozdział wyglądałby inaczej. Ewa mieszkała w Zurychu, lecz gadaliśmy przez telefon całymi godzinami. I wymienialiśmy mejle, czasem co parę dni. Ewa wróciła do polszczyzny, języka jej dzieciństwa. Opowiadała nie tylko o kamienicy, lecz o całym swoim życiu.

Kamienicę opuściła jako 11-latką – we wrześniu 1939 r. Pożegnała się z ojcem, który, zmobilizowany do Wojska

Polskiego, pomaszzerował na Wschód (umrze potem z wycieńczenia, po dotarciu do armii Andersa). Z matką rozpoczęła tułaczkę, która zakończyła się w warszawskim getcie. Przeszmuglowane na aryjską stronę, uczestniczyły obie w powstaniu warszawskim. Ciekawe jednak: rodzina Ewy ucierpiała w sumie bardziej od ZSRR niż od III Rzeszy – piszę o tym w mojej książce. Czy ucierpiała też od Polaków? Gdy w roku 1945 matka z córką wróciły „na Dietla”, nowi lokatorzy kazali im się wynosić. A gdy w grupie ocalałych Żydów udały się do krakowskiej synagogi, otoczył ich tłum, szemrzący: „Ilu to ich jeszcze zostało?!”.
 Czy można mieć przyjaciółkę, której nigdy nie widziało się na oczy?

Ewa mówiła o tym bez złości. Chyba nie umiała nie nawidzić. Miała w domu w Zurychu nagranie hejnału mariackiego. I nadesłała mi film „Krakowska jesień”, w którym polsko-izraelski pisarz i reżyser Natan Gross wspomina nostalgicznie nasze miasto. Snuliśmy więc z Ewą marzenia: ona i Ami przyjadą do Krakowa, siądziemy na kawie w Rynku, popatrzymy na Sukiennice, posłuchamy hejnału... Wiedziałem, że to się nie spełni,

i Ewa też chyba wiedziała, ale zawsze wpadała w entuzjazm i obiecywała przyjechać do Krakowa.

Była spokrewniona z krakowską rodziną Aleksandrowiczów, przed wojną właścicieli sklepu papierniczego w domu Pod Globusem u wylotu ulicy Długiej. Róża Aleksandrowicz, muza krakowskich malarzy, portretowana przez Jacka Malczewskiego, Teodora Axentowicza czy Vlastimila Hofmana, była jej ciotką. Ja sam w dzieciństwie często bywałem w sklepie, o którym jeszcze wtedy mówiło się „u Aleksandrowicza”. Również więc na tym terenie spletały się nasze krakowskie tropy – polskie i żydowskie.

W czasie pandemii, gdy kontakty międzyludzkie tak bardzo się rozrzedziły, my przyjeśliśmy się nawzajem do swych rodzin. To, że „należę do rodziny”, powtarzała mi Ewa kilkakrotnie, i nawet zazwyczaj nie dodawała, że należę „w sensie duchowym”. Ona też zawsze pytywała o moją rodzinę, interesując się zwłaszcza mą trzyletnią wnuczką Elizą – sama miała tylko synów. Nie zdziwiłem się, gdy mi powiedziała: „Myślałam o tobie nawet wtedy, gdy cię nie znałam”, bo przecież ja też

myślałem o niej, nieznajomej, gdy przez tyle lat usiłowałem znaleźć ślad ludzi, którzy „na Dietla” żyli przede mną.

W październiku „Neue Zürcher Zeitung” zrobił z Ewą wywiad – była ostatnim w Szwajcarii świadkiem Holokaustu. Ale nie tylko Zurych, lecz i Kraków usłyszał o niej w minionych miesiącach. Wspomniany rozdział w mojej książce został jej i Amiemu dedykowany, o nich obojgu pisałem w miesięczniku „Kraków”, skontaktowałem też Ewę z autorem albumu o Róży Aleksandrowicz, prof. Aleksandrem Skotnickim, on zaś natychmiast odszukał i przesłał do Zurychu przedwojenny numer telefonu jej „dietlowskiego” mieszkania. Tymi nawiązanymi po latach krakowskimi kontaktami Ewa ogromnie się cieszyła. Natomiast – doświadczona wojną – przeżywała wojnę obecną, w Ukrainie. „Pamiętasz tę starą pieśń »Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki...« – pisała w ostatnim mejlu, wieczorem 28 lutego. – Ja teraz sobie powtarzam »Boże, coś światu...«. Andrzej, życzę ci zdrowia i siły, a naszemu całemu światu łaski Boskiej – jak najprędzej. Śpij zdrowo, Ewa”.

Ewa Heller-Toren zmarła w Zurychu 24 kwietnia. Miała 94 lata. Z jej śmiercią urwała się jedna z ostatnich nici łączących mnie z dzieciństwem.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Okrakiem na medialnej barykadzie

Choć wojny kulturowe w USA nabierają intensywności,
nie wszyscy chcą brać w nich udział

Mateusz Mazzini

30 kwietnia, być może po raz pierwszy od wielu miesięcy, większości amerykańskich dziennikarzy (przynajmniej tych najwyższego szczebla) było do śmiechu. Po dwuletniej, wymuszonej pandemią przerwie powrócił bowiem Bal Korespondentów, doroczne święto symbiozy mediów i polityki. Oficjalnie jest to impreza dla setek reporterów akredytowanych i pracujących na co dzień w Białym Domu. Nieformalnie jednak to dowód na współistnienie i wzajemną zależność obu grup zawodowych. Choć poza tym jednym wieczorem toczą ze sobą wojny, z roku na rok coraz ostrzejsze i częściej rozgrywane się w salach sądowych, doskonale wiedzą, że istnieć bez siebie nie mogą.

Amerykane oczekują od mediów nie tylko opisywania rzeczywistości, ale też jej współtworzenia. Najlepiej tak, jak sami ją widzą.

Na Balu Korespondentów pojawia się więc i sam prezydent, są szefowie najważniejszych departamentów, szare eminencje Białego Domu. Niektóre głowy państwa próbują swoich sił w komediowych przemówieniach, czasami, jak w przypadku Baracka Obamy, z całkiem niezłym skutkiem. Częściej jednak wyręczają ich w tym profesjonaliści, rzucający w ich kierunku ostre, a bywa, że i brutalne żarty. Prezydent śmieje się z nich, po części dlatego, że musi. Inaczej nie wypada, nie można wszystkiego, co dziennikarze (również ci satyryczni) mówią na nasz temat, traktować śmiertelnie poważnie.

Donald Trump, który bal bojkotował trzy lata z rzędu, był jednak innego zdania. Jego nastawienie do mediów głównego nurtu, z wyjątkiem Fox News, niektórych kanałów

kablowych i dogorywającego dziś serwisu Breitbart, znane było doskonale jeszcze przed rozpoczęciem prezydentury. Trudno właściwie stwierdzić, czy bardziej dziennikarzy się bał, czy ich nienawdził, choć w gruncie rzeczy to kwestia drugorzędna, bo skutek był ten sam. Dla Trumpa niezależne, krytyczne (z obowiązku) wobec niego redakcje były po prostu zagrożeniem. Dla niego samego, a przez to, przynajmniej w jego filozofii, dla całej Ameryki. Ponieważ sam siebie uważał za trybuna ludowego z monopolem na prawdę, jedynego pełnoprawnego przedstawiciela narodu, jego przeciwnicy automatycznie stawali się wrogami ojczyzny, piątą kolumną podważającą amerykańską rację stanu. Trump, czego nie ukrywał, zupełnie nie rozumiał, dlaczego media nie są mu posłuszne i jednoznacznie przychylne. I tak

i artystów. O nienawiści Trumpa oraz podobnych mu populistycznych strongmanów napisano już opasłe tomy. Rzadko jednak pojawiają się analizy pokazujące przeciwny punkt widzenia. Jak politycy podchodzą do mediów, wiemy dobrze. Ale co na to mówią same media – niekoniecznie.

Ostatnie kilkanaście lat spolaryzowało amerykańską opinię publiczną w sposób trudny do wyobrażenia. Obserwatorom polskiej dyskusji o stanie państwa może to się wydawać niemożliwe, ale w Stanach Zjednoczonych sytuacja jest o wiele gorsza. Dobrze ilustruje to w książce „Why We're Polarized” (Dlaczego jesteśmy spolaryzowani) Ezra Klein, były naczelny portalu Vox, dziś jeden z wiodących felietonistów „New York Timesa”. Stawia, i potwierdza w naukowy wręcz sposób, prostą, ale bolesną tezę, że Stany Zjednoczone pękają dziś na kawałki.

A pęknięcia te rysują się wzdłuż ostrych jak brzytwa indywidualnych tożsamości. W wyobrażeniach Amerykanów na własny temat co-

raz rzadziej daje się znaleźć punkty wspólne. Kraju, pisze Klein, nie tworzy już jedno społeczeństwo, funkcjonują w nim wrogie sobie plemliona, z których każde pragnie mieć własne, sobie tylko podporządkowane instytucje. Polaryzację widać więc w niezdolnym do ponadpartijnej współpracy Kongresie i na kampusach uniwersyteckich. Widać ją też oczywiście w mediach, po obu stronach barykady. Ale w ferworze opisywania wojen kulturowych często zapomina się, że niektórzy na tej barykadzie siedzą okrakiem. I płacą za to cenę.

Ten tekst nie ma być pochwałą symetryzmu, pojęcia, które w spolaryzowanych społeczeństwach robi oszałamiającą karierę, choć nie do końca wiadomo, co tak naprawdę znaczy. Zamiast tego niech będzie

każda gazeta czy stacja telewizyjna jest wehikułem propagandy, dlatego więc nie może być to propaganda wspierająca jego administrację?

USA pękają na kawałki

Powyższy wstęp nie jest oczywiście specjalnie odkrywczy. Trump był w końcu rasowym populistą, a ci wysadzają w powietrze każdy typ niezależnych instytucji w demokracji, do których wolne media niezaprzeczalnie się zaliczają. Celnie podsumowuje to w swoich analizach populizmu francuski politolog Pierre Rosanvallon, który zauważa, że ograniczanie wolności słowa przez populistyczne rządy odbywa się tak samo często jak upolitycznianie sądownictwa, likwidowanie trzeciego sektora czy gwałcenie niezależności naukowców

30 kwietnia, po dwuletniej przerwie powrócił Bal Korespondentów – doroczne święto symbiozy mediów i polityki.



pytaniem o granice dziennikarskiego zaangażowania w spór publiczny. Gdzie ona właściwie przebiega? Czy w sporze tym wolno rozgraniczać rolę reportera i obywatela? Czy media muszą bronić demokracji? I kto właściwie decyduje, czy demokracja w ogóle jest zagrożona albo nawet martwa?

Trump hołubiony i wyrzucony

Na te pytania praktycznie codziennie odpowiadać muszą sobie szefowie największych amerykańskich redakcji. I dochodzą do różnych wniosków. CNN, jednoznacznie definiujące Trumpa i jego lojalistów z Partii Republikańskiej jako siłę antydemokratyczną, szkodliwą dla USA jako państwa, nie miało problemu z wyborem strony, po której stoi. W listopadzie 2020 r., kilka dni po zakończeniu wyborów prezydenckich, gdy wynik był znany i akceptowany już przez wszystkich poza Trumpem, stacja podjęła decyzję o nietransmitowaniu przemówień głowy państwa. Ówczesny prezydent uznał wybory za sfałszowane, choć przez kolejne trzy miesiące nie był w stanie znaleźć nawet cienia

dowodu na poparcie tych twierdzeń. Szefowie CNN, wsparci przez swoje reporterskie i publicystyczne gwiazdy: Andersona Coopera, Christiane Amanpour i Chrisa Cuomo, stwierdzili, że nie będą już Trumpowi dawać czasu antenowego na szerzenie teorii spiskowych.

Co dokładnie kierowało Jeffem Zuckerem, wtedy dyrektorem stacji, nie wiadomo. Można jednak się domyślać, że ze swoich programów wyciął Trumpa po części z powodu wyrzutów sumienia. Po wyborze na prezydenta w 2016 r. kandydata republikanów miliony wyborców zarzucały bowiem mediom, w tym CNN, że zaoferowały mu setki godzin materiałów w najważniejszych programach – o wiele za dużo, więcej, niż dostałby jakiegokolwiek inny prawicowy polityk. Trump przez długi czas pozostawał dla mediów niegroźnym szaleńcem zapewniającym sensację, a dzięki temu oglądalność. Nawet najgłośniejsza jego wypowiedź była szeroko komentowana, a przez to odbierana przez miliony ludzi. To samo dotyczy zresztą innych mediów, także internetowych i drukowanych. Klasa dziennikarska, w opinii zwłaszcza lewicowych, progresywnych

komentatorów, nie zdała wtedy egzaminu. Jon Allsop, wykładowca prestiżowej Szkoły Dziennikarskiej na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku i publicysta branżowego pisma „Columbia Journalism Review”, uważa wręcz, że to liberalne media (a nie Facebook, fake newsy i Rosjanie) wyniosły Trumpa na piedestał, torując mu drogę do rządzenia krajem.

Zucker miał więc powód, by poczuć się współwinnym degrengolady amerykańskiego życia publicznego. Być może w ramach mea culpa, a może pod wpływem spadających słupków oglądalności i porażek z kablowymi rywalami, wywalił Trumpa ze swojej stacji zupełnie. Pewnie wierzył, że w ten sposób chroni amerykańską demokrację. Odbiera przecież mikrofon quasi-autokracji, który procesy demokratyczne szanuje wyłącznie wtedy, gdy służą jego celom. Problem w tym, że, jak dowodzą Ezra Klein i dziesiątki innych politologów, ani Zucker, ani inne bojkotujące eksprezydenta media demokracji nie chronią ani nie uzdrawiają. Wręcz przeciwnie, pogłębiają tylko okopy, w których wygodnie moszczą się strony polaryzacji. ►

► Nowe nazwiska, stare problemy

Od tamtej brawurowej akcji minęło półtora roku. Jej bohaterzy są dziś w zupełnie innych miejscach na scenie polityczno-medialnej. Zuckera i Chrisa Cuomo w CNN nie ma już w ogóle. Pierwszy wyleciał za zata-

politycy. Tej grupie przewodzi „New York Times”. Co znów polskiego czytelnika może dziwić, bo nowojorska gazeta, tradycyjnie bardziej liberalna niż konserwatywna, w republikanów i trumpowców waliła ciężką artylerią, i to seriami. To z „NYT”, dzięki Maggie Haberman, wyszły dowody na

by stać się opozycją. Nie ulegniemy też pochwałom, które chcą, byśmy nią byli”. Krótko mówiąc, „NYT” zdecydował, że odwrotnie niż stacje telewizyjne pozostaje przy tradycyjnej roli relacjonującego, a nie kreującego świat zewnętrzny.

Jak łatwo sobie wyobrazić, nominacja Kahna wywołała falę krytyki. Jay Rosen, profesor dziennikarstwa na New York University, zarzucił gazetę, że unika pisania „o zamachu na amerykańską demokrację”. Dan Gillmor z Arizona State University stwierdził, że zostanie ona zapamiętana „jako organizacja, która świadomie służyła interesom ludzi demolujących amerykańską republikę”. Kyle Pope z „Columbia Journalism Review” ubolewał, że „NYT” pozostaje „nie wolnikiem starych idei”, podczas gdy konkurencyjne „Los Angeles Times” i „Washington Post” zatrudniły szefów spoza własnych redakcji. Branża dała więc czytelny sygnał: „New York Times”, nie stając po żadnej stronie, staje po stronie zła.

Sulzberger niewiele sobie robi z tych komentarzy. W liście do pracowników podkreślił, że ci, którzy

jenie romansu ze współpracowniczką, drugi za niezgodne z etyką stacji doradzanie własnemu bratu, oskarżonemu o molestowanie seksualne byłemu gubernatorowi stanu Nowy Jork, Andrew Cuomo. Trump zbroi się do walki o powrót do Białego Domu, ale sukcesów nie odnosi aż tyle, ile mu wieszczono całkiem niedawno. Trudniej mu o fundusze na kampanię, kongresowe śledztwa ponad wszelką wątpliwość dowodzą jego winy w podjudzaniu do szturm na Kapitol w styczniu ub.r., a dziennikarze dalej grzebią w jego zeznaniach podatkowych. Ta ostatnia historia groziła mu zresztą więzieniem, od którego uchronili go głównie przychylni mu przysięgli. Nazwiska zatem się zmieniają, lecz problem pozostaje. Spolaryzowani Amerykanie oczekują już od swoich mediów nie tylko opisywania rzeczywistości, ale również jej współtworzenia. Najlepiej w taki sposób, w jaki sami ją widzą.

Doskonale w tej roli sprawdza się Fox News. Tucker Carlson, największa gwiazda stacji, propagandzistą prawicy jest tak dobrym, że wyręcza elity Partii Republikańskiej. Nie udaje nawet przez chwilę, że jest dziennikarzem, w głoszeniu Trumpowskich prawd staje się momentami bardziej żarliwy od samego Trumpa. Po przeciwnej stronie jest CNN, z podejściem praktycznie bliźniaczym, choć opakowanym w bardziej akceptowalne narzędzia i narracje. Dla jednych Trump jest jedynym prawdziwym demokratą, dla drugich zagrożeniem dla egzystencji amerykańskiego państwa.

Nie wszyscy jednak zdecydowali się iść tą drogą. Dla niektórych Trump i jego przybocznicy to ani święci, ani szatani, tylko po prostu aktywni

matactwa podatkowe eksprezydenta, to „NYT” włożył kij w tożsamościowe mrowisko, uruchamiając słynny Projekt 1619. Jego założeniem była kontrowersyjna nawet dla lewicowych historyków teza, że współczesne amerykańskie społeczeństwo swoje początki ma właśnie w roku 1619, a więc w chwili przybycia na kontynent pierwszych niewolników z Afryki. Mimo to linia redakcyjna „NYT” nigdy nie uznała Trumpa i jego otoczenia za kogoś więcej (lub mniej) niż prawicowych polityków. Pojedynczy autorzy nazywali go potencjalnym niszczycielem demokracji, gościnni felietoniści

To liberalne media, a nie Facebook czy fake newsy, wyniosły Trumpa na piedestał, torując mu drogę do rządzenia krajem.

– nawet faszystą, ale gazeta jako instytucja nigdy tego kursu nie obrała.

I obierać nie zamierza, nawet po zmianie redaktora naczelnego. 20 kwietnia A.G. Sulzberger, wydawca „New York Timesa”, poinformował, że na tym stanowisku Deana Baqueta zastąpi 57-letni Joseph Kahn. To pod każdym względem kandydatura wewnętrzna. Kahn prawie całą karierę spędził w „NYT”, do roli szefa był szykowany od lat, a jego awans zwiastuje utrzymanie dotychczasowej linii.

Innymi słowy, „New York Times” nie zamierza brać udziału w wojnach kulturowych. Nie będzie bronić amerykańskiej demokracji, bo nie taka jest w niej rola mediów, przynajmniej według Kahna i Sulzbergera. Wydawca swoje credo wyraził zresztą już wcześniej. W 2018 r., podczas jednego ze spotkań z czytelnikami, powiedział: „Nie ulegniemy presji,

nominację Kahna interpretują jako wotum zaufania dla dotychczasowego podejścia gazety, mają rację. Dziennik szybko się rozwija, ma stabilną sytuację finansową, nie ma zatem potrzeby zmieniania modelu pracy redakcji. Gdzieś w tle wybrzmiewa jednak wątpliwość, jak długo utrzymywanie go będzie możliwe. Antydemokratyczne siły są w USA bardzo mocne, bez względu na to, jakimi etykietkami się je określa. Po szturmie na Kapitol wiadomo już, że w celu przejęcia władzy nie zawahają się nawet przed przemocą polityczną. Kiedy wygrają, na nazywanie ich autokratami może być za późno, bo nie będzie wolno tego robić. Jedni martwią się tym już dziś, drudzy zdecydowali się czekać. A rację będzie miała tylko jedna strona.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Parafrazując biblijnego Koheleta, można na poziomie niedookreślonej ogólności powiedzieć, że zawsze jest czas na coś i na coś innego czasu nie ma. Może będzie później, ale nie teraz, na boga, nie teraz, jak możesz w takim momencie wyskakiwać z tym temacikiem zastępczym, wątkiem pobocznym, marginalnym głosikiem. „Nie szkoda róż, gdy płonie las”. Na naszej liście priorytetów czegoś zawsze braknie, coś nie dojedzie, o czymś nie da się pogadać. Jakoś dziwnie się składa, że większość tych zastrzeżeń, wykluczeń, „zamilknij teraz” połajane płynie niemal jednokierunkowo. To ostrze „nie czas teraz” zwrócone jest nad Wisłą od ponad 30 lat w stronę praw, zagadnień i rozwiązań socjalnych, polityk społecznych.

Nie czas na biadolenie o likwidowanych pegeerach, gdy świeżo importowane kowadła „wolnorynkowe” („wolno-” w znaczeniu wolne żarty) wykuwały bożka wzrostu – produkt krajowy brutto. Ma rosnąć bez końca i nieopamiętałe ten sztuczny wskaźnik liczenia wartości

„świętej własności prywatnej” pod wezwaniem Reagana i Thatcher. Stwierdzenie, że „jeśli fakty przeczą teorii, tym gorzej dla faktów”, znalazło w nim najwierniejszego z wiernych kapłanów.

Kiedy PiS rozwalalo konstytucyjne umocowania sądów, prokuratury, Trybunału Konstytucyjnego, nie było czasu na mówienie o zapisanej tamże „społecznej gospodarce rynkowej” – walka o konstytucję miała rzekomo uniemożliwiać domaganie się spójnej, efektywnej polityki mieszkaniowej, edukacyjnej, opiekuńczej (coraz większe jej połacie prywatyzowano). Podobnie służba zdrowia – intratne zabiegi i wysokopłatne usługi oddano w prywatne ręce, ale kiedy choroba jest przewlekła, opieka uciążliwa, ratunku można szukać tylko w państwowych placówkach. Polskie pielęgniarki należą do najstarszych w Europie, jest ich z roku na rok mniej, wymierają, jak i sami Polacy. I co? I nic. W modelu żarłocznego biedakapitalizmu nie są w cenie i nie znajdują uznania.

Zawsze za późno, zawsze za wcześnie

wyprodukowanych w danym roku towarów i usług. PKB został wymyślony w rooseveltońskich czasach po wielkim kryzysie, później przemaglowany przez speców od ideologii nowoczesnego kapitalizmu wbrew założeniom, celom i ograniczeniom, które opisywał i podnosił jego twórca Simon Kuznets, amerykański ekonomista o białoruskich korzeniach. Wskaźnik ten nie uwzględniał kosztów, w szczególności kosztów społecznych. Tylko pieniądz. Bez liczenia i pytania o szkodliwość czy pożytek. O kontekst ludzki, środowiska naturalnego, gospodarki wydobywczej, surowcowej. PKB nigdy, a w szczególności obecnie, nie opisywał poziomu dobrobytu i stanu zadowolenia czy szczęśliwości społeczeństwa. Liczono tylko wytworzony pieniądz – on był szczęściem, spełnieniem, horyzontem, marzeniem. W tym świecie było miejsce tylko dla silnych i bezwzględnych, umiejętnie układających się z państwem i na nim pomnażających swoje majątki.

Nikt nie ma tylu niekrytykownych praw, co nowo zaistniały bożek. A tym był PKB w Polsce lat 90., sprowadzony i zapakowany jak regalik z Ikei, wraz z instrukcją dla idiotów, czytana wówczas przez emisariusza neoliberalnej szkółki chicagowskiej – Jeffreya Sachsa (uczciwie dodajmy, człowieka, który w ostatnich dekadach przejrzał na oczy i stał się zagorzałym i dosadnym krytykiem zaaplikowanej krajom poradzieckim terapii szokowej i ich konsekwencji). Jego ówczesny akolita wykonawczy, zwany ministrem finansów, a nawet wicepremierem, Leszek Balcerowicz, niestety nie otrzeźwiał do dzisiaj i wierzy bez śladu wątpliwości w przykazania religii

Nie czas mówić o pokoju, kiedy trwa wojna. Ale kiedy jeszcze nie wybuchła, też nie było czasu albo był zły czas. Podziwiane w świecie Muzeum II Wojny Światowej zostało spacyfikowane wedle zaleceń jednego z recenzentów, który konstatawał, że nazbyt eksponowane jest hasło „Nigdy więcej wojny”. No to już jest. Wojna. Potem będzie muzeum.

Nie czas na prawa kobiet, LGBT, pracowników (wydmuszkowa Państwowa Inspekcja Pracy jest wzorcem instytucji atrapowej), nie czas na prawa uczniów, uchodźców z Iraku, Syrii, Afganistanu. Nie czas na mówienie o mediach publicznych i ich powinnościach wobec społeczeństwa, kiedy trzeba walczyć z partyjnię sprywatyzowanymi mediami Kurskiego (Jacka). Ale też nie było czasu przez minione dekady. Kurski postawił pisowską kropkę nad uzależnieniem mediów od bieżących polityków. Nie ma czasu, nie ma czasu. Chyba żeby przepisać milionowe dobra na żonę, zanim zostanie się premierem, chyba żeby kupić bez przetargu trefne respiratory od no-name’a albo okazynie od Kościoła działkę i ją opchnąć wielokrotnie drożej. Nie ma czasu, żeby się zająć pedofilią księży oraz ukrywających i tuszujących ją biskupów, ale żeby odebrać immunitet posłance Scheuring-Wielgus za powieszenie w proteście dziecięcych bucików na kościelnym płocie – czas się znajdzie.

Ale „przyjdzie krysa na Matyska”. Matyskowie wszystkich „niemaczasów” – szykujcie się, wasz czas dobiega końca, czas na po was.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Włoch

W przyszłym roku, 13 marca, papież Franciszek będzie obchodził dziesięciolecie pontyfikatu, a w grudniu ub.r. skończył 85 lat, klasyfikując się tym samym wśród dziesięciu najdłużej żyjących papieży w historii i wyprzedzając Jana Pawła II, który 85. urodzin nie dożył. Gdy po dymisji Benedykta XVI (który właśnie ukończył 95 lat i gdyby nie rezygnacja, byłby najstarszym ze wszystkich papieży – przyp. aut.) Jorge Mario Bergoglio zasiadł na tronie Piotrowym, wiele wskazywało, że jego pontyfikat może należeć do krótkich i przejściowych. Sam papież wspominał o dymisji i przynajmniej przy trzech okazjach, mówiąc o ewentualnych przyszłych zobowiązaniach w okresie trzech lub pięciu lat, twierdził, że „weźmie w nich udział kolejny papież”. Ostatni raz odpowiedział tak kilka miesięcy temu biskupowi Ragusy, który zaprosił go na 75. rocznicę powstania diecezji. Franciszek uśmiechnął się, skinął głową na zgodę i żartem odpowiedział, że w 2025 r. to włoskie miasto odwiedzi Jan XXIV.

Tymczasem Bergoglio był już świadkiem wielu wydarzeń kluczowych dla świata i związanych z nimi faz historycznych: urodził się w okresie dojrzewania totalitaryzmów XX w.; jako dziecko przeżył II wojnę światową; dorastał w okresie zimnej wojny (patrzac na nią z zupełnie innej perspektywy niż Jan Paweł II); w Argentynie był świadkiem brudnej wojny i okropności reżimu Videli; przeżył upadek muru berlińskiego; jako papież musiał się zmierzyć z kryzysem migracyjnym wywołanym przez globalizację, wojny i zmiany klimatyczne, stawić czoła światowej pandemii, a teraz stanął w obliczu wojny, która wybuchła w Europie po niemal 80 latach relatywnego pokoju i dobrobytu i która może się przekształcić w III wojnę światową, a nawet w konflikt nuklearny. Chyba żaden inny papież nie musiał sprostować tylu wyzwaniom, co 266. wikariusz Chrystusa.

Jak Włosi oceniają Franciszka

Chyba żaden inny papież nie musiał sprostać tylu wyzwaniom



Papież, który dzieli i łączy

Rok po roku Franciszek kształtuje Kościół katolicki zgodnie z własną wizją, starając się dostosować go do współczesności i zmian globalizacyjnych. Jego wybory dotyczące sfery moralnej, obyczajowej, społecznej, ekonomicznej i ekologicznej – pod

2020 r. Z badań tych wyłonił się obraz „dwóch równoległych Kościołów” istniejących we Włoszech, mających kilka punktów wspólnych i bardzo wiele różnic. Z jednej strony to „Kościół katolików postępowych”, uwiedzionych nową „teologią ludu” Bergogli, który teologię wyzwolenia przekształcił w bezkrawną walkę

14% Włochów sądzi, że to, co robi argentyński papież, nie jest zgodne z nauczaniem Chrystusa.

różnymi względami bardziej radykalne niż poprzedników – z jednej strony prowadzi do rozłamu wśród katolików i szerzej pojętej opinii publicznej, z drugiej stają się uniwersalnym spoiwem ludzkości.

Kierunki tego rozłamu najlepiej pokazywał sondaż przeprowadzony przez włoski instytut badania opinii publicznej i rynku SWG w listopadzie

o ludzką godność, o prawa migrantów, ubogich, ostatnich, używając antykapitalistycznej retoryki typowej dla Ameryki Łacińskiej i przeciwstawiając się nacjonalizmowi. Z drugiej strony jawi się „Kościół tradycjonalistów” – żelaznych konserwatystów i zagorzałych przeciwników Franciszka, którzy posądżają go o zbytne upolitycznienie,

a nawet o „ulewicowienie” Kościoła. Pierwsi uważają, że Kościół kierowany przez Franciszka jest otwarty, bliższy ludziom, zarówno wierzącym, jak i niewierzącym, a przede wszystkim sprawiedliwszy. Drudzy oskarżają Bergoglia o sprzeniewierzenie się Ewangelii i zdradę tradycji. 14% Włochów sądzi, że to, co robi argentyński papież, nie jest zgodne z nauczaniem Chrystusa. Ale 52% popiera jego działania i wybory. Co najciekawsze, jego zwolennicy i przeciwnicy różnią się płcią. Aż 59% opozycjonistów Ojca Świętego to mężczyźni, a popiera go 52% kobiet. Największy wpływ na oceny Włochów ma jednak ich orientacja polityczna. 58% krytyków papieża to wyborcy centroprawicy, a ich radykalny trzon stanowią ultrapravicowcy i narodowcy – jednym słowem Bergoglio nie podoba się zwolennikom Ligii Północnej ani Braci Włochów. Po przeciwnej stronie plasuje się elektorat Partii Demokratycznej oraz Ruchu Pięciu Gwiazd. Tych ostatnich uwiódł latynoski populizm Bergoglia. To dość zaskakujące, ale były arcybiskup Buenos Aires, który w swoim kraju był uważany za prawicowego tradycjonalistę, we Włoszech uchodzi za lewaka.

Papież wyżej niż Watykan

Iacopo Scaramuzzi, włoski watykanista i autor książki „Bóg? Tylko po prawej stronie. Populizm a chrześcijaństwo” (Wydawnictwo WAM, 2021), zaskoczył mnie właśnie tym stwierdzeniem, że we Włoszech papieża Franciszka ceni się wyżej niż Watykan i włoską Konferencję Episkopatu. Według Scaramuzziego w porównaniu z poprzednikami Franciszek jest bardziej doceniany przez opinię publiczną, złożoną także z osób niewierzących, niż przez katolickich konserwatystów.

– Socjolog Franco Garelli przeprowadził trzy badania dotyczące włoskich katolików w ciągu 30 lat. Najnowsze zostały opublikowane w 2020 r. w książce „Ludzie małej wiary” („Gente di poca fede. Il sentimento religioso nell’Italia incerta di Dio”, Il Mulino, 2020) – mówi Scaramuzzi. – W ostatnich czasach

Garelli odnotował powiększenie się grupy, którą on definiuje jako „katolików kulturowych”, czyli osoby, które określają się jako katolicy, ale nie chodzą na mszę. Katolicyzm jest elementem ich tożsamości. Nie naśladują jednak Kościoła ani gdy ten „skręca na lewo” – bo opowiada się za przyjęciem imigrantów – ani gdy „skręca na prawo”, krytykując aborcję i śluby homoseksualne. Są to osoby bardzo zsekularyzowane, które widzą w Kościele element gwarancji społecznej, jedności narodowej, a przede wszystkim minionego „lepszego” świata. To elektorat, po który sięgają później włoskie partie prawicowe i ich liderzy – Matteo Salvini i Giorgia Meloni, którzy podczas kampanii wyborczych całują różaniec i deklarują się jako chrześcijanie.

Bergoglio, który w Argentynie był uważany za prawicowego tradycjonalistę, we Włoszech uchodzi za lewaka.

Także dla Salvatore Cernuzia z portalu Vatican News papież Franciszek pozostaje we Włoszech liderem, jednym z nielicznych, do których ludzie w dalszym ciągu mają zaufanie. – Może zmniejszył się trochę entuzjazm, z jakim Włosi na początku przyjęli nowego papieża, ale z biegiem lat jest to naturalne – twierdzi Cernuzio. – Dziś Franciszek jest postrzegany jako lider światowy, który potrafi budować mosty i jednoczyć ludzi, a także zbliżać odległe światy. Mogliśmy zaobserwować to podczas pandemii i teraz wojny. Z powodu dużej liczby fake newsów, podających w wątpliwość nawet fakty obiektywne, papież pozostaje jednym z nielicznych głosów, których słucha się z zaufaniem i pewną ulgą. Oczywiście ma on wciąż wielu przeciwników, którzy go krytykują i podważają jego autorytet. Mimo to jest w stanie dotrzeć do wszystkich, również do niewierzących i wyznawców innych religii.

Papież, pandemia i wojna

Według Marca Politiego, włoskiego watykanisty i pisarza, pandemia

jest cezurą, która wyraźnie dzieli pontyfikat Franciszka. Teraz papież przeszedł do ofensywy, zwłaszcza w obliczu wojny. – Pandemia była wielkim szokiem dla Kościoła, gdyż po raz pierwszy od 20 wieków w czasie zarazy Kościół jako instytucja zniknął ze sceny publicznej – przyznaje Politi, który temu tematowi poświęcił ostatnią książkę: „Franciszek. Plaga, odrodzenie” („Francesco. La peste, la rinascita”, Laterza, 2020).

– W przeszłości to Kościół w czasach zarazy organizował modły, by prosić Boga o przebaczenie, świątynie były pełne, ulicami przechodziły procesje, księża chodzili do chorych z ostatnim namaszczeniem, szpitalami zarządzali zakonnicy. W ubiegłych wiekach Kościół był bohaterem

każdej epidemii. Tym razem po raz pierwszy na scenie pojawili się wirusolodzy, epidemiolodzy, naukowcy. Franciszek zrozumiał tę nowość i zdecydował, że liturgię Wielkanocy w czasie pandemii odprawi samotnie 27 marca 2020 r., na pustym placu św. Piotra. On sam, w samotności – której wtedy doświadczali wszyscy ludzie odizolowani w domach podczas kwarantanny – wziął na siebie symbolicznie cały strach, rozpacz, osamotnienie ludzkości. Papież nie powiedział – tak, jak bywało w przeszłości – że to kara boska i musicie żałować za własne grzechy, gdyż Bóg jest obrażony i zesał plagę. Franciszek złamał ten schemat, mówiąc, że to jest moment nie sądu bożego, ale naszego sądu nad tym, co dla nas ważne, a co nie, co przejściowe, a co ma prawdziwą wartość. To był apel o odpowiedzialność i solidarność wszystkich ludzi. Franciszek stwierdził: „Wszyscy jesteśmy na tej samej łodzi, albo uratujemy się wspólnie, albo razem utoniemy”. To był bardzo silny przekaz – zwraca uwagę Politi.

Decyzje, gesty i słowa Franciszka w czasie pandemii zjednały mu wielu ▶

► zwolenników. Podobnie jak fakt, że papież walczył z irracjonalizmem, przeciwstawiając się antyszczepionkowcom oraz tym, którzy szerzyli fejk i podważali naukę.

Jednak postawa papieża wobec wojny w Ukrainie nie dla wszystkich jest jasna. Decyzja o tym, aby podczas tegorocznej Drogi Krzyżowej w Koloseum powierzyć niesienie krzyża dwóm przyjaciółkom pielęgniarkom – Ukraince Irinie i Rosjance Albinie, podzieliła opinię publiczną, nie tylko we Włoszech. Wielu Ukraińców poczuło się urażonych, ambasada Ukrainy we Włoszech zakwestionowała decyzję Watykanu, a media ukraińskie nie transmitowały uroczystości.

Zdaniem Marca Politiego nieporozumienia i krytyka symbolicznego gestu podczas Drogi Krzyżowej pokazują, że nie tylko w Ukrainie, ale i poza nią, zwłaszcza we Włoszech, utworzyły się dwa stronnictwa. Jedno jest patriotyczne, ale także nacjonalistyczne, i chce, aby papież nie tylko opowiedział się przeciwko agresji Putina, ale również wziął udział w wojnie przeciwko Rosji, co byłoby bardzo ryzykowne dla świata.

– Franciszek uważa, że Watykan nie może być angażowany w wojnę po czyjejkolwiek stronie, musi być bezstronny – tłumaczy Politi. – W Ukrainie Rosja jest zaangażowana bezpośrednio, natomiast kraje należące do NATO, w tym Stany Zjednoczone, prowadzą wojnę zastępczą. Franciszek nie jest pacyfistą, ale reprezentuje trzecią drogę. Uważa, że z obecnej sytuacji można wyjść jedynie poprzez zawarcie nowego paktu globalnego, jak w latach 70. XX w., kiedy to pomiędzy blokiem wschodnim i zachodnim

dyplomację. Rozmawiałem z różnymi kardynałami i część kurii rzymskiej oraz dyplomacji watykańskiej jest przeciwna temu, aby papież opowiedział się po jednej stronie konfliktu. Dlatego Bergoglio nie potępił otwarcie Rosji i nie wypowiada nazwiska Putina. Później doszedł do wniosku, że w tym momencie nie ma sensu jechać do Kijowa, gdyż rozwiązanie konfliktu może nastąpić wyłącznie w Moskwie. Wiemy, że dyplomacja watykańska od dawna pracuje nad wizytą ekumeniczną papieża w Rosji.

Wywiadem dla „Corriere della Sera” papież chciał wyrzucić presję, aby przyspieszyć wizytę w Moskwie i wykorzystać ją do mediacji pokojowej. Nie zostało to dobrze odebrane na Kremlu.

doszło do porozumienia i podpisano układ o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Należy dążyć do nowej konferencji helsińskiej, decydującej o bezpieczeństwie i współpracy w stosunkach międzynarodowych. Dyskusja o tym, że Franciszek nie potępił Putina bezpośrednio, jest częścią spekulacji politycznej. Także Jan Paweł II, który był przeciwny wojnie Busha w Iraku, nigdy go nie wymieniał i nie potępił Stanów Zjednoczonych, choć wszyscy znali jego stanowisko.

Jeszcze więcej kontrowersji i wprost krytyki wzbudził wywiad papieża dla „Corriere della Sera”, a zwłaszcza jego słowa pod adresem NATO. – Moim zdaniem nie wszystko jest tu jasne – mówi Marco Ansaldo, watykanista i wydawca specjalny dziennika „La Repubblica”. – Na pewno Franciszek opowiada się po stronie ukraińskiej ludności cywilnej, czego symbolem była ukraińska flaga z Buczy, którą papież publicznie ucałował. Myślę jednak, że większość Włochów dziś stawia sobie pytanie, dlaczego Ojciec Święty nie może zrobić więcej, np. pojechać do Kijowa, odpowiadając na zaproszenie Zełenskiego. Zwykłym ludziom trudno zrozumieć zawichość dyplomacji. Papież chciał pojechać do Kijowa, ale został zablokowany przez watykańską

Moim zdaniem Franciszek poprzez wywiad dla „Corriere della Sera” chciał wyrzucić pewną presję, aby tę wizytę przyspieszyć i wykorzystać jako okazję do mediacji pokojowej. Nie zostało to jednak dobrze odebrane w Moskwie. Wyomowne było oświadczenie rzecznika prasowego Kremla, Dmitrija Pieskowa, że nie ma porozumienia w sprawie spotkania Putina z papieżem. Z kolei patriarchat moskiewski wyraził opinię, że Franciszek popełnił błąd, krytykując Cyryla. Po tym jak papież odwołał spotkanie z nim w Jerozolimie i nazwał go w wywiadzie „ministrantem Putina”, szanse na dialog są raczej nikłe. Zresztą w Watykanie nie widzi się w tym momencie takiej potrzeby. Jeżeli natomiast chodzi o zdanie dotyczące „szczekania NATO pod drzwiami Rosji”, jest to osobista opinia Bergogli, który jako osoba pochodząca z Ameryki Łacińskiej i skłaniająca się ku populizmowi, uważa, że atak Rosji na Ukrainę miał przyczynę.

Czy Franciszek jest symetrystą? Raczej nie. Ale ta jego próba wymuszenia swojej podróży do Moskwy i słowa o szczekaniu uniósł niejedną brew nie tylko w Watykanie. Na pewno będzie to okazja do krytykowania papieża przez jego konserwatywną opozycję w łonie Kościoła.

Agnieszka Zakrzewicz



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Ludzie listy piszą

Trzy smakowite, godne pamięci cytaty z minionego tygodnia, dwa zagraniczne, jeden krajowy. Najpierw Łukaszenka: „Ludzie jadą do nas i kupują sól. Oni nie mają soli. Wielki Zachód, bogaty Zachód, a soli nie ma. (...) Oto i cała demokracja. Chwała Bogu, że mamy dyktaturę! Cały czas mnie krytykowali: Dyktatura! Dyktatura! Przynajmniej porządek jest”.

A to nasza niezastąpiona Krystyna Pawłowicz; gniewa się, bo poseł lewicy Tomasz Treła wypomina jej, że nie chce ujawnić swojego majątku: „Lewacki poseł Treła chce ujawnienia mego stanu majątkowego... Ty chamie! Łobuzie! Dziadu kalwaryjski! Udowodnij najpierw, że brałam łapówki! V ruska kolumno! Łachu jeden! Albo na kolana, pod stół i odszczekać! Was ucieszy tylko seria w nasze plecy...”. Oto kulturalny język sędzi Trybunału Konstytucyjnego. Ona i Piotrowicz – dwie karykatury w Trybunale.

No i na deser minister Siergiej Ławrow opowiada w wywiadzie dla włoskiej telewizji, jak można „denazyfikować” państwo, którego prezydent jest Żydem. Wyjaśnia, że żydowskie pochodzenie Wołodomyra Zełenskiego nie podważa rosyjskiej tezy propagandowej o nazistowskim charakterze ukraińskich władz: „Adolf Hitler również miał żydowskie korzenie, (...) największymi antysemitami są właśnie Żydzi”.

Przejmujemy się wojną w Ukrainie, i to jak, i słusznie, ale przecież to nie Rosja najbardziej zagraża naszej planecie, lecz zmiany klimatyczne, o których w międzyczasie zapomnieliśmy. Bardzo ładnie opisał dramat, jaki nas czeka, fizyk atmosfery Szymon Malinowski: „Postępuję się metaforą. Jesteśmy załogą statku kosmicznego »Ziemia« i bezmyślnie grzebiemy w jego systemach. Po pierwsze, niszczymy powłokę tego statku, czyli to, co oddziela nas od przestrzeni kosmicznej. Poprzez emisję gazów cieplarnianych zmieniamy własności atmosfery, w wyniku czego wewnątrz robi się nieznośnie ciepło. Po drugie, regularnie wycinamy i niszczyliśmy biosferę, czyli system, który mógłby uchronić nas przed skutkami tego ocieplenia, absorbując gazy cieplarniane, a który do tego produkuje dla nas żywność. I to są dwie negatywne tendencje, które rujną nasz świat. Ale zamykamy na to oczy. Problemy życia codziennego, które oczywiście też są ważne, zajmują nas tak bardzo, że nie dostrzegamy najpoważniejszego zagrożenia”. I zaskakująco wielu ludzi zupełnie

nie zdaje sobie sprawy z powagi zagrożenia. Właściwie to wszyscy mamy za mało wyobraźni na skalę dramatu, jaki nas czeka.

W listach mojego ojca do brata z lat 50. i 60. jest ta cała bieda i szarość PRL, a o tym zapomnieliśmy. W maju roku 1960 ojciec pisze: „Kiedy wieczorem przejeżdżam czasem przez Warszawę, doznaję smutku i przygnębienia: chłód, mrok, chamstwo, powszechna ponura nieżyczliwość, która udziela się nawet kamienicom. Ludzie chętnie siedzą u siebie w zamkniętej przestrzeni, inaczej niż w krajach, gdzie nawet powietrze pełne jest obietnic”. Pięć lat później po powrocie z zagranicy: „Warszawa jest strasznie brzydka. Z przykrością chodzę po niej. Ponure, ciemne, ubogie miasto-wieś”.

Teraz powroty z zagranicy nie są już takim szokiem. Chociaż Paryż, Londyn czy nawet Praga wpędzają nas nadal w kompleksy. Bardzo mi smutno, że ojciec nie mógł dożyć świetniejszej Warszawy. Nawet dom na Łwicz-

kiej, gdzie mieszkaliśmy, gdzie mieszkała grupa znanych pisarzy – opisałem go w „Domu pisarzy w czasach zarazy” – ma nową elewację i stał się na zewnątrz elegancki, ale klatka schodowa

nadal w opłakanym stanie. To dobrze oddaje zmiany w Polsce, są wielkie, ale nadal połowiczne. Gdy się zwieżdza takie skrawki minionego życia zamknięte w listach, zdumiewa, jak szybko na tym wszystkim wyrosła trawa.

Inne listy markiza de Custine’a z XIX-wiecznej Rosji; cytowałem je, by ukazać, jak jego spostrzeżenia są aktualne, więc sugerowałem, że musiało się stać, tak jak się stało, taka jest już rosyjska natura. A przecież sam w to nie wierzę. Wierzyć w niezwykłą trwałość charakteru narodowego to pójście na łatwiznę. Proszę popatrzeć, jak zmienili się Niemcy. Rosja szła w inną stronę za Jelcyna, była nastawiona na przyszłość, teraz zasklepiła się w swojej przeszłości, imperium, naród jakoś lepszy niż Zachód, a zarazem jakoś gorszy, a jeśli gorszy, to z winy Zachodu. Gdyby się znalazł tam zamiast Putina inny przywódca, Rosja mogłaby iść w kierunku Europy, na co Europa liczyła. W latach 90. to jeszcze nie była naiwność, naiwne to było po Krymie. Dzisiaj już się stało, Rosję zdominowała przeszłość. Teraz w długiej perspektywie trudno liczyć na liberalną demokrację w tym kraju, można co najwyżej liczyć na zdrowy rozsądek, na racjonalne decyzje polityczne, tak mało, tak wiele.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Dlaczego lewica nie prowadzi własnej polityki historycznej?

Narracja IPN nie napotyka prawie żadnego intelektualnego oporu lewej strony sceny politycznej

August Grabski

Polityka historyczna polskiego państwa służy wyłącznie interesom prawicy i Kościoła katolickiego. Choć wszyscy znamy frazesy o państwie jako dobru wspólnym, w jego obecnej polityce historycznej nie znajdują odbicia doświadczenia, wrażliwość ani pamięć dużej części mieszkańców RP. Tym samym w kategoriach symbolicznych państwo robi z różnych grup naszego społeczeństwa obywateli drugiej kategorii. Dotyczy to mniejszości wyznaniowych, narodowych, seksualnych, osób niewierzących lub krytycznie ustosunkowanych do Kościoła katolickiego, sympatyków lewicy, osób krytycznie nastawionych do „dziedzictwa Solidarności” itp. Doświadczenie tych grup i ich wizja historii są ignorowane, dewaluowane lub wręcz wyszydzane przez Instytut Pamięci Narodowej, Instytut Pileckiego, Muzeum II Wojny Światowej i setki innych instytucji państwowych lub samorządowych. I oczywiście jest to robione z pieniędzy, które płacimy jako podatnicy.

Jeśli więc masz pecha i jesteś w Polsce np. Białorusinem – polskie państwo zafunduje ci kult „Burego”, jeśli jesteś Żydem czy Słowakiem – kult „Ognia”, jeśli jesteś krytyczny wobec Kościoła katolickiego – nie licz, że kiedykolwiek w państwowej telewizji zobaczysz nieapologetyczny program o JP2. Czasami takie grupy sprowadzone do roli obywateli

drugiej kategorii są bardzo liczne; jeśli więc należysz do ok. 33% Polaków pozytywnie oceniających stan wojenny z 1981 r., to polskie państwo również zrobi wszystko, by cię obrazić.

Prawica nie tylko wykorzystuje i całkowicie zawłaszcza instytucje państwowej edukacji historycznej, ale też ma liczne własne, prywatne instytucje propagandowo-oświatowe – pisma, telewizje, stacje radiowe, organizacje młodzieżowe – dopełniające publiczny dyskurs. Z drugiej strony narracja IPN, przyznajmy otwarcie, nie napotyka prawie żadnego intelektualnego oporu ze strony tego, co nazywane jest w polskiej polityce lewicą. W tej dziedzinie „lewica” nie zbudowała nieomal niczego. PRZEGLĄD jest tu jednym ze szlachetnych wyjątków, ale nie ma on istotnego wpływu na parlamentarną „lewicę”. W III RP w kształcie takim, w jakim została poczęta i trwa już od kilku dekad, nie ma w praktyce miejsca na przebicie się do mainstraemu żadnej lewicowej kontrnarracji.

Lewicowość – w III RP pojęcie mgliste

Kwestia lewicowości, czym jest lewica, na czym polega lewicowość, pozostaje w III RP bardzo niejasna. Jest to oczywiście pochodna beznazdziej, jaką był Sojusz Lewicy Demokratycznej (przemianowany w styczniu 2020 r. na Nową Lewicę).

Wspomniana partia, choć dwa razy wygrała wybory parlamentarne

(1993, 2001) i dwa razy wybory prezydenckie (1995, 2000), za każdym razem głęboko rozczarowała swoich wyborców. Obiecywała większą ochronę socjalną i państwo neutralne światopoglądowo, praktyka natychmiast po każdym kolejnym zwycięstwie okazywała się diametralnie inna. „Lewica” prywatyzowała więc bardziej niż prawica, uelastyczniała Kodeks pracy bardziej niż liberałowie, oddawała Kościołowi więcej majątków niż prawicowcy, wykazywała się większym entuzjazmem wobec NATO, USA i udziału Polski w amerykańskich interwencjach niż część ugrupowań konserwatywno-narodowych itp. Było to działanie nawet wbrew jej najbardziej podstawowym interesom, bo w sumie oznaczało jej stopniowy upadek – od jednego z głównych obozów w polskiej polityce w kierunku partii drugoligowej, niemającej szansy na samodzielne rządy i jedynie statystykującej konfliktowi między PiS i PO.

Oczywiście idee lewicowe były cały czas w III RP aktywnie zwalczane przez wszelkiej maści liberałów i konserwatystów domagających się nieustannej pokuty za autorytaryzm epoki PRL. Jak głosiła słynna maksyma „Gazety Wyborczej”, „lewicy wolno mniej”. Ale właśnie SLD na tę formułę w pełni się godził! W końcu wielu czołowych przywódców „lewicy” – Barbara Nowacka, Bartosz Arłukowicz, Grzegorz Napieralski, Marek Borowski – otwarcie przeszło na stronę liberałów.

W normalnym kraju byłoby to nie lada sensacją – przywódca partyjny przechodzi do konkurencji?! Jaką wartość może przedstawiać sobą człowiek, który deklarował do tychczas zupełnie inne pryncypia? W Polsce jednak żadną sensacją to nie było, bo deklaracje „lewicy” o sprawiedliwości społecznej czy świeckości nijak się miały do oportunistycznej praktyki ciągłego zawodzenia własnego elektoratu. Tak! To chyba najbardziej uderzająca cecha SLD/Nowej Lewicy. Kiedy w Polsce głosujesz na prawicę, wiesz przynajmniej, że będzie ona konsekwentnie forsować swoje postulaty, ale gdy głosujesz na SLD/NL, z góry możesz założyć, że ci posłowie zapomną o obietnicach i nie będą mieli żadnych zasad.

W polskim społeczeństwie tematyka historyczna rezonuje niestychanie głośno – trzeba być chyba posłem SLD, by tego nie rozumieć. Można odnieść wrażenie, że posłowie Sojuszu to jedna z nielicznych

„lewicy” zdecydowali się stanąć po stronie „wyklętych” walczących z powojennym polskim państwem, lewicowym rządem i jego reformami społecznymi.

Obserwowane w ostatnich latach pojedyncze gesty mające świadczyć o pozytywnej zmianie – udział polityków „lewicy” w upamiętnieniu ofiar „Burego” czy wyjście w lutym tego roku posłów NL z sali sejmowej, gdy uczczono „Łupaszkę” – są właśnie tylko gestami, za którymi nie kryje się żadna szersza i odrębna wizja historii. Zresztą nawet one ciągle są niezrozumiałe dla części klubu Lewicy. Rok temu w Chełmie i Zamościu wiceprzewodnicząca klubu Lewicy Monika Pawłowska w najlepsze oddawała hołdy „wyklętym”. Dziś jest postanką PiS.

Największą zagadkę dla postronnego obserwatora polskiej sceny politycznej stanowi to, dlaczego SLD nie jest w stanie otwarcie odnieść się pozytywnie do tego, co najwartościowsze w historii lewicy,

a nie psychologiczny – związane są z genezą SLD jako masy spadkowej po partyjno-państwowej biurokracji (nomenklaturze) PRL.

Trochę teorii marksizmu

Polska Ludowa oznaczała postępy niemal we wszystkich sferach życia, ale jednocześnie była systemem, w którym klasa pracownicza podlegała różnym formom przemocy ze strony uprzywilejowanej nomenklatury. Ten importowany z ZSRR ustrój społeczny pozbawiony był możliwości długofalowego trwania. Już w 1936 r. Lew Trocki – wygnany przez Stalina na emigrację współtwórca ZSRR – pisał w „Zdradzonej rewolucji” o kilku wariantach przyszłości biurokratycznego socjalizmu, z których każdy oznaczał jego destabilizację i upadek.

Jak przewidywał Trocki, zwycięska interwencja Zachodu oznaczałaby włączenie się wielu funkcjonariuszy nomenklatury w nowy,

SLD nie był w stanie pozytywnie odnieść się do tego, co najwartościowsze w historii lewicy, czyli okresu PRL – czasu największych reform społecznych i skoku cywilizacyjnego.

grup, które nie oglądają telewizji 1 sierpnia, 17 września, 11 listopada, 13 grudnia czy coraz to nowych seriali „tożsamościowych” albo nie rozumieją, do czego prawicy IPN. Wydawało się, że dna upadku SLD doświadczył, gdy 3 lutego 2011 r. Sejm przyjął Ustawę w sprawie wprowadzenia święta Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”. Przeszła ona 406 głosami spośród 417 obecnych posłów. Tylko ośmiu posłów było przeciw – pięciu z PO, dwóch niezależnych i jeden z SLD (Artur Ostrowski); trzech się wstrzymało. Spośród posłów SLD za ustawą było 31! Jaki poziom reprezentuje ktoś, kto będąc posłem lewicy, głosuje za kultem „Kurasia”, „Burego” czy „Huzara”? Co skłoniło posłów SLD i Socjaldemokracji Polskiej (SDPL) do poparcia kultu morderców działaczy lewicy, Żydów, Białorusinów, chłopów biorących ziemię z reformy rolnej itp.? Wszyscy ci znani działacze

czyli okresu Polski Ludowej – czasu największych reform społecznych i największego skoku cywilizacyjnego w całej polskiej historii. Doszło wtedy do zniesienia drastycznych różnic klasowych, likwidacji bezdomności i bezrobocia, reformy rolnej, wprowadzenia powszechnego systemu bezpłatnej opieki zdrowotnej i oświaty, stworzenia systemu opieki nad matką i dzieckiem (żłobki, przedszkola, urlopy macierzyńskie), rozdzielenia Kościoła i państwa, niezależnienia od obcego kapitału, szybkiego uprzemysłowienia kraju itp. Jednak dla polskiej „lewicy” osiągnięcia PRL to największe tabu. Wypowiedzi posłów „lewicy” dotyczące tego okresu to zwykle popłuczyny po tezach liberałów. Skąd ta ułomność „lewicy”? Czy to np. kwestia słabości konkretnych osób i ich charakteru? Zapewne również, ale nie to jest najważniejsze. Przyczyny tego stanu rzeczy mają charakter przede wszystkim materialny,

kapitalistyczny porządek. Ale nawet w sytuacji dłuższego trwania systemu biurokratycznego sama nomenklatura inicjowałaby powrót kapitalizmu: „Założmy jednak, że ani partia rewolucyjna, ani kontrrewolucyjna nie zdobywają władzy. Biurokracja po staremu pozostaje na czele państwa. Stosunki społeczne również i w tych warunkach nie utrwalają się. Nie można wcale liczyć na to, że biurokracja potulnie i dobrowolnie wyrzeknie się siebie samej na rzecz socjalistycznej równości. Jeżeli obecnie, mimo zbyt oczywistej niedogodności operacji tego rodzaju, uznaje ona za możliwe wprowadzić rangi i ordery, to w dalszym stadium będzie musiała nieuchronnie szukać sobie oparcia w stosunkach własności. Można wyrazić zastrzeżenie, że wielkiemu biurokracie obojętne jest, jakie formy własności dominują, byleby on miał zapewnione należne dochody. Rozumowanie to ignoruje nie tylko ▶

► niepewność wszelkich uprawnień, jakie mają biurokraci, ale i kwestie losów potomstwa. Świeżej daty kult rodziny nie spadł z nieba. Przywileje mają tylko połowę wartości, jeżeli nie można pozostawić ich w spadku dzieciom. Prawo dziedziczenia jest jednak nieodłączane od prawa własności. Nie wystarczy być dyrektorem trustu, trzeba być jego udziałowcem. Zwycięstwo biurokracji w tej decydującej dziedzinie oznaczałoby przekształcenie się jej w nową warstwę posiadaczy”.

Upadek realnego socjalizmu pod koniec lat 80. nie był zatem, wbrew dominującym wyobrażeniom, klęską nomenklatury PZPR, która miałaby

socjalistyczne interesy proletariatu. Faszystowskie i w ogóle kontrrewolucyjne elementy, które nieustannie rosną, wyrażają coraz bardziej konsekwentnie interesy światowego imperializmu. Owi kandydaci do roli kompradorów nie bez podstaw uważają, że nowa warstwa rządząca może zabezpieczyć swe uprzywilejowane pozycje tylko drogą rezygnacji z nacjonalizacji, kolektywizacji i monopolu handlu zagranicznego, w imię przyswojenia »zachodniej cywilizacji«, tj. kapitalizmu. Pomiędzy tymi dwoma biegunami znajdują się pośrednie, płynne nurty, które ciężą ku burżuazyjnej demokracji” („Program przejściowy”, 1938).

wejścia do NATO, podpisania konkordatu, „kompromisu aborcyjnego”! Byli nawet tacy, którzy potępiali komunizm pod sztandarem prawicy, jak były sekretarz KC PZPR, a następnie redaktor naczelny „Wprost”, Marek Król.

Bez takiej, siłą rzeczy lapidarnej, historii nomenklatury nie sposób zrozumieć tego, że po 1989 r. nie mieliśmy w Polsce lewicy, ale jedynie jej atrapę w postaci SLD. Nieudolność SLD nie była funkcją np. niezdecydowania jej przywódców, lecz cechą systemową, związaną z interesami i kompletną bezideowością (przynajmniej w odniesieniu do idei lewicy)

Dna upadku SLD doświadczył 3 lutego 2011 r., gdy Sejm przyjął ustawę o Narodowym Dniu Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”. 31 posłów SLD było za, przeciw był tylko Artur Ostrowski.

uparcie walczyć o zachowanie dawnego porządku. Odwrotnie! To nomenklatura PRL sama z siebie dogadała się z wierzuszką Solidarności i, z błogosławieństwem Kościoła oraz USA, przeszła do rzeczywistości kapitalistycznej, do której predysponowały ją, a wręcz predestynowały, nagromadzone przywileje. Przywileje, a więc coś niepewnego i mogącego zostać utrwalonym i zalegalizowanym dopiero w porządku kapitalistycznym.

O poglądach politycznych nomenklatury Trocki pisał z kolei w następujący sposób: „Rewolucyjne elementy biurokracji, stanowiące niewielką mniejszość, odzwierciedlają, co prawda biernie,

Warto zwrócić uwagę, że już w latach 30. nomenklatura nie była jednolita ideowo i zawierała w sobie reprezentantów w zasadzie każdego kierunku politycznego, ale z najsłabszą opcją na rzecz egalitaryzmu społecznego. W polskim przypadku w 1989 r. okazało się nagle, że w kierownictwie PZPR – w Biurze Politycznym i Komitecie Centralnym (w sumie kilkaset osób, uwzględniając zastępców członków KC) – w ogóle nie ma żadnego ideowego komunisty! Ot, paradoks – nie do wytłumaczenia bez teorii biurokracji!

W następnych latach dawni członkowie władz PRL publicznie cieszyli się z reform rynkowych,

konkretnego środowiska nomenklatury. Od początku mieliśmy do czynienia z formacją niezainteresowaną obroną zdobyczy PRL: majątku narodowego, praw socjalnych, praw kobiet, kombatanów lewicy (LWP, KBW, MO, ORMO) itp. Formacją, która tylko wykorzystywała hasła lewicy do celów kampanii wyborczych. Elektorat lewicowy tego jednak nie wiedział lub nie rozumiał, więc głosował na tych, których kojarzył z peerelowskim socjałem, świeckością itp. Jasne, że z czasem postpeerelowski kapitał sympatii do SLD był roztrwaniany, głosowanie na tę formację stawało się coraz bardziej pochodną desperacji w obliczu ekspansji prawicy, a w elektoracie SLD objawiało się coraz więcej osób o poglądach liberalnych (pisał o tym Jakub Dymek na łamach PRZEGLĄDU nr 25/2021).

Odpuścić pseudolewicę

Po ponad 30 latach historii SLD przekonanie, że formacja ta mogłaby się przebudzić i przyznać do realnych tradycji polskiej lewicy, wydaje się czekaniem na Godota. W ogóle zresztą wiarygodność tej partii jest jej najsłabszym aspektem. Kto wie, czy jeszcze, gdy przed każdymi kolejnymi wyborami SLD/NL obiecuje,

**DWA TOMY TEKSTÓW
ZNAKOMITYCH AUTORÓW**

**Andrzej Walicki, Bronisław Łagowski,
Ludwik Stomma, Andrzej Werblan,
Dariusz Jarosz, Lech Mażewski,
Dariusz Łukasiewicz, Krzysztof Wasilewski**

Zamów książki na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt
wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska.

**Książki
PRZEGLĄDU**

PAKIEŃ .85 zł 59 zł

że załatwi sprawę ustawy antyaborcyjnej i konkordatu? Tylko ten, kto zapomni o całej dotychczasowej historii tego ugrupowania, zwłaszcza o latach rządów tego obozu politycznego.

Wiemy, że od początku mieliśmy w kierownictwie SLD do czynienia z postawą bezideowości. Nie wiemy – i przez długie lata się nie dowiemy – w jakim stopniu „lewica” rodząca się z III RP podlegała nieformalnemu wpływom obcych służb. Bardzo przydałaby się publikacja analogiczna do książki Setha G. Jonesa poświęconej finansowaniu przez CIA Solidarności („Tajna operacja. Reagan, CIA i zimnowojenny konflikt w Polsce”, Sonia Draga, Katowice 2019). Ta tematyka stanowi oczywiście tabu w polskiej debacie publicznej. A w jaki sposób CIA wpływała na kierownictwo PZPR/SLD? Pytanie to nie jest ukłosem w stronę teorii spiskowych – proszę przeczytać pracę Setha G. Jonesa. Tak po prostu działają supermocarstwa, gdy jakiś kraj wpada w ich strefę wpływów. Zazdrościsz naszemu wnukom, które przeczytają książkę ją dopełniającą. Parafrazując Michaiła Bułhakowa: „archiwa nie płoną”!

Zakończyć należałoby jednak optymistycznie: w Polsce w bardzo wielu tematach – polityki socjalnej, historycznej, świeckości państwa, polityki wschodniej – statystycznie potwierdzone duże grupy lewicowo zorientowanych obywateli nie mają swojej reprezentacji w Sejmie. W zakresie polityki historycznej lewicy to, co robi PRZEGŁĄD, jest bezcenne. Obyśmy dożyli dnia, gdy ten wypracowany kapitał intelektualny połączy się z nową lewicą wyłonią choćby z takich protestów jak demonstracje w sprawie praw kobiet jesienią 2020 r. Ta nowa lewica będzie musiała przejść zarówno po masie spadkowej SLD/NL, jak i narracjach IPN oraz mitach liberalizmu.

Dr hab. August Grabski jest historykiem, autorem publikacji dotyczących lewicy i polskich Żydów. Wkrótce ukaże się pod jego redakcją książka na temat wielo-
wyznaniowości współczesnej Warszawy



Po co komu lewica?

Zawiodłem się na Lewicy/lewicy. Już rząd lewicy po AWS przyniósł pierwsze rozczarowania. Był bardziej neoliberalny od prawicy. To ciągłe spanie na wycieraczce pod drzwiami „salonu” z nadzieją, że chociaż wpuszczą do przedpokoj, spowodowało stracenie z oczu idei lewicowych. Społeczeństwo przestało być priorytetem. Priorytetem stała się władza. Lub chociażby ciepło władzy. Lewica, tak często szermująca hasłami równości, stosowała podwójne standardy. Dlaczego Lewica/lewica uznała „święte prawo własności prywatnej”, zamiast optować za równouprawnieniem wszelkiej własności? Dlaczego w stosunkach międzynarodowych spolaryzowano politykę zagraniczną, nie próbując zachować nawet odrobiny samodzielności? (...) Teraz Lewica/lewica zapisała się do partii wojny. Zandberga usprawiedliwia częściowo generalny sprzeciw wobec wszelkich wojen, ale dlaczego nawołuje do „zdecydowanego oporu i zbrojenia”, a nie do rozmów pokojowych? Wystarczy zadać sobie pytanie: *cui bono?* Kto na tej wojnie zyskuje?

Dlaczego Polska po raz kolejny nie wykorzystwała swojej pozycji w mediacji między „rdzennym” Zachodem a Rosją w konflikcie ukraińskim? Bo a priori wszystkie rządy III/IV RP ustanowiły wroga na Wschodzie. I stało się to, co stać się musiało, jak u Czechów – strzelba wypaliła. A my pod łóżkiem, ze strachu znów stosujemy odpowiedzialność zbiorową i „żądamy” 100 tys. amerykańskich żołnierzy w Europie Wschodniej i zwiększamy budżet na złom do 3% PKB, rujnujemy szkolnictwo i ochronę zdrowia. Czyżby pierwszy wystrzał ze strzelby niczego nas nie nauczył?!

Marek Głowinkowski



Ilu emerytów mundurowych nie doczeka sprawiedliwości?

W PRZEGŁĄDZIE w rubryce „Giełda” przeczytałem, że „mimo obstrukcji obozu władzy sądy okręgowe w pierwszej instancji rozpatrzyły pozytywnie niemal 4 tys. spraw byłych funkcjonariuszy objętych tzw. ustawą dezubekizacyjną (...). Niestety, 3 tys. funkcjonariuszy zmarło, nie doczekawszy sprawiedliwości”. Zważywszy, że odwołania od decyzji emerytalnych wniosło ok. 24 tys. emerytów (to i tak tylko połowa z 50 tys. pokrzywdzonych), nietrudno wyliczyć, że rozpatrzenie pozostałych spraw może potrwać kolejne 10 lat, co razem z czterema minionymi daje 14 lat, a może dłużej, jeśli uda się odpowiednio „zdyscyplinować” sędziów. Ilu emerytów doczeka?

Wprowadzając wspomnianą ustawę, w zaplanowany sposób stworzono system prawnego i administracyjnego absurdu, a w zasadzie bezprawia. Państwo wobec własnych obywateli zastosowało ekonomiczną i psychiczną agresję. W praworządnym i cywilizowanym państwie to oskarżyciel powinien najpierw postawić uprawdopodobnione zarzuty złamania prawa, które zweryfikuje niezawisły sąd. W ustawie dezubekizacyjnej wprowadzono osobliwe rozwiązanie, polegające na tym, że sądy mają szukać winy w odniesieniu do tysięcy ludzi wytypowanych przez IPN, którym nie postawiono wcześniej uprawdopodobnionego zarzutu. Zastosowano przy tym nie przepisy Kodeksu karnego, ale ustawę emerytalną. Kuriozalność tych rozwiązań zapewne dostrzegł TK, który mimo sympatyzowania z władzą nie zdecydował się na wydanie orzeczenia o ich zgodności z Konstytucją RP. (...) Dziwi mnie, że elity intelektualne, autorytety prawne, a także politycy i publicyści milcząco przechodzą obok tego problemu, w jakimś sensie go legitymizując. Represyjny charakter ustawy i łamanie praw człowieka nie mogą budzić wątpliwości. Cel ten jest konsekwentnie realizowany poprzez przewlekanie dochodzenia przez emerytów sprawiedliwości, a niewielki odsetek rozstrzygniętych prawomocnie spraw ma tylko przykryć prawdziwy nikczemny, represyjny cel. Niestety, smutna jest milcząca akceptacja różnych niezależnych środowisk wobec takiego działania „suwerena”. (...) Kampania opluwania przyniosła oczekiwany przez władzę efekt.

Józef Szymczak, Radomsko

Niewesołe refleksje

Sprzecznością rządów PO było łączenie dążeń do mało konfliktowej „normalności” z nadmierną uległością wobec środowisk domagających się nowych cięć socjalnych

15 maja mija 92. rocznica urodzin prof. Andrzeja Walickiego, jednego z najwybitniejszych polskich uczonych ostatniego półwiecza. Autora prac, które w świecie zyskały ogromny rozgłos i za które otrzymał tzw. humanistycznego Nobla. Poniżej prezentujemy zapiski z jego „Dziennika”, które znalazły się w II tomie trylogii „PRL i skok do neoliberalizmu”, „Antykomunizm zamiast wolności. Porachunki inteligentkie”.

Andrzej Walicki

Przeszło miesiąc temu przeczytałem w „GW” artykuł Pawła Wrońskiego pt. „Nie bójcie się Kaczyńskiego”. Publicysta „GW” wyraził w nim pogląd, że zwycięstwo wyborcze PiS jest „zasłużonym triumfem” Jarosława Kaczyńskiego. Nagrodą za to, że umiał być cierpliwy i przesunął swą partię ku politycznemu centrum.

Diagnoza ta szybko okazała się błędna – tak szybko, że również dla mnie było to pewnym zaskoczeniem. Co do meritum sprawy nie miałem jednak żadnych optymistycznych złudzeń, wprost przeciwnie: uważałem, że nie PiS przesunął się w kierunku poglądów centrowych, ale polskie centrum od dawna przesunęło się w stronę PiS-u i w ten sposób uutorowało drogę jego zwycięstwu. Nie kłóci się to z popularnym poglądem, że Kaczyński zwyciężył jako „zarządca społecznego gniewu”. Tak, społeczeństwo miało wiele powodów do gniewu, ale rzecz w tym, że prezesowi PiS-u udało się ukierunkować ten gniew w pożądaną przez siebie stronę i że w istocie pomogli mu w tym bardziej umiarkowani przedstawiciele polskiej prawicy, zgodnym chórem głoszący, że

wszystko, co złe w dzisiejszej Polsce, nie jest ich własną winą, ale skutkiem nie do końca usuniętego dziedzictwa PRL.

Pogląd taki jest stuprocentowo zgodny z głębokim przeświadczeniem Kaczyńskiego, że podstawową, fatalną w skutkach wadą postpeerełowskiej Polski był brak aktu rewolucyjnego zerwania z przeszłością (określanego po hiszpańsku słowem *ruptura*), czyli wprowadzenie zmian ustrojowych przy współpracy dawnej elity władzy. (...)

Cele tej akcji określał z nieprześcignionym ekstremizmem, żądał bowiem zakazania byłym funkcjonariuszom PZPR nie tylko udziału w polityce, lecz także obejmowania stanowisk w administracji i gospodarce, poczynając od tak niskiego szczebla jak stanowisko brygadzysty w fabryce. Domagał się także podziału „Solidarności” na dwie partie: jego własna partia (Porozumienie Centrum) reprezentować miała prawicę, a partia Mazowieckiego (Unia Demokratyczna) – lewicę. (...)

Szczególną „cechą firmową” tego programu było przekonanie o niereformowalności ludzi, a więc o konieczności dzielenia ich wedle „rodowodów” – na „naszych” i „nie naszych”. Nie bez pewnego powodzenia szerzono taki pogląd wśród robotników, przekonując ich, że nowych kapitalistycznych właścicieli przedsiębiorstw dzielić należy na „solidarnościowych” (którym należy ufać) i eksnomenklaturowych, zawłaszczających dobro publiczne we własnym interesie. Uznano nawet, że jest to świetny sposób na odwracanie uwagi robotników od niekorzystnych dla nich skutków reform Balcerowicza i na dawanie im (w postaci usuwania dawnej nomenklatury) „moralnej rekompensaty”

za bezrobocie i inne negatywne dla nich skutki prywatyzacji. W istocie był to przemysłny plan skierowania robotniczego gniewu przeciwko byłej nomenklaturze, a więc obciążenia „komunistów” winą za wprowadzenie kapitalizmu. (...)

Antykomunizm legitymacją

Dzieje postpeerełowskiej Polski potoczyły się jednak inaczej, główną legitymacją przemian stał się bowiem „antykomunizm” coraz skrajniejszy, w coraz większej mierze zaciemniający pozytywne przesłanie demokracji liberalnej. Bardzo wyraźnie ujawniło się to w okresie zacieklej walki o obowiązującą dziś konstytucję, a następnie podczas zażartych sporów o ustawę lustracyjną. (...)

Nie muszę przypominać w tym miejscu ponurych okoliczności, które doprowadziły do decyzji o nowych wyborach parlamentarnych już w roku 2007 oraz do porażki poniesionej w nich przez PiS. Przypomnę jednak, że od razu zwróciłem uwagę na merytoryczną i polityczną błędność interpretowania tego faktu jako zwycięstwa „twardych liberałów” spod znaku Balcerowicza. Większość społeczeństwa odetchnęła z ulgą, uwolniwszy się od koszmaru pozasądowej powszechnej lustracji, z IPN w roli głównego rozgrywającego, ale nie pragnęła kontynuacji (a tym bardziej radykalizacji) polityki gospodarczej, kojarzonej z programowo „antyroszczeniowym” ekonomicznym ultraliberalizmem. Cieszone się także z zakończenia przez zwycięską PO zimnej wojny domowej między Polakami, czyli sztucznego reanimowania przez prawicę dawnych nienawiści. Ludzie głęboko zainteresowani konstruktywnym przezwyciężaniem „historycznego podziału” (do których się zaliczam)

wspierali w tej kwestii Donalda Tuska i, przez pewien czas, łączyli z jego polityką przesadne nawet nadzieje.

W rzeczywistości jednak Tusk nie zrezygnował i chyba nie mógł zrezygnować z legitymizowania rządów swej partii programowym „antykomunizmem” w postsolidarnościowym rozumieniu tego terminu. PO pod jego kierownictwem pozostała więc więziem podziału historycznego, a jeśli chciała w jakiejś mierze uwolnić się od niego, to obawiała się do tego przyznać. Stąd chyba brało się dziwne zjawisko współistnienia pod jej rządami dwóch, logicznie sprzecznych, tendencji: z jednej strony, faktyczna rezygnacja z lustratorskiej „dekomunizacji”, z drugiej zaś, coraz radykalniejszy „antykomunizm” w oficjalnej polityce historycznej, posunięty aż do granic absurdu, a mianowicie do traktowania całych dziejów Polski Ludowej jako czasów „komunizmu” i obcej okupacji.

Innego rodzaju wewnętrzną sprzecznością ośmioletnich rządów PO było łączenie dążeń do spokojnej i mało konfliktowej „normalności” z nadmierną uległością wobec środowisk domagających się wciąż nowych cięć socjalnych w imię zwiększania konkurencyjności Polski. W imieniu polskich przedsiębiorców głośno domagała się tego Henryka Bochniarz, pisząca wprost, że trzeba znacznie pogorszyć warunki pracy, bo konkurować musimy z tanimi pracownikami z Azji. Wtórował jej nieustrudzony propagator neoliberalizmu Witold Gadomski. W uzasadnieniu tych postulatów nie brak było oczywiście powoływania się na dobro Polski, zmierzającej jedynie słuszną drogą do wspaniałej przyszłości. Po pewnym czasie okazywało się jednak, że cena za ten postęp (nazywany dziś modernizacją) coraz bardziej się zwiększa i że płacić ją mają nie beneficjenci nowego ustroju, ale ludzie zgłaszający pod ich adresem różne „roszczenia”: robotnicy, którym dzieje się ponoć zbyt dobrze, ludzie młodzi, muszący szukać pracy i możliwości założenia rodziny za granicą, a także ludzie starzejący się i zaniepokojeni perspektywą drastycznego zmniejszenia oczekiwanych emerytur. A wszystko to pod akompaniament

natarczywie powtarzanej tezy o najpomyślniejszym okresie w nowożytnej historii Polski. (...)

Błędy Tuska i PO

Jak dobrze wiadomo, głównym atutem PO był lęk większości Polaków przed powrotem do władzy antykomunistycznych lustratorów spod znaku PiS. Mało kto myślał dobrze o atmosferze nienawiści, uzasadnianej manichejskim oddzielaniem „dobra” od „zła”, nie mówiąc już o polityce zastraszania przeciwników i jaskrawego lekceważenia prawa. Upływ czasu zacierał jednak pamięć o tym, wysuwając na pierwszy plan nowe zagrożenia. Sukces naszego kraju w minimalizacji skutków światowego kryzysu

2008 r. oraz wysoka pozycja Polski w międzynarodowych rankingach gospodarczych szły przecież w parze ze stałym przesuwaniem się na prawo w polityce społecznej i z instytucjonalizacją (w systemie edukacyjnym i głównym nurcie mediów) skrajnie „antykomunistycznej” legitymizacji ustroju, co nadawało III Rzeczypospolitej cechy „państwa światopoglądowego”. Był to model niebezpieczny, naruszał bowiem równowagę społeczną przez skuteczne blokowanie normalnej, nierewolucyjnej opozycji lewicowej, przy jednoczesnym tolerowaniu wyjątkowo agresywnej opozycji prawicowo-populistycznej, ochoczo sięgającej do rezerw nacjonalizmu i katolickiego fundamentalizmu. (...)

3 | 2016

POLITYCZNY TESTAMENT PROF. ANDRZEJA WALICKIEGO

Trzy tomy najważniejszych pism wybitnego intelektualisty

PRL i skok do neoliberalizmu

I TOM 75 zł

Jaruzelski | Solidarność | Zdrada elit

PRL i skok do neoliberalizmu

Antykomunizm zamiast wolności

Porachunki inteligencje

II TOM 76 zł

PRL i skok do neoliberalizmu

Falszowanie historii | Nacjonalizm
Niegodziwości III RP

III TOM 77 zł

Zamów książki na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

PAKIEŃ
~~228 zł~~
190 zł

Przy zakupie pakietu kurier GRATIS

Rozmawia Mateusz Demski

Znajomi z dziećmi na majówce w Danii. Plaża, kemping, wycieczki rowerowe. A jednak, gdybym miał opisać „Fucking Bornholm” najkrócej, powiedziałbym, że jest to opowieść o kobiecie, która próbuje się wyrwać z zakłętego kręgu: obowiązków domowych, bycia na każde skinienie rodziny.

– Nasza główna bohaterka na pewno odkrywa coś w sobie. Zbiera się na odwagę, żeby wreszcie skonfrontować się z tym, kim naprawdę jest – czego chce, a czego nie chce. **I wyłamuje się z tzw. wzorca matki Polki. To stereotyp, który kształtował życie polskich kobiet przez wieki, cień, który wciąż kładzie się na ich życiu.**

– Zdecydowanie. Pewnie to myślenie będzie jeszcze pokutować, ale kobiety wykonały ogromną pracę psychologiczno-społeczną. Przez ostatnie lata, a tak naprawdę dekadę, pokazały, że potrafią – dużo lepiej od mężczyzn – definiować swoje potrzeby. Zyskały odwagę mówienia o tym, co je boli i uwiera, a co przez setki lat było normą na ich niekorzyść. Myślę, że dzięki temu wszyscy jesteśmy w trochę innym miejscu. Zaczynamy rozumieć, co równe prawa w praktyce oznaczają, również na tych najgłębszych poziomach.

A co według pana oznaczają?

– To nie są proste sprawy, sam mam problem z jednoznaczną odpowiedzią. Za przykład weźmy macierzyństwo, ważne też dla filmu, które jest jedną z głębszych i bardziej skomplikowanych kwestii równouprawnienia. Zgodnie ze stereotypem kobieta musi w jakiś sposób się poświęcić, bo inaczej tego macierzyństwa nie będzie. Trzeba by znaleźć balans między wolnością i prawem kobiety, rolą mężczyzny a obowiązkiem wychowania, jeżeli pojawiają się dzieci, i wszystkim, co z tym się wiąże. Ale wie pan, my tak sobie tu możemy mówić, a to się wymyka ocenom. Każdy musi indywidualnie jakiegoś pomysłu poszukać w sobie.

Mówi pan o dzieciach, a rozmowa z dzieckiem, próba jego zrozumienia

Trudno oddychać pełną piersią

Gdybyśmy potrafili wyciągać lekcje z historii, moglibyśmy niesamowicie pójść do przodu



MACIEJ
STUHR

to w zasadzie kolejny temat filmu. To chyba także coś, czego od niedawna się uczymy.

– My, faceci, zwłaszcza. W tym sensie moje pokolenie wykonało jednak sporą pracę. Przez całe wieki to, co uważaliśmy za rolę ojca, nie miało często wiele wspólnego z rozmową, koncentrowało się na zapewnieniu bytu czy demonstrowaniu postaw i nakazów. Teraz jesteśmy bodaj pierwszym pokoleniem ojców, którzy zaczynają rozumieć, że psychologiczne niuanse – tak ważne w rozwoju dzieci – muszą się stać też naszym udziałem. A skoro tak, to my, mężczyźni, musimy sami ze sobą nauczyć się komunikować.

Ciągle jeszcze mamy z tym sporo problemów.

– Też łapię się na tym, że jak żona mnie pyta, co czuję, to mam problem z odpowiedzią. Nawet sam przed sobą nie potrafię zdefiniować, zrozumieć tego, co się ze mną dzieje w środku. Nie znajduję słów, nie mam takich narzędzi. A co dopiero uczyć tego dzieci. Koślawo nam to może jeszcze wychodzi, ale się staramy i mogę dzisiaj powiedzieć, że daję synowi zupełnie inne przekazy emocjonalne, niż dostałem od swojego ojca.

Próbuję ekwilibrystyki poruszania się między światem komercji a światem wysokiej rangi artystycznej.

Tematem rozmowy z dzieckiem mogą być emocje, uczucia, a na etapie późniejszym również seks. To jest kolejne spore wyzwanie.

– Widzimy w filmie, jak bardzo nasi bohaterowie są bezradni w tych rozmowach. Czują, że muszą je przeprowadzić, ale nie wiedzą, jak do tego się zabrać. Nieporadność, zawstydzenie i zablokowanie dorosłych okazują się większe niż u dzieciaków. Nasi bohaterowie to ludzie wykształceni, kulturalni, z dużego miasta, a mimo to czegoś im brakuje. To wszystko bierze się z tego, że nasze pokolenie, łącznie z dzisiejszymi najmłodszymi, nie miało edukacji seksualnej z prawdziwego zdarzenia. Ba, samo to sformułowanie budzi potrzebę zaproszenia

kogoś z wodą święconą, żeby prze-gnać demony i przestać wymawiać takie słowa.

A jednak nowe pokolenie różni się od wcześniejszego – wnosi nową wrażliwość, inną świadomość świata. Czy kiedy przysłuchuje się pan młodemu, coś pana zaskakuje?

– Trochę z tymi młodymi ludźmi się stykam – jestem ojcem,

Klasykiem staje się artysta, w którego dziele 2 tys. lat później odnajdujemy to, jacy jesteśmy.

ojczymem, wykładowcą akademii teatralnej. Oni pokazują, że świat faktycznie idzie do przodu, żyjemy w nieprawdopodobnie innej epoce. Także jeśli chodzi o to, co mamy w kieszeniach. Młode pokolenie nie pamięta już życia bez dostępu do świata wirtualnego, czerpie z tego korzyści, wpada też w wiele zagrożeń, które to niesie. Siłą rzeczy jest inne, ale też nie chcę dołączyć do chóru zgredów i demonizować różnic. Na głębokim poziomie ta młodzież jest podobna do mnie, bołą nas te same rzeczy. Wierzę w to, że mimo iż wszystkie okoliczności dookoła się zmieniają, wciąż jesteśmy tymi samymi

potrafimy wyjść poza nasz egoizm. Akurat w „Wujaszku Wani” widać to jak na dłoni. To jest sztuka sprytna i okrutna w tym sensie, że jak się ją dobrze przeanalizuje, okazuje się, że każda z postaci mówi tylko o sobie. Nie potrafią patrzeć oczami innych ludzi. Egocentryzm szalenie ogranicza człowieka, przeszkadza światu rozwijać się w dobrym kierunku.

Dzisiaj to wyjście poza egoizm się udaje, a wielu Polaków w obliczu wojny w Ukrainie zaofiarowało wsparcie. Nie potrafimy stać z boku i tylko patrzeć na ludzką krzywdę.

– Wydaje mi się, że zdaliśmy jakiś egzamin. To jest wydarzenie w skali bezprecedensowej. Potrafilimy spojrzeć na tę sytuację trzeźwo, nie mówię, że bez emocji, bo to one obudziły w nas potrzebę i konieczność działania. W końcu zrozumieliśmy, czym jest ucieczka przed wojną i że słabszym zawsze należy pomóc. Trzeba to docenić, bo jeśli spojrzeć na to, co dzieje się na Węgrzech – z którymi, wydawało się, mieliśmy sporo wspólnego – widać, że nie są to wcale oczywiste odruchy. Wystarczy banda manipulantów, żeby i to skierować w złą stronę.

Pan też się włączył w tę pomoc?

– Pół żartem, pół serio powiem, że jestem trendsetterem przyjmowania uchodźców (śmiech). Ta moja przygoda z otwieraniem domu trwa już ze dwa lata. Najpierw przyjęliśmy rodzinę czeczeńską na prawie rok. Potem, jesienią, mieliśmy gości z Syrii, podczas kryzysu na granicy polsko-białoruskiej, który przecież trwa. Z niezrozumiałych względów przez jedną granicę przepuszczamy 2,5 mln ludzi, a kilkadziesiąt kilometrów dalej skazujemy grupę liczącą 1 tys. osób na najgorszy z możliwych losów. Teraz, w kryzysie ukraińskim, już dwie rodziny przeszły przez nasz dom, oczekujemy trzeciej. Ostatnie trzy tygodnie mieliśmy fantastyczną matkę z czwórką dzieci: dwójką swoich i dwójką nie swoich. Kobiecie pomogliśmy znaleźć pracę, dzieciom ▶



► szkołę. Teraz próbują życia na wsi, poza Warszawą.

Dużo bardziej w pomoc zaangażowana jest jednak moja żona – jeździ na dyżury do szkoły naszego synka, gdzie przybývają uchodźcy bezpośrednio z dworca. Poza tym potrzeby i wyzwania zmieniają się każdego dnia. Śledzimy fora internetowe i patrzymy, co jest akurat potrzebne. W ostatnich dniach pomagaliśmy meblować domy, jeździliśmy z materacami, ubraniami, środkami higieny. Za kilka dni będzie potrzeba jeszcze czegoś innego.

Zdaniem wielu musimy się przygotować na maraton niesienia pomocy. A także na to, że przyjdzie nam żyć w zupełnie innym świecie.

– Pamiętajmy, że większości z nas – oczywiście nie w takim stopniu jak

Przychodzi mi do głowy animacja „Gdzie jest Anne Frank”, do której ostatnio użyczył pan głosu. Przez cały film przewija się myśl, że wojna dawno się skończyła, miała służyć jako przestroga na przyszłość, a ludzie nie nauczyli się niczego.

– No właśnie, to jest w tym wszystkim najsmutniejsze. Gdybyśmy potrafili wyciągać lekcje z historii, moglibyśmy niesamowicie pójść do przodu, ale ta, niestety, nas dopada. Znowu jesteśmy świadkami tego, o czym czytaliśmy w książkach i co oglądaliśmy na filmach. Naiwnie myśleliśmy, że pewne rzeczy się nie powtórzą, bo ktoś mógłby w naszych czasach najeżdżać drugi kraj, mordować tam ludzi. Tymczasem okazuje się, że to wciąż w nas jest. Że są pewne mechanizmy w ludziach, które przy odrobinie

Patrzyłem na tych młodych chłopaków i zacząłem sobie zadawać pytania. Czy to są jacyś zwyrodnialcy? Czy to są inni ludzie niż gdziekolwiek indziej na świecie? Gdybyśmy ich poznali rok temu, pewnie byśmy powiedzieli: ale fajne chłopaki, to niemożliwe, żeby coś złego zrobili. Teraz część tych fajnych chłopaków strzela do niewinnych ludzi, pakuje te mikrofalówki. Bo ktoś powiedział: teraz można. To pokazuje, jak bardzo musimy być czujni. Jak cały czas musimy nad sobą pracować, żeby nasze różne demony trzymać na smyczy, w kagańcu, w piwnicy.

Demony towarzyszą też bohaterowi „Powrotu do tamtych dni”. To chyba ważna dla pana rola.

– Muszę panu powiedzieć, że jest to może nawet najważniejszy film, jaki zrobiłem. Po żadnym takim osobistych rozmów. Więcej niż o warsztacie aktorskim, zdjęciach mówiło się o życiu. Zwłaszcza

z tymi, których w jakimkolwiek stopniu problem choroby alkoholowej dotknął. To były zwierzenia, do których mnie, jako aktorowi, trudno w ogóle się odnieść. Mogłem tylko słuchać, czasem przytulić, powiedzieć: trzymaj się i pamiętaj, że nie jesteś sam na tym świecie. Temu ma służyć ten film. Ci, którzy przeszli przez podobne piekło, zobaczyli, że nie są w tym sami i są ich miliony w Polsce.

Z tego i paru innych powodów jest to niezwykle ważny dla mnie

Moja przygoda z otwieraniem domu trwa już ze dwa lata. Najpierw przyjęliśmy rodzinę czeczeńską, potem mieliśmy gości z Syrii.

Ukraińcom – świat stanął na głowie. Już chociażby za sprawą pandemii. Żyliśmy zgodnie z naszym przewidywalnym nurtem, myśleliśmy, że tak już będzie zawsze, a okazuje się, że nie. Nagle wszystko jest inaczej i tamten świat już nie wróci. Nawet jeśli cieszyliśmy się zdrowiem czy względny dobrobytem, przyszedł taki czas, gdy każdy z nas poczuł, że świat nakłada ciężar na nasze barki. Trudno oddychać pełną piersią, nie ma skąd czerpać spokoju.

nieszczęścia i przypadku da się uruchomić. Kilka dni temu widziałem wideo, które również – oprócz tych najokropniejszych obrazów z wojny, czyli pomordowanych – zrobiło na mnie duże wrażenie.

Jak to wyglądało?

– To było nagranie z punktu nadawania paczek, gdzie rosyjscy żołnierze wysyłają do swoich rodzin telewizory, odkurzacze, mikrofalówki. Innymi słowy, wszystko to, co narkradli. Ten obrazek mną wstrząsnął.

film. To jest zarazem portret lat 90. Od razu przypomina się ta przaśna, krzykliwa epoka: tamte stroje, klimat Peweksów, zestawy klocków Lego, co odwołuje się wprost do mojego dzieciństwa, kiedy miałem 12 lat.

To też film o tym, jak zdobywaliśmy pierwsze kapitalistyczne szlify, ale i o mie Ameryki mlekiem i miodem płynącej. Pana bohater wraca z saksów i mówi: nie wszystko jest tam takie super, jak wam się zdaje.

– Dla nas to był kosmos. Ameryka to była obca planeta, na którą każdy chciał polecieć, ale bez większych nadziei. Każdy miał w głowie skojarzenia z tym dobrobytem, samochodami, z tymi drapaczami chmur i karierą od pucybuta do milionera. Istniał mit, że jak ktoś już tam się dostanie, to jest „wybrańcem”. Że chodzi w czarnym cylindrze po Wall Street. Prawda była inna. Ludzie trafiali na Greenpoint w Nowym Jorku czy Jackowo w Chicago, gdzie kładli azbest na budowach w strasznych warunkach. Byłem w tych miejscach. Pierwszy raz poleciałem do Stanów Zjednoczonych pod koniec lat 90.

Można było się przekonać, że to nie raj na ziemi, ale miejsce trudne do życia dla wielu ludzi.

Przypomina mi to o „Aniołach w Ameryce”, kultowym dramacie Tony’ego Kushnera, który 15 lat temu, wtedy jeszcze w Teatrze Rozmaitości, wystawił Krzysztof Warlikowski. Ten spektakl otworzył przed panem coś nowego?

– Próbuję dokonywać ekwilibrysty poruszania się między światem komercji a światem wysokiej

czasu móc próbować ją namówić na coś ambitniejszego.

Na szczycie tej drabiny znalazł się teatr, zwłaszcza że miałem zaszczyt spotkać Krzysztofa Warlikowskiego. To był kamień milowy, który mi się w życiu przytrafił. Przekroczyłem swoje granice, stałem się lepszym aktorem, który chce swoją grą powiedzieć widzom coś ważnego. Kilkanaście lat trwała ta przygoda, ewoluowała, aż odszedłem z zespołu Nowego Teatru. Teraz przyszła kolej na inne rzeczy.

Cały czas musimy nad sobą pracować, żeby nasze demony trzymać na smyczy, w kagańcu.

rangi artystycznej. Nie jest to łatwa droga, bo obie szalki tej wagi lubią przyciągać i szufladkować aktora. Bardzo łatwo którąś przeciążyć i pozostać po jednej stronie. Wziąłem sobie na ambit, że będę sobie pozwalał flirtować z masową widownią. Tyle że zawsze lubiłem o tym myśleć jako o zbieraniu pewnego kapitału, żeby od czasu do

Z oczywistych powodów jako aktor, który dużo w życiu pracował, miałem do czynienia z różnymi rodzajami filmów i seriali. Wracając do początku rozmowy – w moim repertuarze, w tych moich przygodach, brakowało kameralnej, psychologicznej opowieści dziejącej się współcześnie. To dał mi „Fucking Bornholm”.

Mateusz Demski

21 godz. 16
w sali widowiskowej BOK
maja

39
TURNIEJ ŁGARZY
BOGATYNIA 2022
Ogólnopolski Turniej Małych Form Satyrycznych

Koncert reżyseruje i prowadzi:
ARTUR ANDRUS

WYSTAPIĄ:
FINALISTI 39. edycji
ogólnopolskiego konkursu
o tytuł: „Króla Łgarzy A.D. 2022”

SPRZEDAŻ BILETÓW
w cenie 40 zł
w kasie BOK

CZERWONY Tulipan

Patronat honorowy:
PATRONAT HONOROWY
Miasta i Gminy Bogatynia

Patroni strategiczni:
DOLNY ŚLĄSK
Kultura i Dziedzictwo
Bogatynia

Patronat medialny:
Polska TVP
Województwo
Bogatynia info.pl
RADIO WYCHŁĄCZNIK

Sponsorzy:
KLASTER
SKIBA
MegaMed
Bogotynia

Współorganizatorzy:
DOLNY ŚLĄSK
Miasto i Gmina Bogatynia
Województwo Dolnośląskie



Marek Edelman, Paula Sawicka, „I była miłość w getcie”, reżyseria i adaptacja Tomasz Cyz, Teatr Żydowski im. Estery Rachel i Idy Kamińskich, premiera 19 kwietnia 2022

Miłość w getcie

Kilka zdań Marka Edelmana, które na zakończenie popłynęły z ekranu, niczym jasny promień w mroku obrazów zagłady, to świetna puenta tego zderzenia z miłością w czasie niewyobrażalnie trudnym. Charakterystyczna dla Edelmana autoironia i dystans wytworzyły klimat serdecznego ciepła, będącego jak lekarstwo po gorzkiej lekcji miłości zamordowanej. Sam spektakl opowiada o czasie nie tylko przeszłym, ale i współczesnym – przywołane wspomnienia kojarzą się z przeżyciami naszych sąsiadów Ukraińców. Skromne przedstawienie nie odwołuje się wprost do tej sytuacji, ale zawsze czas współtworzy odbiór.

Aktorzy, uciekając od patosu, językiem metafory, piosenki, tłumionego gniewu i plastyki ruchu oddawali skalę wybuchów namiętności, pędu do życia i spełnienia mimo skrajnie niesprzyjających okoliczności. Powstała opowieść o życiu, które zawsze domaga się swoich praw, nawet jeśli na zewnątrz wszystko temu przeczy. Prowadzą ją wszyscy, żywi i umarli, ale głosy pierwsze należą do Jerzego Walczaka (mówiącego słowami Edelmana) i Aliny Świdowskiej (jego rozmówczyni). To oni budują i tonują nastroje, kiedy stają im przed oczyma łaknący szczęścia umarli, uwięzieni w przeszłości, zakatowani w getcie warszawskim, w Treblince czy po aryjskiej stronie, próbujący oszukać śmierć zgotowaną im przez nieludzki system.

Tomasz Miłkowski

DDA, czyli Nie pij!

Sztuka mówi o patologicznej rodzinie z syndromem DDA (dorosłe dzieci alkoholików), ale dzieje się na plaży. Bohaterka wraca myślami do dzieciństwa, ma dobry kontakt z bratem, zły z matką, a przemocowy z ojcem. W końcu oglądamy jakby telewizyjny reportaż z wypowiedziami członków rodziny. Ale najlepsza jest strona wizualna. To wizjonerska maligna-happening.

Bronisław Tumilowicz



Sandra Szwarz, „Woda w usta”, reżyseria Lena Frankiewicz, Wrocławski Teatr Współczesny, prapremiera 29 kwietnia 2022

Wiking

reż. Robert Eggers, prod. USA, już w kinach

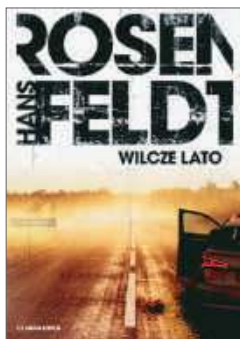
Takich wikingów w kinie dawno nie widzieliście. Nie ma tu nic romantycznego. Ludy Północy charakteryzuje krótki łont, ostry sztylet i absencja empatii. O ten film od lat walczył Alexander



Skarsgård, niezadowolony, że wikingów Hollywood coraz częściej przedstawia jako cywilizowanych i otwartych, a nawet prokobiecych. Gwiazdor przypomina nam, jak było naprawdę. Cała produkcja nadzorowana była przez sztaby specjalistów i nawet takie detale jak rękojeści broni odtworzono w zgodzie z ustaleniami historyków. Efekt robi wrażenie: akcja jest wartka, aktorstwo przekonujące (kapitałne są zwłaszcza Nicole Kidman, która udowadnia, że mimo długiego stażu wciąż potrafi pokazać nowe oblicze, i nieogładana na ekranie od dawna Björk), a niektóre sceny walk i rzezi porażają naturalizmem. Sam Skarsgård znów przeszedł imponującą metamorfozę fizyczną i na potrzeby roli rozrósł się niczym kulturysta.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI



Hans Rosenfeldt

Wilcze lato

tłum. Iwona Jędrzejewska

Czarna Owca, Warszawa 2022

Siódmy tom cyklu o pociągająco niesympatycznym profilerze Sebastianie Bergmanie duetu Hjorth & Rosenfeldt mogą poczytać ci, którzy znają np. niemiecki, u nas na razie pierwsza część odrębnego projektu Rosenfeldta. A ten jedną z głównych bohaterek postawił po przeciwnej stronie barykady. Katia to wychowana w Rosji, specjalnie wytrenowana zabójczyni. Nowe zlecenie ściągnęło

ją do Haparandy, na teren policjantki Hannah Wester, 54-latki, która poczucie chłodu w małżeństwie rekompensuje sobie romansem z szefem. Szwedzkie miasteczko z najdalej wysuniętym na północ sklepem Ikea, tuż przy granicy z Finlandią, nie obfitowało dotąd w wyszukane zbrodnie, prosperuje tu jednak sprytny handlarz narkotyków. W ogóle Haparanda dni świetności ma za sobą, teraz jednak może się utrwalić w świadomości czytelników, choć akurat poświęcone jej rozdziałki nie są mocną stroną książki. Ciekawe, jak mieszkańcy przyjęli wysadzenie im w powietrze hotelu.

Aleksandra Pańko



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Dobrodziejstwo zła

Posunąć się do granic, a nawet przesunąć granice okrucieństwa poza te wyznaczone przez naszą wyobraźnię – oto cele, które bezspornie udaje się realizować armii putina. Nie widzę żadnej przyczyny, dla której miałbym uznawać pisownię tego nazwiska dużą literą; mamy do czynienia z indywiduum, które celuje w to, co w ludziach małe, żeruje na najniższych instynktach. Obsadzeni w rolach barbarzyńców, putinowcy odgrywają je jak z nut; mają w głębokiej pogardzie cywilizowany świat, nazywają go gejropą, zgnitym Zachodem, wprost brzydzą się brakiem przemocy, który jest jedną z fundamentalnych zasad międzynarodowego porozumienia. Nie potrzebują pogadank o tym, że niosą światu dobro i wyzwolenie, wierzą w moc imperialnego zła, karmią się przerażeniem, które wokół rozsiewają.

Nie zdziwi mnie wobec tego żadna, najbardziej nawet perwersyjna i antyludzka forma celebry w tzw. Dniu Zwycięstwa. Żołdaków zajętych obecnie mordowaniem, gwałceniem i grabieniem zastąpi pochód jeńców, odczłowieczonych propagandowo, przyobleczonych w łachmany, którzy przeczłapią przed rochochoconym tłumem głodnym linczu. Nie zdziwi mnie także stragany z kamieniem brukowym, śmierdzącymi jajami i czym tam jeszcze da się rzucić w tę paradę żywych trupów. Nie zdziwią festiwale tortur, urządzanych w obozach na wszelki wypadek zwanych teraz filtracyjnymi, choć ten przymiotnik brzmi znacznie bardziej złowieszczo niż „koncentracyjny”. Już ja sobie wyobrażam metody tego filtrowania masy ludzkiej: „faszyści” w wieku poborowym do odstrzału, „faszystki” w wieku rozrodczym do zapłodnienia, młode „faszątka” do pralni mózgów, a potem do adopcji przez rodziny, którym los poskąpił płodności.

Dziwi mnie tylko niewymownie, że zawsze to się dzieje pod skrzydłami wiary: putinowców błogosławi najwyższy patriarcha, *Gott mit uns*, pokrzykiwali hitlerowcy, terror fanatyków z Bliskiego Wschodu wedle ich przekonania uświęcił sam Mahomet – wszystkim rażniej, kiedy mogą czynić zło w imię dobra, natchnieni energią z zaświatów. Na mój laicki rozum, jeśli Bóg istnieje, nie ma nic wspólnego z żadną religią. Rajski przebyt czeka raczej na tych, którzy wybrali żywot z dala od kościoła; jeśli nawet papież rzymski pieprzy beznadziejne androny, by zachować symetrię, zamiast potępić masowe zbrodnie – różaniec opada. Jedyna korzyść, jaka płynie

z postawy chrześcijańskiego naczałstwa wobec wojny, to, delikatnie mówiąc, potężna konfuzja i dysonans poznawczy wiernych z odrobiną rozumu. Kiedy pył bitewny opadnie, o ile nie będzie to pył radioaktywny i zostanie jeszcze trochę nienapromieniowanej ludzkości na świecie, klerowi pozostaną już tylko w owczarni egzemplarze najbardziej wybrakowane, szatańscy zwyrodnialcy lub Bogu ducha winni idioci. Może tego nie wystarczy, żeby wypełnić skarbce Watykanu i Moskwy.

Jest jeszcze jedno, już widome i słyszalne dobro, wynikłe wprost ze zła inwazji rosyjskiej: Polska przestała być państwem narodowym. Żadne dane statystyczne nie oddadzą rozkoszy moich uszu, kiedy słyszę języków pomieszaną na ulicach, w autobusach, a na placach zabaw to już w ogóle ukraiński i rosyjski są mową dominującą. Nowi obywatele będą się liczyć w milionach, wreszcie jakaś mniejszość narodowa przekroczy – mam nadzieję,

Historia jest tygłem, który wypływa czasem jakiegoś skwierczącego demona, ale finalnie świat zawsze wraca do równowagi.

że na trwałe – dwucyfrowy odsetek ludności nad Wisłą. Nacjonalisci wszelkiej maści (z brunatną na czele) zostali wybudzeni ze swoich mokrych snów o białoczerwonym monolicie – wpadli w pułapkę bez wyjścia, bo sprzeciwiać się napływowi uciekinierów z Ukrainy, to wspierać putina; żaden wyznawca wielkiej białej polskiej nie ogarnął jeszcze, jak z tego wybrnąć. Nieustanne zapewnianie, że bycie wojownikiem Jezusa nie oznacza wcale filosemityzmu, jest zanadto wyczerpujące.

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło; historia jest tygłem, który wypływa czasem jakiegoś skwierczącego demona, ale finalnie świat zawsze wraca do równowagi. Dość spojrzeć na współczesny Berlin, o którym w ubiegłym stuleciu wódz Trzeciej Rzeszy marzył jako o czystej etnicznie stolicy wielkiego narodu aryjskiego. Nie wiem, o czym konkretnie marzy putin, ale i jemu wszystko w końcu się spełni na opak. Lepiej, by zawczasu kazał sobie kopać szeroki grób, żeby mieć się gdzie przewracać.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl



O Wandzie, co nie chciała przestać

Jej celem było zdobycie wszystkich ośmiotysięczników.
Gdyby musiała się zatrzymać wcześniej, uznałaby to za życiową porażkę.
Szła więc do końca

Andrzej Dryszel

Miałaaby dziś 79 lat. Pewnie wędrowałaby jeszcze rekreacyjnie po Tatrach, ciesząc się zasłużoną sławą pierwszej kobiety na świecie, która zdobyła wszystkie 14 ośmiotysięczników. No bo kto mógłby tego dokonać, jeśli nie ona? Zostawiła daleko z tyłu wszystkie konkurentki. Dopiero w 2010 r. jako pierwsza kobieta Edurne Pasaban zdołała skompletować Koronę Himalajów i Karakorum, rok później dokonała tego, całkowicie bez tlenu, Gerlinde Kaltenbrunner.

13 maja 1992 r. Wanda Rutkiewicz atakowała Kanczendzongę, swój dziewiąty ośmiotysięcznik – i kto wie, czy nie weszła na wierzchołek? Meksykański himalaista

Carlos Carsolio, schodząc po zdobyciu szczytu, spotkał ją na wysokości ok. 8300 m, była już prawie godz. 20. Odpoczywała w śnieżnej jamie, chciała nad ranem ruszyć w górę. Miała płachtę biwakową i nic poza tym, ani śpiwora, ani żywności i maszyny do stopienia śniegu, ani radiotelefonu. Do pokonania było jeszcze ponad 250 m w pionie, ale nie da się wykluczyć, że poszła aż na wierzchołek.

Żadna z wypraw atakujących w kolejnych latach Kanczendzongę nie znalazła jej ciała. Zdarzało się, że wspinacze byli w stanie przetrwać himalajską noc pod gołym niebem i samotnie wrócić do niższych obozów. Ona jednak nie wróciła i tylko jej matka Maria Błaszczkiewicz (zmarła w 2013 r. w wieku

103 lat) do końca życia wierzyła, że córka zesła z Kanczendzongi, by medytować w którymś z nepalskich klasztorów.

Wedle relacji Carlosa Carsolia wtedy, wieczorem 13 maja, rozmawiali o drodze zejściowej ze szczytu. Wanda planowała biwak w obozie IV po zdobyciu Kanczendzongi, ale on wiedział, że wracając sam, zostawia ją na pewną śmierć. Była zmarznięta i wyczerpana, jednak całkowicie świadoma wyzwania, jakie przed sobą postawiła. Carsolio raz mówił, że namawiał ją do wycofania się, innym razem, że nie, bo nie miał prawa wpływać na jej decyzję. Pewnie za bardzo nie nalegał, nie chciał tracić czasu na przekonywanie, miał przed sobą walkę o przeżycie himalajskiej nocy.

Wrócił więc sam, a kilkanaście dni później świętował w Katmandu zdobycie trzeciego szczytu Ziemi.

Mogła wejść i przeżyć

Kanczendzonga na pewno była wówczas w zasięgu Wandy Rutkiewicz. Ta ostatnia wyprawa stanowiła część programu, wymyślonego przez nią w 1990 r., któremu nadała nazwę „Karawany do marzeń”. Miał to być sposób na szybkie zdobycie ośmiotysięczników brakujących jej do skompletowania całej czternastki. Czas był ważny, bo z każdym rokiem wspinała się wolniej i widziała, że jej organizm, nadwątłony wypadkami i kontuzjami, nie jest już tak sprawny jak kiedyś. Chciała więc przechodzić z doliny do doliny, organizować małe wyprawy (lub dołączać do wypraw organizowanych przez innych) i atakować kolejne szczyty, nie tracąc aklimatyzacji.

Pomysł był dobry, w podobny sposób Koreanka Oh Eun-sun w latach 2007-2009 zdobyła siedem ośmiotysięczników, a Nepalczyk Nirmal Purja w 2019 r. wszystkie! Wymagał jednak dużych pieniędzy, skumulowanego w krótkim czasie dużego wysiłku oraz precyzyjnej organizacji. Przekraczało to możliwości Wandy Rutkiewicz, która nie miała szans choćby na ułamek takiego wsparcia finansowego i logistycznego, jakie Koreanka i Nepalczyk otrzymali od swoich państw. W latach 1990-1991 Polka zdobyła jednak Gaszerbrum I, Czo Oju i Annapurnę. Następna miała być Kanczendzonga.

Wanda wraz z wspierającym ją Arkadiuszem Gąsienicą Józkowym dołączyła do kilkuosobowej wyprawy Carlosa Carsolia. W latach 80. terminował on u polskich wspinaczy. W 1992 r. miał na koncie cztery ośmiotysięczniki, status najwybitniejszego wspinacza Ameryki Łacińskiej i oczywiście decydował o wszystkim na swojej wyprawie. Polacy byli szeregowymi uczestnikami, choć dokonania górskie Rutkiewicz nieporównanie przewyższały to, co osiągnął Carsolio. Miał wtedy 29 lat, pozostali uczestnicy ekspedycji byli w podobnym wieku bądź młodszy, chodzili szybciej od Wandy i mówili

o niej „babcia”, co ona przyjmowała z uśmiechem.

Gdy jednak zaczęły się prawdziwe trudności, stracili siły, nie dawali rady i to Wanda musiała im pomagać, co oczywiście wymagało od niej dodatkowego wysiłku. Jedynie ona i Carsolio byli w stanie podjąć atak szczytowy. Gdyby Wanda, zamiast pomagać młodszym członkom wyprawy, sama otrzymała pomoc, zapewne 30 lat temu zdobyłaby Kanczendzongę i szczęśliwie wróciła do bazy. Niestety, mogła liczyć tylko na siebie.

Andrzej Zawada, cytowany przez Elżbietę Sieradzińską, mówił, że zgubiła ją polska bieda. Z takimi osiągnięciami na Zachodzie miała by pieniądze na własne wyprawy, podczas których ona byłaby najważniejsza, dla niej zakładano by obozy i wnoszono sprzęt do góry, by mogła zachować siły na atak szczytowy. Tymczasem z konieczności została jej tylko możliwość dołączania do obcych wypraw na zasadzie prośby i częściowej odpłatności. Nieraz traktowano ją tam po macoszemu.

Wanda Rutkiewicz walczyła z brakiem zrozumienia i z lekceważeniem ze strony wspinających się mężczyzn.

W górach często pomagała innym, ale jeśli sama potrzebowała wsparcia, było z tym już trudniej. W codziennym życiu mogła liczyć głównie na ludzi spoza środowiska wspinaczkowego. Już po zdobyciu Everestu ruszyła na Elbrus i niemal zginęła w niezawinionym przez siebie wypadku (spadł na nią inny uczestnik wyprawy, miała otwarte złamanie uda, straciła wiele krwi). Gdy po wielodniowym leżeniu pod kroplówką w szpitaliku w Tyrnauzie (Kabardo-Bałkaria) obolała i słaba lądowała w Warszawie, nie czekał na nią żaden wspinacz ani nikt z Polskiego Związku Alpinizmu.

Gdy w 1991 r. atakowała Annapurnę, spotkała schodzącego już ze szczytu Ryszarda Pawłowskiego. Zapytała go, jak wygląda droga na wierzchołek, on zaś zawahał się, czy jej odpowiedzieć. Potem tłumaczył, że jedynie chwilę się zastanawiał, by dokładnie wskazać, którą z trzech

poręczówek ma wybrać, i dodał, że Wanda świadomie sugerowała, iż mężczyźni nie rywalizowali z nią uczciwie, choć nie była przez nikogo niszczona i wszyscy ją podziwiali.

On nie musiał udowadniać

Czy rzeczywiście ją podziwiali? Prof. Zdzisław Ryn wprost mówił, że Wanda Rutkiewicz walczyła z brakiem zrozumienia, a czasem i z lekceważeniem ze strony wspinających się mężczyzn.

Na Annapurnę szła w składzie wyprawy kierowanej przez Krzysztofa Wielickiego, ale szczyt zdobyła samotnie, nie było świadka. Jeden z kolegów himalaistów uznał, że w rzeczywistości nie doszła do wierzchołka, i ochoczo przekazał swe domniemanie do kraju. Dla polskiego piekielka był to wymarzony prezent, więc gdy Wanda wróciła do Warszawy, czekała już na nią wiadomość, że jej wejście na Annapurnę jest kwestionowane. Zarząd PZA powołał specjalną komisję, poproszono,

by Wanda przedstawiła dowody, że jednak była na szczycie. Pokazała zdjęcia, ale niewyraźne. Kiedy je robiła, już się ściemniało, więc uznano, że nie są przekonujące, i zostały wysłane do specjalnego laboratorium w Wiedniu. Po wiedeńskiej ekspertyzie komisja PZA orzekła, że Polka była na wierzchołku Annapurny. Krzysztof Wielicki oświadczył jednak: „Wanda, uznano, że weszłaś, ale ja ci, k... nie wierzę!”.

Gdy natomiast w 1988 r. to Krzysztof Wielicki samotnie wszedł na Lhotse i w ogóle nie miał ze sobą aparatu fotograficznego, nikomu nawet przez myśl nie przeszło, by podawać w wątpliwość jego wynik. Nikt nie mówił o powoływaniu komisji, nie padały głosy o braku wiary w ten sukces. Jak powiedział sam Wielicki, w tamtym czasie nie mieliśmy poczucia, że musimy coś udowadniać. Cóż, Wanda Rutkiewicz była kobietą, więc ona musiała.

► Męskie środowisko wspinaczkowe naszego kraju dosyć kiepsko znosiło jej sukcesy. Jako pierwszy człowiek z Polski weszła na Everest, jako pierwszy człowiek z Polski (i pierwsza kobieta na świecie) na K2. I jeszcze ta osobista rozmowa z papieżem („Dobry Bóg chciał, że oboje tego samego dnia weszliśmy tak wysoko”). Można powiedzieć, że walenie przyczyniła się do rozwoju polskiego himalaizmu zimowego, no bo skoro już zdobyła najwyższy szczyt świata, to chodzący w góry panowie poszukali innych celów.

Przeszkadzało im także to, że od bardzo wielu z nich (choć oczywiście nie od wszystkich) była mądrzejsza, bystrzejsza, bardziej pomysłowa, konsekwentna, lepiej zorganizowana, miała większą klasę, więcej kultury, przewyższała ich nie tylko sportowo,

ich nauczyli Polacy: „Wanda cipa! Wanda cipa!”.

To dowcip na miarę poziomu tych, którzy go przygotowali. Ciekawe, że i dziś niektórzy z himalaistów uważają, że był to setny żart. Góry zaś natychmiast zweryfikowały, kto jest lepszy. Wyprawa Wandy odnosi ogromny sukces: sześciu mężczyzn i dwie kobiety zdobywają Gaszerbrum II (8035 m), ustanawiając polski rekord wysokości. Nie ma wśród nich Wandy – ona wraz z koleżanką pokonuje niższy, ale dziewiczy Gaszerbrum III (7952 m), na który wchodzi także dwóch panów. I wszyscy szczęśliwie wracają do bazy. To wielki kontrast z męską wyprawą Janusza Fereńskiego, która zdobywała Broad Peak, ale nie najwyższy wierzchołek, lecz tylko środkowy (8011 m), a trzech Polaków ponosi śmierć...

koledzy (i bodaj żadna z koleżanek). Andrzej Wilczkowski pisał: „Kocham Cię, Wandziu – zawołałem na przywitanie. Stała na środku goprowki, taka jakaś drobniotka wobec ogromu góry...” i dodawał: „Nigdy do tej pory nie znajdowałem się w otocze pięknej Wandzi”.

Jej portret

Wielu widzi coś jeszcze: że chłód i opanowanie Wandy to w rzeczywistości tylko narzucony sobie gorset. Prof. Zdzisław Ryn mówił o jej wrażliwości emocjonalnej i wycuciu artystycznym. Janusz Onyszkiewicz opowiadał (w książce Anny Kamińskiej „Wanda. Opowieść o sile życia i śmierci. Historia Wandy Rutkiewicz”), jak pomogła mu, gdy niemal jednocześnie w Himalajach zginęła jego żona, a w Polsce zmarła mama: „Robiła wszystko, żeby mnie wesprzeć. Długo ze sobą rozmawialiśmy. Wanda była przy mnie i dała mi swoją obecnością oparcie (...). Przekonałem się, że potrafi być uczuciowa, empatyczna i wychodząca naprzeciw. Widziałem, jak bardzo stara się mi ulżyć, i poznałem zupełnie inną twarz Wandy. Zrozumiałem, że ona mimo chłodnej powierzchowności jest w środku pełna troski i współczucia”.

Aleksander Lwow wspominał zaś, że miała dwa oblicza. „Była bezwzględna, silna, twardą himalaistką, a jednocześnie wrażliwą, naiwną dziewczynką, która zachowywała się czasem jak dziecko we mgle. Na przykład kiedyś idziemy w karawanie, doganiam Wandę, która siedzi na skraju pola ryżowego, trzyma na kolanach kamerę, coś próbuje z nią robić i płacze. Powiedziała, że obiektyw nie pasuje, a ja się zorientowałem, że najwyraźniej zerwała gwint. Obiektyw nie mógł trafić prawidłowo na swoje miejsce i Wanda płakała z bezsilności”.

Możemy chyba dziś mówić o fenomenie Wandy Rutkiewicz. W miarę upływu lat coraz lepiej zdajemy sobie sprawę, że kogoś drugiego takiego jak ona już nie będzie – i coraz bardziej jej brakuje, nie tylko w świecie gór wysokich.

Andrzej Dryszel

Męskie środowisko wspinaczkowe naszego kraju dosyć kiepsko znosiło jej sukcesy.

ale i moralnie oraz etycznie. To Wanda Rutkiewicz na słynnym szczycie gliwickim, zorganizowanym 35 lat temu z udziałem naszych wybitnych wspinaczy (byli tam m.in. Andrzej Heinrich, Jerzy Kukuczka, Janusz Skorek, Krzysztof Wielicki, Andrzej Zawada), zadała pytanie: „Czy możecie dobrze spać nocą?”. Wywiązała się potem ostra dyskusja o tym, czy i kiedy można zostawić samotnie partnera w górach.

Mistrzowie ciętej riposty

Ci polscy wspinacze, którzy pod żadnym względem nie mogli jej dorównać, z właściwą sobie błyskotliwością szykowali mozolnie cięte riposty. W 1975 r. w góry Karakorum ruszają dwie polskie wyprawy: męska pod przewodnictwem Janusza Fereńskiego i mieszana, kierowana przez Wandę Rutkiewicz. Część panów maszeruje szybciej i uczy pakistańskie dzieci „polskiego powitania”, zapewniając, że dostaną za to cukierki od idących za nimi pań. Wkrótce Wanda i jej koleżanki wkraczają w szpaler dzieci, wyciągających ręce po cukierki i skandujących to, czego

O Wandzie Rutkiewicz robi się głośno, lecz w Polsce więcej niż o tym sukcesie mówi się o jej stylu kierowania: że jakoby chaotyczny, drobiazgowy, apodyktyczny. Żal mają i koleżanki, choć dzięki niej wzięły udział w największym ówczesnym triumfie polskiego kobiecego himalaizmu. Poszło o to, że pierwotnie Wanda zapowiadała, iż Gaszerbrum III będzie zdobywany wyłącznie w żeńskim składzie, ale w ostatniej chwili włączyła mężczyzn do grupy atakującej. Koleżanki uznały to niemal za zdradę, mówiły o niej złymi słowami i nie były w stanie pojąć tego, co rozumiała Wanda: że bez wsparcia mężczyzn w pogarszających się warunkach pogodowych z pewnością nie dałyby rady wejść na Gaszerbrum III.

Nawet wiele lat po jej śmierci koleżanki wytykały, że była konfliktowa, egoistyczna, tworzyła złe relacje. Trudno tu się doszukać kobiecej solidarności. A mężczyźni wprawdzie jej zazdrościli i czasem robili różne złośliwości, ale jednocześnie byli pod jej urokiem. Od facetów nie mogła się opędzić. O wdzięku i urodzie Wandy wspominają prawie wszyscy

DEZUBEKIZACJA

Operacja na otwartym sercu

Danuta Leszczyńska: Chyba ludzie chcą nas zabić, żebyśmy wszyscy zniknęli, bo nie mamy racji bytu, skoro byliśmy w SB

Marianna Fijewska

Zgodnie z regulacją wprowadzoną w 2017 r. emerytury i renty za służbę na rzecz totalitarnego państwa zostały obniżone w taki sposób, by nie mogły być wyższe niż średnie świadczenia ZUS. Oznacza to, że osoby pracujące dawniej w służbach bezpieczeństwa i organach pokrewnych nie mogą pobierać wyższej emerytury niż przeciętny Kowalski, którego świadczenie wynosi niecałe 1,9 tys. zł na rękę (dane za rok 2019). Obniżki wprowadzone na mocy ustawy objęły także renty inwalidzkie i renty rodzinne po zmarłych funkcjonariuszach. W momencie wprowadzania ustawy szacowano, że państwo zaoszczędzi na niej ponad pół miliarda rocznie.

To nie pierwsza tego typu regulacja. W 2009 r. rząd PO-PSL uchwalił ustawę, na mocy której emerytury dla byłych funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa zaczęły być obliczane według niższego wskaźnika, czyli 0,7% podstawy za każdy rok służby w latach 1944-1990, a nie 2,6%, jak wcześniej. Podstawową różnicą między jedną a drugą regulacją było to, że ta wprowadzona przez PO-PSL zabierała prawo do wyższej emerytury wyłącznie za okres PRL. Trybunał Konstytucyjny orzekł wówczas, że „każdy funkcjonariusz organów bezpieczeństwa Polski Ludowej, który został zatrudniony w nowo tworzonych służbach policji bezpieczeństwa, ma w pełni gwarantowane równe prawa z powołanymi do tych służb po raz pierwszy od połowy 1990 r., w tym



**Przestępcy sami mówią:
„Pani Danusiu, teraz
to nie ma policjantów,
z którymi da się rozmawiać”.**

równe prawa do korzystania z uprzywilejowanych zasad zaopatrzenia emerytalnego”.

Kolejną różnicą było to, że ustawa z 2009 r. nie zakładała obniżki świadczeń inwalidzkich, co spowodowało falę wniosków o ponowne badanie lekarskie w celu uzyskania orzeczenia o takim stopniu niepełnosprawności, który predysponuje do pobierania rent. Wysokość średniej emerytury funkcjonariusza po obniżce wyniosła ok. 2,3 tys. zł, a średnia renta resortowa wynosiła wówczas ok.

2,5 tys. zł (emerytura zwykłego Kowalskiego wynosiła 1,6 tys., a renta – 1,3 tys. zł).

Mundurowi z czasów PRL obie ustawy nazywają represyjnymi i domagają się nowych regulacji. Jedną z aktywnych działaczek na rzecz zmian prawnych jest właśnie pani Danuta – oficer w stanie spoczynku, emerytowana kierowniczka sekcji w Wydziale Kryminalnym Komendy Wojewódzkiej Policji w Szczecinie, obecnie członkini Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Szykując się do naszego wywiadu, słucham zapisu audycji radiowej, w której brała udział przed kilkoma dniami. Jej antenowym „przeciwnikiem” jest Leszek Duklański, członek PiS i przewodniczący Wojewódzkiej

Rady Konsultacyjnej do spraw Działaczy Opozycji Antykomunistycznej oraz Osób Represjonowanych z Powodów Politycznych.

„Pan się na mnie mści za własne niedogodności życiowe!”, „To wy byliście sługusami sowieckiego systemu!”, głośnik trzęsie się z emocji, a ja myślę, że wśród obecnych 20- i 30-latków temat emerytur dla byłych funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa poruszany jest na średnio porywających spotkaniach towarzyskich. Bywa, że między piwem a piwem ktoś rzuci znużonym głosem: „Ale że sekretarkom też zabrali...”. „Albo tym, którzy łapali złodziei, przecież ktoś musiał łapać złodziei”, odpowie ktoś inny. „I dobrze, ja bym im zabrał wszystko”, utnie ktoś trzeci. Podczas gdy młode pokolenie ▶

▶ nie przejawia większego zainteresowania problemem, dla przedstawicieli starszych pokoleń stanowi on otwartą ranę, z której sączy się poczucie krzywdy, bez względu na to, czy nosili mundur, czy znaczek Solidarności.

Zwłaszcza jeśli twierdzą, że służbie demokratycznej policji oddali całe swoje życie.

– Porozmawiam z panią, ale mam prośbę. Warunek w zasadzie. Że nie będę anonimowa. Ja się swojego

Nagle okazało się, że dla mnie, koleżanek i kolegów, którzy dla policji dużo zrobili, już miejsca nie ma. Nie pasujemy do układanki.

nazwiska nie wstydzę i tego, co robiłam, też się nie wstydzę. Proszę pamiętać, żeby moje nazwisko się ukazało.

Od tych słów Danuta Leszczyńska rozpoczyna swoją historię. A później kontynuuje:

– Jest rok 1939. Brata mojej babci w Twerze mordują Rosjanie. Wcześniej służył w Nalibokach nad Niemnem jako szeregowy policjant. W historii mojej rodziny na zawsze zapisuje się jako bohater. Najpierw babcia opowiada o nim tacie. Później tato zostaje milicjantem. O pracy nigdy w domu nie mówi. Tylko o stryju zabitym w 1939. 46 lat później, w 1985, i ja zostaję mundurową. Mam 23 lata, gdy wstępuję do milicji. Mąż też milicjant. Przyjmuję mnie do Sekcji B, czyli wydziału obserwacji, i kierują do Szkoły Chorążych Służby Bezpieczeństwa MSW w Warszawie. W „B” mam obserwować przestępców pospolicznych. Oprócz mnie w sekcji same chłopcy. Mąż podejmuje służbę wraz ze mną w tym samym wydziale. Zaczynamy pracować razem na zlecenia Wydziału Kryminalnego i Wydziału Przestępstw Gospodarczych. Pierwsza poważna sprawa – obserwacja grupy przestępczej, która kradnie futra z zakładu pracy w Goleniowie. Udaje nam się ustalić adres dziupli z kradzionym towarem i razem z mężem dostajemy premię.

Atmosfera w pracy świetna. Sami mężczyźni, a ja od dziecka lepiej dogadywałam się z mężczyznami. Nigdy nie doświadczyłam dyskryminacji. Nikt nie traktował mnie gorzej, bo jestem kobietą. Musiałam wykonywać te same czynności, które wykonywali panowie, bez względu na to, ile ciąż przeszłam. Nie było, że nie mogę pracować, bo w domu czekają dzieci. Żadnej taryfy ulgowej. Może dziś część kobiet nazwałaby to dyskryminacją? Może tak, bo w policji

coraz więcej jest roszczeniowości. Panienki idą do pracy i zastanawiają się, na jaki kolor pomalować paznokcie. Albo biorą zwolnienie, bo dzieci chore. Za naszych czasów nie było, że dzieci chore. Jak się szło do służb, to życie prywatne poświęcało się na rzecz porządku publicznego.

Czy ja swoje poświęciłam? Tak. Zdecydowanie. Mam troje dzieci. Nigdy nie byłam na urlopie wychowawczym. Po każdym macierzyńskim natychmiast – natychmiast! – wracałam do pracy. Pracowałam na pełnych obrotach. Potrafiłam wyjść z domu o siódmej, wrócić za kilka

zwalczenia przestępstw narkotykowych i patologii społecznych Wydziału Kryminalnego KWP. Kilka miesięcy później doprowadziłam do zatrzymania największego w Polsce transportu BMK, czyli substancji służącej do produkcji amfetaminy. 441 litrów szajsu w 27 budowlanych beczkach. Z tego transportu można było wyprodukować 240 kg czystego narkotyku! A dziś w gazetach czytamy, jak antynarkotykowi zatrzymali kogoś z dwoma gramami amfetaminy i śmiać mi się chce.

W 2006 r. pisała o mnie prasa. Na masce samochodu obezwładniłam faceta, który uprowadził i wielokrotnie zgwałcił 16-letnią dziewczynkę. Nie czekałam na wsparcie, po prostu go zatrzymałam. Zrobiłam swoje, naruszając procedury. Później okazało się, że to był seryjny gwałcieł poszukiwany w całej Polsce.

Ja, proszę pani, na służbie starałam się być przede wszystkim człowiekiem. Do dziś pamiętam zatrzymanie grubego szczecińskiego dilerka. Mężczyzna był poważnym przestępcą, a jednocześnie samotnie wychowywał synka z dziecięcym porażeniem mózgowym. Zadzwoniłam do brata zatrzymanego, który też był przestępcą narkotykowym. Powiedziałam: „Zajmij się bratankiem, bo w izbie dziecka sobie nie poradzi”. Dwa dni później facet przyszedł na komendę razem z chłopczykiem

W 2006 r. pisała o mnie prasa. Na masce samochodu obezwładniłam faceta, który uprowadził i wielokrotnie zgwałcił 16-latkę.

dni. Z dziećmi był mąż. Wiedział, że zwalczanie przestępczości to moje życie. Robił wszystko, żeby mi to umożliwić. Rozumiał, że jak jest za bójstwo, to Nuśka zostaje w pracy.

Zarzuca mi się, że skończyłam Szkołę Chorążych, gdzie uczono, jak wydobywać informacje od więźniów politycznych. Może i uczono. Ja się szkoliłam z zakresu technik obserwacji i nie żałuję. Później szalenie mi się to przydało. Po 1990 r. awansowałam wielokrotnie. W 2005 r. stanęłam na czele sekcji do spraw

i powiedział: „Ja wiem, że pani wie, co robię, i pewnie mnie pani kiedyś zatrzyma, ale dziękuję, że nie oddała pani chłopca”.

Takie miałam podejście do przestępców – traktowałam ich jak ludzi. Nie pozbawiałam godności, dlatego oni mnie szanowali. Wielu do dziś spotykam na ulicy. O, np. mężczyznę, który pobił ze skutkiem śmiertelnym kapitana statku. Ten mężczyzna dostał wyrok sześciu lat pozbawienia wolności. „Cześć, Danusiu, co tam u ciebie?”,

tak mnie wita, gdy spotykamy się na ulicy. Jak serdeczną koleżankę.

Z byłymi przestępcami nieraz rozmawiam. Czasem widzimy się w parku, czasem w sklepie. Oni nie mają do mnie pretensji. Dlatego tak wielu z nich stało się moimi informatorami. Czy pani zdaje sobie sprawę, że po odejściu na emeryturę gros z tych źródeł nie miałam komu przekazać? Żaden policjant się tym nie interesował. Nie chciało im się weryfikować informacji i wykonywać skomplikowanej pracy operacyjnej. Przestępcy sami mówią: „Pani Danusiu, teraz to nie ma policjantów, z którymi da się rozmawiać”. A dlaczego? A dlatego, że gardzą informacjami. Po ośmiu czy dwunastu godzinach kończą służbę i do widzenia. Nic ich nie interesuje.

A ja tą służbą żyłam.

W 2009 r., jesień to była, spacerowałam z moją suczką Pinią po osiedlu. Każdy w okolicy wiedział, że jestem policjantką. Nagle podbiegała do mnie sąsiadka, mówi, że u niej w bloku w mieszkaniu na parterze coś się dzieje. Podejrzane typy, muzyka do późna. Chodziłam z Pinią pod ten blok, obserwowałam mieszkanie i szybko się zorientowałam, że to burdel, bo w niejednym w życiu byłam. Na dniach zebrałam ludzi, weszliśmy do środka. W środku dwóch alfonsów i kilka prostytutek, w tym dwie nieletnie. Jedna uciekinierka z poprawczaka. Odesłaliśmy. Druga – uciekinierka z patologicznego domu. Rodzina uznała ją za zmarłą. Justynka się nazywała. Przygarnęliśmy ją z mężem do siebie. Nie miała gdzie iść. Kilka tygodni Justyna była z nami, później wróciła na swoje dno. Za bardzo w ten świat wrosła, żeby dać się uratować.

Później to jeszcze kilka miesięcy przepracowałam i poszłam na emeryturę. Był to dla mnie bardzo trudny okres. Przez pierwsze miesiące śledziłam rubryki policyjne wszystkich lokalnych gazet. Interesowało mnie, jakich dilerów zatrzymali i jaki burdel zamknęli. Śledziłam wszystko, tak jakbym jeszcze pracowała. Pamiętałam ksywy, ilości, miejsca

zatrzymań. Później przestałam czytać, bo tylko się denerwowałam, że sama zrobiłabym to sto razy lepiej. Durna jestem, wiem, ale jakby ktoś powiedział: „Danka, wracaj do służby”, to ja bym wróciła. Ze swoim doświadczeniem i kontaktami mogłabym w policji bardzo pomóc, ale mnie policja nie chce.

A decyzję o emeryturze podjęłam, bo relacje służbowe zmieniły się w polityczne. Jak inaczej wyjaśnić, że zwykły szary pracownik bez większych sukcesów i doświadczenia zostaje naczelnikiem? Nagle okazało się, że dla mnie, koleżanek i kolegów, którzy dla policji bardzo dużo zrobili, już miejsca nie ma. Że nie pasujemy do układanki.

Najbardziej ze wszystkiego boli mnie niekonsekwencja. Emerytury i renty są przywracane generałom, a nam, funkcjonariuszom, którzy na nich zapieprzali, nie. I ludzie nagle nie mają z czego żyć. Na szczęście my z mężem mamy rodziców, ci jednak nigdy nie przypuszczali, że w wieku 80 lat będą dokładać dzieciom do życia.

Czy pani słuchała ostatniej audycji w Radiu Szczecin? Tam mówili, że jestem bandytką, przestępczynią. Pomyślałam sobie, że chyba ludzie chcą nas zabić. Po prostu zabić, żebyśmy wszyscy zniknęli, bo już nie mamy racji bytu, skoro byliśmy w Służbie Bezpieczeństwa.

Ja kochałam policję, a dziś państwo mnie represjonuje. Ustawy dezubekizacyjne to ustawy represyjne. Tę ostatnią mogę nazwać jeszcze ustawą śmierci, bo dla wielu koperta z listem MSWiA była wyrokiem. Moja koleżanka Ziotka podcięła sobie żyły. Po tym, jak jej mąż – policjant – się zastrzelił. Później druga koleżanka Józefa z Włocławka wraz z mężem popełnili samobójstwo. Napisałam do posłanki Krystyny Pawłowicz, pytając, dlaczego tak jest, dlaczego chce nas pozbawić godności?

Odpisała, że kat nie może dostawać więcej niż ofiara. A ja do dziś nie wiem, kogo katowałam.

Fragment książki Marianny Fijewskiej *Policjantki. Kobiące oblicze polskich służb*, W.A.B., Warszawa 2021

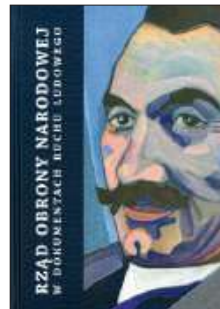


KSIAŻKI

Rząd Obrony Narodowej w dokumentach ruchu ludowego

Redakcja naukowa Janusz Gmitruk, Mateusz Ratyński, Tadeusz Skoczek
Muzeum Historii Ruchu Ludowego,
Wydawnictwo Naukowe
Muzeum Niepodległości, Warszawa 2021

Polski ruch ludowy to jedna z najstarszych formacji politycznych w Europie i ważna część składowa procesu historycznego. Ludowcy prowadzili szeroką działalność organizacyjną i zawsze manifestowali swój narodowy charakter. Prezentowane 64 dokumenty źródłowe ukazują szerokie spektrum polityczne, programowe i propagandowe ludowców trzech głównych nurtów ruchu ludowego w okresie pierwszego gabinetu Wincentego Witosa. Materiały mają wspólną konkluzję: chociaż ludowcy różnili się programowo i często byli ze sobą skłóceni, łączyła ich idea niepodległości oraz umiowanie ojczyzny i demokracji. Środowisko chłopskie zdecydowanie stanęło po stronie Rządu Obrony Narodowej oraz wezwało Polaków do walki w celu odparcia najazdu bolszewików.



Jan Groszyński
**Droga do świetności
Vademecum wiedzy
o formowaniu korzeni**
Warszawa 2021

Publikacja przedstawia fragment dziejów Kościoła. Jan Groszyński (który napisał także książkę „Cztery wieki Gwiazd Medycejskich”), przypomina wybrane wydarzenia z tysiącletniej drogi rozpoczętej decyzją cesarza Konstantyna o legalizacji religii chrześcijańskiej do osiągnięcia apogeum średniowiecznej świetności w końcu XIII w. Śledzimy zatem drogę formowania się i umacniania korzeni chrześcijańskich.



Najpierw ślub, miłość rośnie z czasem

Przeciętna hinduska żona tuż po ślubie to dziewczyna zastraszona i osamotniona, szukająca ratunku w pracach domowych



Paulina Wilk

Im bliżej zachodu słońca, tym trudniej o skrawek wolnego miejsca na kamiennym murze okalającym Bramę Indii. Późne popołudnie to w Bombaju czas nieporadnych romantyków starających się wynegocjować intymną chwilę w nieprzychylnych okolicznościach. Przychoǳą parami, podwójnie speszeni – własną obecnością i ciekawskimi spojrzeniami innych.

Siadają blisko siebie, ale jakby oddaleni, pilnując symbolicznej granicy. Jego ramię nie otula jej kruchej sylwetki, ona nie szuka w nim oparcia. Dłonie się nie splatają. (...)

Z przystani odeszły już ostatnie wycieczkowe statki na oddaloną o godzinę drogi Elefantę, można

jeszcze popłynąć 30 kilometrów na południe, na plażę w Alibag. Agenci turystyczni zamykają budki i ruszają do domów. Pałacowy Taj Hotel pięknieje w późnym słońcu, białe balkoniki nasiąkają różem. Skrępowani kochankowie dzielą się prążonymi orzeszkami z gazetowej tutki. Krążący wokół sprzedawcy i pucybuci tworzą opiekuńczy kordon. Wyjątkowo się nie narzucają. Nie chcą przeszkadzać, ale liczy się każdy grosz.

Fizyczna bliskość między kobietą a mężczyzną jest w Indiach źle widziana. Nie ma formalnych zakazów, ale jest surowa społeczna kontrola i lęk przed złamaniem tabu. Nawet w stynącym z liberalnej obyczajowości Bombaju, gdzie przekraczanie granic stało się kwestią mody. W dużych miastach moralny reżim jednak

słabnie: zdarza się widzieć pary idące za rękę i drobne czułości, ale więcej jest obaw i dystansu.

Co innego bliskość mężczyzn, im wolno demonstracyjnie wyrażać sympatię. Dwóch chłopaków uwieszonych sobie wzajemnie na ramieniu, zgodnie szurających klapkami po asfalcie i wybuchających głośnym śmiechem – oto ilustracja *dosti*, indyjskiej przyjaźni. Dorośli mężczyźni trzymający się za kolana i uda, klepiący się po plecach i ściskający za ręce to rzecz powszechna i uznawana za naturalną. Natomiast kontakt z kobietą jest dozwolony jedynie w małżeńskiej sypialni.

Taki wielki kraj, a miłość nie ma się gdzie podziać. Bombaj, ze swoją monumentalną bramą i długą promenadą wzdłuż Marine Drive, jest dla zakochanych dość łaskawy. W Delhi

trudniej o urokliwe zakątki. Pozostają Lodhi Gardens – ogrody otaczające kompleks starych muźmańskich grobowców, z których jeden, przykryty krągłą kopułą, szczególnie fascynuje Hindusów podobieństwem do kobiecej piersi. Jest tam sporo miejsca i zaułków, ale też zawsze dużo ludzi.

Można się tam zakraść w księżycową noc, gdy potężne bryły grobowców wyrastają z mroku jak zjawy. Jednak kara grzywny i więzienia, czy nawet sama perspektywa wizyty na posterunku policji, gdzie niespełnienie kochankowie, a w szczególności dziewczyna, mogą liczyć na upokarzające przesłuchanie i obelgi, działa odstraszająco. Zresztą jakim cudem dwoje młodych ludzi miałoby się wyłknąć z domów po zmroku, unikając ciekawskich pytań rodziców, ciotek i dziadków?

Pozostają popołudnia na trawie albo w plenerowym planetarium Džantar Mantar (...). Jeśli chłopak ma motor i pieniądze, może zaproponować przejażdżkę za miasto i kolację w przydrożnej dhabie – nie będzie elegancko, ale przynajmniej anonimowo. W jadłodajni dla kierowców wszyscy są w drodze i nikt nie zadaje pytań.

Kalkuta oferuje romantikom parki, w tym jeden w centrum miasta, wyjątkowo starannie zaprojektowany i utrzymany. Władze tak się troszczą o dobre imię klombów i cnotę młodzieży, że zakazały wnoszenia do parku parasoli i gazet, pod których osłoną rozpustni młodzieńcy mogliby urągać czci dziewcząt. Zakaz, jak większość państwowych przepisów, pozostał martwy.

Na spotkania w nowoczesnych klimatyzowanych kawiarniach, gdzie jedna kawa kosztuje tyle, ile 20 kupionych na ulicy herbat, mogą sobie pozwolić zakochani z klasy średniej. Oni w ogóle mogą więcej: chodzić na randki, tańczyć w nocnych klubach, wyjeżdżać na weekendy – rzecz w wielu społecznościach niedopuszczalna.

Bogaci nie tylko nie muszą ukrywać uczuć i drzeć ze strachu przed wściekłością rodziny – coraz częściej sami wybierają partnerów na życie. Ich decyzje jeszcze akceptują starsi, ale to i tak istotne pęknięcie

w systemie aranżowanych małżeństw. Nie ma jednak powodów, by odtrącić jego upadek – im bardziej liberalna staje się część indyjskich elit, z tym większą zażartością porządku obyczajowego pilnują tradycyjne rodziny, w szczególności wiejskie, plemienne oraz arystokratyczne, dbające o czystość swych linii.

Nawet w postępowaniu samej klasy średniej kryje się paradoks: miłość stała się synonimem młodzieńczej fanaberii, która z czasem musi ustąpić obowiązkom wobec krewnych. Bez względu na wyznanie, dobrze sytuowani Hindusi nie zaryzykują honoru rodziny tylko dlatego, że ich dziecku mocniej zabiło serce. Bo w życiu nie uczucie jest najważniejsze.

„Najpierw ślub, miłość rośnie z czasem” – mawiają hinduskie matki do swych córek. W Indiach miłość

dziećmi, rodzice wspierają wspólne zabawy. Potem wyrasta niewidzialny mur, uważnie obserwowany przez starszych członków rodziny. To oni aranżują związek małżeński w imieniu potomków, ponieważ na szali leży nie indywidualne życie dwojga ludzi, ale los zbiorowości.

Przeznaczeni sobie chłopak i dziewczyna zwykle mają szansę spotkać się przed ślubem, najpierw w towarzystwie starszych, później sami. Są też pytani o zdanie.

– No jak, podoba ci się?

Zdarza się, że pada odpowiedź odmowna, a rodzice muszą szukać następnego kandydata. Ale często dzieci nie mają prawa się sprzeciwić, są wychowywane w posłuszeństwie. Wielu indyjskich małżonków widzi się po raz pierwszy w dniu ślubu, a kilka dni później zaczyna wspólne życie.

Fizyczna bliskość między kobietą a mężczyzną jest źle widziana. Co innego bliskość mężczyzn, im wolno demonstracyjnie wyrażać sympatię.

oznacza wieloletnią znajomość, zbliżenie przez poznanie, zamieszkiwanie wspólnej przestrzeni i troskę wobec tych samych spraw. Spełnienie uczuciowe jest odległym punktem na mapie, niejasną obietnicą odkładaną na potem. Konsekwentnie więc miłość jest nieobecna w życiu przedmałżeńskim. Romantyzm i kontakty między kobietami a mężczyznami są zagrożeniem dla najważniejszej inwestycji, jaką jest ślub. Liczy się pomyslnie połączenie zbiorowości, nie jednostek. Sojusz z szanowaną rodziną wzmacnia pozycję społeczną, daje możliwości – im większa grupa, tym różniej, a i okazji do wspólnych interesów więcej.

Śluby mają charakter kontraktów negocjowanych z determinacją i ze wzajemną podejrzliwością, nieraz poprzedzonych wywiadem środowiskowym. Jakakolwiek rysa na wizerunku rodziny stawia fuzję pod znakiem zapytania. Już sama myśl, że się negocjowało z niegodnymi sobie, narzą prestiżu rodu. W tak zdefiniowanym środowisku znajomość kobiety i mężczyzny nie ma racji bytu, o ile nie wynika z pokrewieństwa. Póki są

Szczęścia zmierzyć się nie da, ale warto poszukać odpowiedzi na pytanie, jak wiele frustracji i cierpień w sferze miłości przeżywają mieszkańcy Indii i co w zamian za nie zyskują. Europejczycy często reagują oburzeniem na myśl, że w XXI w. ktoś może być zmuszany do ślubu. Z drugiej jednak strony ulegają urokowi indyjskich ceremonii ślubnych. To samo zdarzenie kategoryzuje jako barbarzyńskie i bańnowe. W skrajnościach gubi się istota rzeczy.

Za koncepcją małżeństwa aranżowanego stoi interes rodziny, która bezwzględnie obchodzi się z uczuciami młodych. Starsi powtarzają nieczułość, jakiej sami doświadczyli. Tym razem to oni wywierają presję. Indyjska rodzina tłamsi indywidualność w przekonaniu, że dążenie do zaspokojenia własnych potrzeb grozi jej trwałości. Wiąże się z tym nieufność wobec miłości jako zmiennej i chwiejnej, przynoszącej destabilizację.

Uczucia nie są gwarantem stałości, dlatego małżeństwa buduje się w oparciu o podobieństwa. Miłość nie jest przyczyną, ale owocem

► życiowego związku, małżeństwo zaś nie wynika z pragnień, ale staje się ich areną. Zakazane i przemilczane przed ślubem uczucie po zawarciu związku może rozkwiąć przez lata.

W rzeczywistości różnie bywa. Nieznający się małżonkowie, często młodzi, nastoletni, przeżywają stres. Czeką ich drastyczna i często nagła zmiana roli. Od obojga wymaga się natychmiastowej adaptacji. Dziewczyny zostają rozłączone ze swymi rodzinami. Rzadko, jeśli w ogóle, opuszczają rodzinne okolice, a teraz podróżują setki kilometrów do obcego domu i muszą się dopasować do hierarchii krewnych męża. Ci często witają je chłodem albo okrucieństwem.

Większość młodych żon przeżywa szok, o którym nie może mówić. Hindusi milczą o wielu sprawach – nad życiem uczuciowym wisi wielka cisza, co jednak nie przeszkadza w urządzaniu domowych awantur. Wrzaski, brzęk przewracanych garnków – to typowe odgłosy życia rodzinnego. Ale melodramatyczności nie należy mylić z emocjonalną szczerością.

Przeciętna hinduska żona tuż po ślubie to dziewczyna zastraszona i osamotniona, szukająca ratunku w pracach domowych. Dziewczyny wiedzą, co je czeka – z opowieści matek i z obserwacji. Ale co innego spodziewać się końca świata, a co innego pewnego dnia zrozumieć, że się jest w sytuacji bez wyjścia.

Chłopcy nie tracą kontaktu z bliskimi, za to muszą sprostać ich oczekiwaniom. Jak najszybciej spłodzić potomka. Zbudować więź z obcą osobą. Dorosnąć do roli męża. Wcześniej rozpieszczani przez matki, teraz dostają wymagania, ale niewiele wskazówek. Radzą sobie, jak potrafią: czasem tylko nieczułością, a czasem agresją. Z upływem lat i przyjsciem na świat dzieci młodzi małżonkowie czują się pewniej. Ich rola w rodzinie się umacnia, decydują o ważnych dla domu sprawach. Przyczynili się do wspólnej pomyślności, wypełnili zadanie, więc mogą liczyć na akceptację.

Zdarzają się scenariusze tragiczniejsze i bardziej brutalne, ale też w wielu indyjskich rodzinach nie brakuje ciepła i serdeczności. Dopiero

obserwacja długoletnich par małżeńskich odświeża sens, niewidoczny w burzliwych i bolesnych początkach. Stare indyjskie małżeństwo to zwykle dwoje ludzi, którzy stali się mężem i żoną: odegrali role przypisane im w kontrakcie. Narzucony kiedyś kostium uleżał się. Życie rozpoczęte jako cudze dobiega końca jako własne. Teraz, nad filiżanką poobiedniej herbaty, dwoje ludzi ma dla siebie niewiele słów, ale również niewypowiedziany szacunek i wdzięczność. Łączy ich czas. Silniej nawet ten, który jeszcze jest przed nimi.

Śluby mają charakter kontraktów negocjowanych z determinacją i z podejrzliwością, nieraz poprzedzonych wywiadem środowiskowym.

Ci starzy ludzie, oddzieleni od miłosnych pragnień przez dziesiątki lat i doświadczeń, wybierają los dla swoich dzieci i wnuków. Hindusi nie mają prawa decydować o własnym życiu, ale wolno mu zarządzać czymś. Po latach rekomensuje sobie to, co zostało mu odebrane.

To reguła rządząca rodziną: o losie synowej decyduje teściowa, teściowa jest zależna od syna, syn od ojca, a ten z kolei podlega autorytetowi stryjecznego wuja. I tak dalej. Skomplikowana dystrybucja odpowiedzialności sprawia, że wszyscy zostają pozbawieni życia osobistego i swobodnego wyboru, trzymają się wzajemnie w szachu. Pragnienie miłości, własne i samolubne, jest dla takiej konstelacji zagrożeniem.

Kulisy ślubów bywają mroczne, pełne hipokryzji i wyrachowania, za to ceremonie zawsze wystawne i huczne. Byle przyćmić niewygodną rzeczywistość. Przemysł małżeński nabiera rozpędu. Im bogatsi Hindusi, tym więcej wydają na wesela, a wcześniej – na poszukiwanie właściwego związku. Kiedyś sprawę załatwiali swaci, dobrze zorientowani w potrzebach różnych rodzin i odpowiedzialni za ład społeczny w swojej okolicy. Wciąż są znaczącą siłą na rynku matrymonialnym, ale już nie jedyną.

Indie tylko geograficznie leżą w Azji, faktycznie ich granice sięgają

Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Kanady i Australii, gdzie żyje gigantyczna diaspora, bardzo zatroskana o ciągłość tradycji. Wielu indyjskich emigrantów posiada szczególny status obywatelski – Non-Resident Indian, który zacieśnia ich ekonomiczne i kulturowe związki z ojczyzną. Dla kraju to rzecz nieoceniona – większość zamorskich gospodarstw domowych przesyła część zarobków do Indii. Poza zastrzykiem finansowym diaspora umacnia również przywiązanie Hindusów do korzeni. Nowocześni

i zamożni zza wielkiej wody szukają zwykle wykształconych partnerów z rodzin o nieposzlakowanej opinii, chętnych opuścić ojczyznę.

Zglobalizowana branża matrymonialna wykorzystuje najnowsze technologie, by ułatwić transakcje. Zarabiają na nich internetowe serwisy, ale każdy ślub napędza wielobranżową maszynę. Na weselach dorabiają się linie lotnicze dowożące niewidzianych od wieków kuzynów, ciotki i stryjów. Poza tym: kierowcy, hotelarze, krawcy i warsztaty tkackie, hodowcy koni i słoń, orkiestry dęte, hidżry, tancerze, jubilerzy, producenci sztucznych ogni, sprzedawcy samochodów, skuterów i klimatyzatorów. Dalej bramini, kwiaciarki, drukarnie okolicznościowych kartek, nie mówiąc o dziesiątkach kucharzy i kelnerów. Wszystko w ilościach masowych, bo gości jest kilkuset.

O biznesowym charakterze instytucji małżeństwa przypominają co niedzielę indyjskie gazety, publikując dodatki z ogłoszeniami matrymonialnymi.

Z rubryki „Pan młody poszukiwany”: „Ojciec i matka z Cennaju (tu kasty, do których należą) poszukują właściwego aliansu dla córki (tu wymiary). Jasna. Magisterium, sztuki piękne, tekstylia. Rodzice wykwalifikowanych i twórczych kandydatów mogą przysłać oferty (tu numer skrytki pocztowej)”.

Albo: „Mieszkająca w Bombaju rodzina Menon z Trisuru poszukuje męża dla swej córki. Szczupła, jasna, zatrudniona. Starszy specjalista IT, rządowa posada. Rodzice chłopców z rodów Nair/Menon/Nambiar, najchętniej zatrudnieni za granicą, są proszeni o kontakt. Wdowcy i rozwodnicy bez obciążeń mogą aplikować”.

„Hinduska dziewczyna z szanowanej rodziny, dobrze wykształcona, b. piękna i jasna, poszukuje wykwalifikowanego kandydata zatrudnionego w Delhi, biznesmen/pracownik rządowy, kasta bez znaczenia. Aplikacje ze zdjęciem (tu adres mejlowy)”.

Z rubryki Panna młoda poszukiwana: „Bramiński chłopiec urodzony o 17.55, 5/12/82, jasny, przystojny, MBA, Bangalur, zarobki ponad 100 tys., jedyny syn, własna nieruchomości. Szuka jasnej, pięknej dziewczyny, rodzinnej, min. 5'3" wzrostu, do 26 lat. Bez posagu. Horoskop i zdjęcie”.

„Non-Resident Indian. Inżynier komputerowy z Londynu, Bengalczyk, rozwiedziony. Synowie mieszkają z matką. Posiada luksusowe apartamenty w Londynie i Kalkucie. Poszukiwana jasna, dobrze wykształcona, z dobrej bengalskiej rodziny”.

„Specjalista ds. bankowości z Hajdarabadu, zatrudniony w korporacji z Australii, własny samochód i mieszkanie, szuka pięknej domowej dziewczyny z MBA, z kulturalnej i zamożnej rodziny, chętnie bramińskiej. Biodane na adres (tu adres mejlowy)”.

Całe strony zadrukowane detalicznymi preferencjami. Posegregowane w rubryki etniczne, kastowe, wyznaniowe, rodowe. Osobno synowie rodzin sikhijskich, osobno bramini, Tamilowie i Radżputowie. Wyodrębnieni rozwodnicy, wdowcy, wyznawcy Wisznu z Gudżaratu, kosmopolici, muzułmanie z Karnataki i ci najubożsi, z kast i plemion wpisanych na rządową listę. Krótkie ogłoszenia wiele mówią – precyzyjne kwalifikacje, a w zamian konkretne oczekiwania. Dodatek „kasta bez znaczenia” i „bez posagu” w jednym na kilkadziesiąt ogłoszeń.

Widać ciekawą zależność: im bardziej klasa średnia domaga się obyczajowej swobody i wolności w sferze osobistej, tym więcej inwestuje

w ślubne ceremonie. A im większe koszty ślubu, tym mniejsza skłonność do ryzyka. Głośne żądania wolności prowadzą do jej powtórnego ograniczenia. Tym razem nie przez wzgląd na tradycję, ale na portfele. Można powiedzieć, że indyjscy konserwatyści nie ustąpili o krok, zmienili tylko walutę. (...)

Są w Indiach, i zawsze były, małżeństwa z miłości. Znajomości zawarte zwyczajnie – w sąsiedztwie, przez znajomych, na studiach. Śluby z błogosławieństwem rodziców, astrologów i wszystkich znajomych. Historie pozbawione dramatycznych zwrotów akcji i chyba przez to na co dzień pomijane. Jeśli są przytaczane, to nie jako dowód, że miłość może być fundamentem stałego związku. Raczej jako argument przeciwko tym, którzy krytykują tradycję związków aranżowanych. Gdy padnie pytanie o miłość, Hindusi jak z rękawa sypią

zamykać okien ani drzwi. Śpi się razem, w duchocie, bliskości spoczynnych ciał. W takich warunkach rodzi się pożądanie, ale nie intymność. Na wyszukane fizyczne gry brakuje miejsca. I sił, gdy po pracy od świtu i skromnej kolacji przychodzi kilka godzin odpoczynku. (...)

Z seksem jest w Indiach podobnie jak z miłością. Nie mówi się o nim, ale wisi w powietrzu. A im większe jest milczenie, tym silniejsza presja. Erotyczne tabu, które zakazuje współżycia przed ślubem, trzyma żądze pod kluczem – wielu mężczyzn zaczyna życie seksualne późno. Tym gorzej dla kobiet. Codziennie pożądliwe spojrzenia, posykiwania, napieranie ciałem w tłumie. Obmacywanie w kinach i autobusach, wreszcie ta przedziwna satysfakcja z uderzenia ramieniem w piersi. Użycie siły wobec zbliżającej się z naprzeciwka dziewczyny jest drobnym zadośćuczynieniem za tysiące palących zakazów. (...)

O losie synowej decyduje teściowa, która jest zależna od syna, syn od ojca, a ten podlega autorytetowi stryjecznego wuja.

przykładami zakochanych par. Zaczynają od XVII-wiecznej pary królewskiej – Szachdżahana i Mumtaz, dla której zbudowano Tadż Mahal, a kończą na pochodzącym z muzułmańskiej rodziny bollywoodzkim gwiazdorze Shah Rukh Khanie i jego hinduskiej żonie Gauri.

– Jesteśmy krajem nowoczesnym, zmieniamy się – mówią. – Co złe, to minęło.

Ale na co dzień miłość przegrywa z inną wielką siłą – płodnością. Wszystkie te bezlitosne procedury, mające zapewnić odpowiednie małżeństwa i cnotliwość panien, służą przychodowi na świat potomstwa o jak najlepszym pochodzeniu. (...)

Życie erotyczne większości Hindusów nie jest krainą finezji. Nie może nią być przede wszystkim z powodów cywilizacyjnych. Wieloosobowe rodziny tłoczą się w małych pomieszczeniach, ludzie leżą pokotem na podłodze. W chatkach i mieszkaniach upał nie pozwala

Prawda o indyjskim seksie jest ponura. Jako sfera wypchnięta z głównego nurtu rzeczywistości, jednocześnie niewidoczna i zakłamana, seks staje się przestrzenią nadużyć, przemocy i cierpienia. Bollywoodzkie romanse nie przestają czarować słodkimi obrazami – na nadgarstkach panny młodej w noc poślubną pękają szklane bransoletki, miażdżone pewnym, acz czułym uściskiem kochanka. W rzeczywistości w małżeńskiej sypialni często spotykają się ludzie wystraszeni i zawstyżeni. Muszą to zrobić i już. (...)

Dopóki miliony Hindusów są niedożywione, pozbawione opieki lekarskiej, wykształcenia i bieżącej wody, dopóty opowieści z Kamasutry pozostaną dla nich opowieścią o locie w kosmos. Radość z życia erotycznego mogą czerpać tylko ci, którzy mają czas i możliwości, by w ogóle cieszyć się życiem.



Fragmenty książki Pauliny Wilk *Lalki w ogniu. Opowieści z Indii*, Marginesy, Warszawa 2022

Konrad Malec

Majówkowy weekend to aż trzy ważne święta z rzędu. Flagi wzdłuż ulic, flagi na posesjach, flagi na budynkach publicznych... 2 maja to Dzień Flagi Rzeczypospolitej, choć niestety nie jest dniem wolnym od pracy. I wszystko byłoby elegancko, gdyby nie to, że mnóstwo rodaków w ten dzień (i nie tylko w ten) użyło flagi nieprawidłowo. Najczęstszym błędem jest używanie biało-czerwonej z godłem. A że godło mamy ornitologiczne...

Nim jednak dojdę do ornitologicznych podstaw naszej państwowości, kilka słów o tym, dlaczego nie powinniśmy używać flagi z białym orłem w czerwonym polu. Flagi są symbolami, które można czytać tak jak książkę albo zestaw piktogramów. Ciekawe przy tym, że coraz sprawniej czytamy pismo obrazkowe, ale tracimy zdolność czytania liter bądź znaków państwowych, tak jak dawniej zatraciliśmy zdolność czytania sztuki sakralnej, gdy upowszechniła się umiejętność pisanie i czytania. W każdym razie flagi z godłem są zastrzeżone dla polskich przedstawicielstw dyplomatycznych, lotnictwa cywilnego oraz portów (a właściwie ich kapitanatów) i statków. Gdy pojawia się na fladze, w tym wypadku banderze, trójkątne wcięcie, oznacza to okręt wojenny. Nieprawidłowe użycie flagi może nas kosztować pieniądze, które zasilały budżet państwowy, a nawet możemy zaliczyć odsiadkę, choć nie przypominam sobie, by ktoś trafił przed oblicze Temidy za błędne używanie flagi, czy to na marszu, czy na balkonie bloku z wielkiej płyty. Jakiej więc flagi na co dzień używać? Po prostu biało-czerwonej.

Każdy wie, jak wygląda polska flaga, ale niewielu potrafi wyjaśnić, dlaczego mamy biało-czerwoną. Biel w naszej fladze symbolizuje orła białego w godle, czerwień jego pole. A dlaczego orzeł biały? Sprawa prosta: byli Lech, Czech i Rus; ten ostatni miał być protoplastą Rusinów, czyli Ukraińców i innych etnosów wschodniosłowiańskich. Dalsze losy rodziny są powszechnie znane,



Orzeł biały

Wśród ornitologów orzeł przedni ma reputację psychopaty, a bielik pacyfisty

nie zawsze były one pokojowe. Jak to w rodzinie. Lech miał zobaczyć gniazdo wielkiego orła nad brzegiem jeziora, ptak rozpostarł skrzydła, robiąc stosowne wrażenie na księciu i jego drużynie. Absolutnie się nie dziwię, że Lech postanowił swoim symbolem uczynić bielika, z rozpostartymi skrzydłami. Każdy, kto choć raz, choćby krótko, widział bielika z bliska, wie, że trudno o bardziej majestatyczny symbol. W miejscu gniazda książę kazał zbudować Gniezno (cóż za lekceważenie zasad ochrony przyrody!).

Tyle legenda, bardzo stara. Jej pierwszy zapis, w zbliżonej do dzisiejszej formie, pochodzi z końca XIII w., choć zapewne ma starszy rodowód. W każdym razie to czas, gdy orzeł biały w czerwonym polu wkracza na scenę. Co prawda, był wcześniej denar Bolesława Chrobrego z wizerunkiem ptaka uznanego przez wielu za orła, ale

zarówno heraldycy, jak i ornitolodzy (ci szczególnie) zwracają uwagę, że z tym orłem coś jest nie tak. Wielu stawia na równie majestatycznego pawia, wielką atrakcję monarszych dworów Europy, pochodzącą z importu (ojczyzną pawi są Indie). Nie wiemy, czy pierwszy król Polski miał na dworze pawie, ale niemal na pewno posiadał kolekcję ptaków drapieżnych i sokolników odpowiedzialnych za ich hodowlę. Pierwszy wizerunek orła białego pojawia się w XIII w., wraz z początkiem heraldyki. Najpierw wśród Piastów śląskich, później także innych. Kiedy Przemysław II usiłuje odbudować Królestwo Polskie, ze swojego osobistego herbu czyni symbol państwa. Przemysławowi II się nie udało, ale w 1320 r. Władysław Łokietek koronuje się na króla Polski, uznaje herb kraju nadany przez poprzednika, rezygnując z własnego (tzw. hybrydy kujawskiej – pół orła, pół lwa).

Reasumując, od zachwyty legendarne Lecha, który trudno precyzyjnie usytuować w czasie (Kronika Wielkopolska wskazuje jedynie V w. przed Chrystusem), do koronacji Przemysła II upłynęło kilka ładnych stuleci, w czasie których obywaliśmy się bez orła białego. Nawet gdyby ów moment nieco przesunąć, sytuując go np. sto lat przed Mieszkiem I, to przez kilka stuleci pierwowzór nam zaginął. Stąd konflikt w gronie ornitologów i heraldyków. Większość osób jest przekonana, że protoplastą naszego godła był bielik. Kłopot w tym, że obecnie bielik nie jest wliczany w poczet orłów, choć przez wieki znajdował się w tym elitarnym klubie. Przyszłemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych nie podobało się też upodobanie bielika do padliny, po prawdzie podzielane przez większość drapieżników (kto by pogardził darmowym obiadem?). Lincoln stawiał na indyka, już wówczas mającego pozytywne konotacje w rodzącej się amerykańskiej kulturze. Bielik amerykański jest także w godle Filipin, jako ślad kolonialnej przeszłości, wraz z lwem zaczerpniętym od wcześniejszych, hiszpańskich kolonizatorów. Przynajmniej część Filipińczyków odżegnuje się jednak od tych zaszłości, twierdząc, że to swojski małpożer, jeden z najbardziej zagrożonych gatunków świata, mimo że ptak z filipińskiego godła w niczym małpożera nie przypomina. Nie mam pojęcia, jak tłumaczyć lwa, bo na archipelagu nie ma żadnego podobnego doń zwierzęcia.

Pomijając fakt, że same bieliki zdają się nie przywiązywać większej wagi do swojego statusu, to i my nie mielibyśmy czego się wstydzić, wszak bielikiem legitymują się Stany Zjednoczone, choć oczywiście tamtejszym gatunkiem – bielikiem ame-

tu podgrzanie i wstępna obróbka trawieniem ryby, którą napadnięty zwykle przechowuje w układzie pokarmowym. Bielik ściga wspomniane ptaki wodne, które są jego przysmakiem (wraz z rybami). Te, uciekając, ratują się zwróceniem zdobyczy, która może zaspokoić aspiracje największego ptaka drapieżnego naszych przestworzy. Biolodzy takie piractwo nazywają kleptopasożytnictwem.

Obecnie bielik nie jest wliczany w poczet orłów, choć przez wieki znajdował się w tym elitarnym klubie.

Przyszłemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych nie podobało się też upodobanie bielika do padliny, po prawdzie podzielane przez większość drapieżników (kto by pogardził darmowym obiadem?). Lincoln stawiał na indyka, już wówczas mającego pozytywne konotacje w rodzącej się amerykańskiej kulturze. Bielik amerykański jest także w godle Filipin, jako ślad kolonialnej przeszłości, wraz z lwem zaczerpniętym od wcześniejszych, hiszpańskich kolonizatorów. Przynajmniej część Filipińczyków odżegnuje się jednak od tych zaszłości, twierdząc, że to swojski małpożer, jeden z najbardziej zagrożonych gatunków świata, mimo że ptak z filipińskiego godła w niczym małpożera nie przypomina. Nie mam pojęcia, jak tłumaczyć lwa, bo na archipelagu nie ma żadnego podobnego doń zwierzęcia.

Ale wróćmy nad Wisłę. Jeśli nie bielik, to kto jest w naszym godle? Najpopularniejszym kontrkandydatem, choć bez przesady – jego poparcie sięga w najlepszym razie 10% biorących udział w dyskusji, wobec ok. 90% głosów oddanych na bielika – jest orzeł przedni. Przeciw niemu przemawiają dużo mniejsze podobieństwo barwne i opierzone skoki (odpowiednik naszego śródstopia),

które w polskim godle, podobnie jak u bielików, są nagie. Nie bez znaczenia są poza tym względy nostalgiczno-historyczne, w tym antropomorfizowanie zwierząt, zwłaszcza symbolicznych. Orzeł przedni znajduje się w godłach naszych dawnych zaborców, a w czasach zaborczych owe orły miały po dwie głowy, co podkreślało cesarski status tych państw (do dziś dwugłowy orzeł znajduje się jedynie w rosyjskim godle, choć Rosja oficjalnie caratem już nie jest). Wśród ornitologów orzeł przedni ma reputację psychopaty (grubo przesadzoną), bielik zaś opinię pacyfisty. Po prawdzie na pokojowym wizerunku bielika pojawiła się rysa, bo wraz ze wzrostem liczby tych ptaków bieliki zajęły wszystkie możliwe do zamieszkania terytoria, co niekiedy prowadzi do powietrznych zapasów, związanych z próbą przejęcia terytorium przez rywalizującą parę. Bywa, że takie bitwy kończą się śmiercią ptaków, głównie mniejszych samców. Przyznajmy jednak, że naruszenie przestrzeni powietrznej przedniaka niemal na pewno skończy się zgonem.

Poza wyżej wymienionymi do królowania na czerwonym polu tarczy kandydują inni chętni, lecz poparcie mają mniejsze niż symboliczne. Niemniej jednak zawsze lubitem pewien koloryt politycznego planktonu, więc pozwolę sobie zaprezentować ową niszę. Z prawdziwych orłów do polskiego godła aspirują cesarski i stepowy. Oba sporadycznie zalatują do Polski, ale najprawdopodobniej nie zapuszczają się ▶

Bieliki i wiele innych ptaków drapieżnych, zamiast samemu męczyć się polowaniem, wolą odebrać zdobycz kormoranowi lub czapli.

rykańskim. Ponoć przeciwnikiem bielika w godle USA był Abraham Lincoln, któremu wydawało się niesmaczne, że młody naród z ambicjami będzie się pieczętował ptakiem znanym z piractwa. Cóż, prawdą jest, że bieliki, jak również wiele innych ptaków drapieżnych, zamiast samemu męczyć się polowaniem, wolą odebrać zdobycz kormoranowi lub czapli. Dodatkowym walorem są

Spośród wszystkich bielików, a jest ich osiem gatunków, największą popularność w symbolice państwowej zyskał bielik afrykański, który zagościł w herbach Zambii, Malawi, Namibii oraz Sudanu Południowego. By uzupełnić wyliczenie, wspomnę jeszcze, że Wyspy Salomona pieczętują się bielikiem malezyjskim (w towarzystwie innych zwierząt).

► nad gęsto zalesione tereny piastowskie, szczególnie w okrojonych granicach z początku XIV stulecia, sklejone z kilku dzielnic. Nie można natomiast wykluczyć, że oba ptaki były znane na monarszych dworach. Warto tu zaznaczyć, że choć ówczesne królestwo było biedne, najpewniej na dworze byli sokolnicy i ptaki, choćby po to, by świadczyć o statusie władcy. Ptaki były

polskiego godła – bielik wschodni, na co dzień mieszkawiec środkowej i południowej Azji. Przyznać trzeba, że ta kandydatura jest nader wątpliwa, zważywszy na skromniejsze rozmiary w porównaniu z naszym bielikiem. W czasach kształtowania się polskiego godła najprawdopodobniej bieliki były względnie pospolitymi ptakami, toteż mniejszy pobratymiec raczej był ciekawostką

się rarytu, jak nazywa się w gwarze ornitologicznej rzadkości, przyciąga tłumy ornitogapiów; ubicie takiego ptaka najpewniej szybko zostałoby wykryte, podobnie jak sprawcy). To tym ważniejsze, że bielik wschodni jest gatunkiem zagrożonym w skali globalnej.

Następnymi kandydatami są orliki krzykliwy i grubodzioby, oba zapewne znacznie popularniejsze osiem wieków temu niż obecnie, choć najprawdopodobniej nie zdawało sobie sprawy z tego, że to dwa odrębne gatunki (podziału dokonał dopiero w 1831 r. niemiecki zoolog Alfred Brehm, który poza badaniami naukowymi zajmował się szerzeniem wiedzy przyrodniczej, jego książki o zwierzętach przetłumaczono na wiele języków, w tym polski, a wznowiono jeszcze po stu latach). Oba, choć są prawdziwymi orłami, do tego rodzimymi, wydają się propozycjami wątpliwymi – w porównaniu z wcześniej omawianymi są znacznie mniejsze (dlatego po polsku nazywamy je orlikami), a co za tym idzie, ich ofiary będą mniejsze uznanie w oczach ludzi, którym polowanie nie było obce.

Kto więc jest naszym ptakiem narodowym? Cóż, jego wizerunek od samego początku był mocno stylizowany, nie sposób dziś dociec, który ptak był inspiracją. Zresztą czy to ma tak naprawdę znaczenie? Przyjmijmy po prostu, że to orzeł biały. I traktujmy nasze symbole plemienne z należytą powagą, bo żał patrzeć, jak przy okazji kolejnych turniejów sportowych wielkie firmy przerabiają polskie barwy na gadzety mające zwiększyć sprzedaż piwa lub czipsów. Albo jak wiszące na balkonach czy podmiejskich działkach białe-czerwone flagi, nieściągane miesiącami, a nawet latami, szarzeją i blakną, zmieniając się w jasnoszaro-brudnoróżowe. Albo jak na nowiutkim maszcie przed domem softysa powiewa flaga trzymająca się na jednym narożniku. Powiewa tak od ostatniej wichury, czyli ponad miesiąc. Flagą przy tym zawiera godło, widać urząd sołecki w Polsce jest placówką dyplomatyczną.

Największą popularność w symbolice państwowej zyskał bielik afrykański, który zagościł w herbach Zambii, Malawi, Namibii oraz Sudanu Południowego.

też częstymi podarkami w ramach misji dyplomatycznych. Mimo że nie miejsce tu na wspomnienie polskiego sokolnictwa, nadmienię iż najlepsze lata rodzime sokolnictwo miało jeszcze przed sobą. W sposób szczególny rozkwitło w epoce jagiellońskiej i republiki szlacheckiej, a upadło wraz z kresem naszego samodzielnego bytu w XVIII stuleciu. Wówczas w Europie nie było (ponoć) równych naszym hodowli, a konkurować z nami mogły jedynie narody arabskie i środkowej Azji.

Również z kolekcji sokolniczych mógł pochodzić inny kandydat do

menażeryjną niż inspiracją. O ile w ogóle był obecny na dworach w naszej części ówczesnego świata. Jako ciekawostkę napiszę, że zgodnie z zasadą prewencji bielik wschodni znajduje się w Polsce pod ochroną, z racji jednokrotnego zaobserwowania tego gatunku w Pszczynie, podczas II wojny światowej. Podobnie rzecz się ma z innymi rzadkimi, przynajmniej skrzydlatymi, gośćmi w naszym kraju. To dobrze, dzięki temu raczej nikomu nie przyjdzie do głowy ustrzelenie tego ptaka dla trofeum (tym bardziej że każde pojawienie



Konrad Malec

Zbyszek

Na przełomie zimy i wiosny pożegnaliśmy na cmentarzu ewangelicko-reformowanym w Warszawie Zbigniewa Matuszewskiego.

W karierze dyplomatycznej w MSZ był m.in. dyrektorem sekretariatu ministra Krzysztofa Skubiszewskiego, zastępcą ambasadora i ambasadorem w Londynie, przez sześć lat zastępcą stałego przedstawiciela Polski przy ONZ w Nowym Jorku, również w czasie członkostwa Polski w Radzie Bezpieczeństwa (1996-1997). Przez większą część okresu pracy w Nowym Jorku sprawował funkcję wiceprzewodniczącego Specjalnego Komitetu Narodów Zjednoczonych ds. Operacji Pokojowych. Po powrocie z Nowego Jorku został wicedyrektorem w kancelarii prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego. A po odejściu z MSZ był prezesem fundacji Narodowego Banku Polskiego.

Wspaniała kariera, choć naszym zdaniem najważniejsze stanowisko, jakie zajmował, to w latach 2001-2004, w centrali, dyrektor generalny służby zagranicznej. Czym wyróżnił się na tym bez wątpienia najtrudniejszym z zawodowego i ludzkiego punktu widzenia stanowisku w MSZ? Sprawował nadzór nad wprowadzeniem wiz dla wschodnich sąsiadów, rozbudową sieci placówek, kadr i procedur w tym zakresie. Działalność Zbyszka na rzecz przystosowania służby zagranicznej RP do członkostwa Polski w Unii Europejskiej docenił w 2014 r. ambasador przy UE Marek Grela. W rocznicowym tekście wyróżnił z nazwiska wyłącznie swoją zastępczynię Ewę Synowiec i właśnie Zbigniewa Matuszewskiego.

Nam jednak najbardziej podobało się w Zbyszku to, że miał tych samych kolegów przed odejściem, w trakcie i po odejściu ze stanowiska czy w ogóle ze służby zagranicznej. Wyróżnia go to na tle innych dyrektorów generalnych. Bardzo dobrze świadczy o nim, ale też o jego kolegach.

Dla mniej wtajemniczonych – dyrektor generalny ma kluczowy głos w sprawie obsady stanowisk na placówkach, jego decyzja wpływa na karierę tysięcy ludzi. Jeśli więc chodzi o kolegów, to zapewne wielu chciało skorzystać ze znajomości i załatwić sobie a to lepszą placówkę, a to wyższe stanowisko na niej, a to lepszy mnożnik. Dzięki wstrzeźliwości obu stron koleżeństwo trwało, w 90% przypadków również po odejściu Zbyszka z MSZ.

Co się złożyło na tak udaną karierę? Zbyszek miał w sobie gen „galicyjskiego” urzędnika, niezwykle solidnego, mimo że całe życie zawodowe, oprócz pobytu na placówkach, był związany z Warszawą i wydziałem prawa UW, którego był absolwentem i pracownikiem. Miał w sobie gen pracowitości i etosu zawodowego kojarzonego z protestantyzmem. Dlatego zapewne do końca życia nie rozumiał decyzji ministra Stefana Mellerę, podjętej bez żadnego uzasadnienia merytorycznego, który odwołał go, wraz z kilkunastoma innymi ambasadorami, ze stanowiska 31 grudnia 2005 r. Listę odwołanych mieli sporządzać wiceministrowie Stanisław Jerzy Komorowski, Janusz Stańczyk, Witold Waszczykowski i dyrektor generalny Jerzy Pomianowski. W kancelarii premiera działał wtedy Ryszard Schnepf, a sekretarzem stanu w MSZ była Barbara Tuge-Ercińska, która bardzo szybko zastąpiła Matuszewskiego w Londynie.

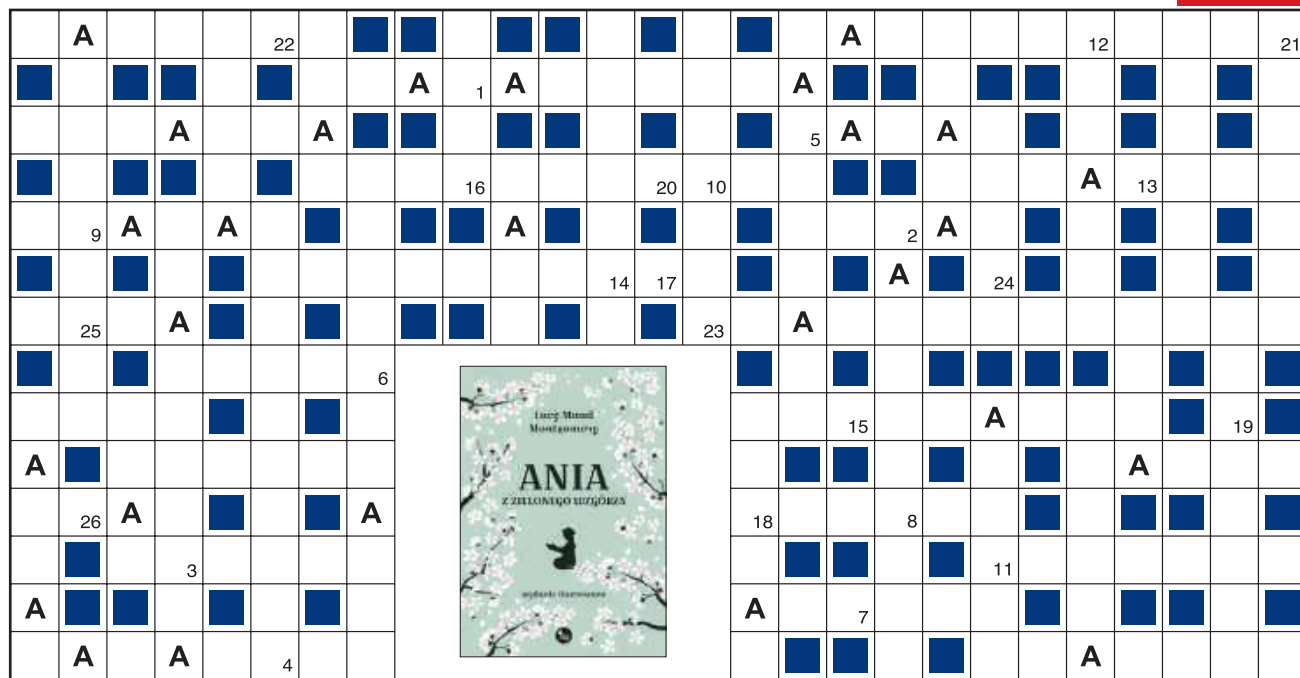
Wśród koleżanek i kolegów nazywano Zbyszka „Morsem” lub „Dystygowanym Morse”. Był człowiekiem bardzo postawnym, z lekką nadwagą, poruszał się do stojnie, powoli i dystygowanie właśnie. Ubrany zawsze w ciemny garnitur z kamizelką. Nosił się i zachowywał jak angielski džentelmen.

Zbyszku, pamiętamy o Tobie.

Attaché

Stoiska z produktami mlecznymi na centralnym targu w Kiszyniowie.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery A ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą końcowe hasło.

- kłaść go to uwydatniać
- poetyckie określenie Anglii
- listopadowy wieczór wróżb
- masywna ozdoba na nadgarstku
- często trójkątny ser z białą pleśnią

- zamordowany w idy marcowe
- psychologicznie o zbytnim przejęciu sobą
- specjalista od sztuki kulinarnej
- uliczny sprzedawca „Kuriera Warszawskiego”

- duża rzeki meandrującej
- umacnianie się lub zastyganie
- Kociniak albo Dziędziel
- piękność w koronie
- XIX-wieczna soczewka na jedno oko
- Fa z popularnej piosenki
- na wroga lub komuś uszu
- „fotograficzna” wada, mankament
- stalowe u opanowanego
- nędzne mieszkanie, brudny lokal
- na nią – na pociechę

- pręt z grotem rzucający przez lekkoatletę
- egipski zwój z tekstem
- Hyde w Londynie, Ujazdowski w Warszawie
- ta cecha łgarza przeraża
- pas płytkiego morza przy plaży
- klub Modricia i Benzemy
- ...Autonomiczny Trydent-Górna Adyga
- spis ilości towarów w sklepie
- medytacja, refleksja
- o locie godowym np. pszczoł
- urodził się tam Zdzisław Beksiński
- mieszka pod, nad lub obok

- skopolamina używana jako ...prawdy
- np. towot
- zawodnik, wyczynowiec
- medyczny aspirator
- świąteczny dzień odpoczynku w judaizmie
- układacz i rozwiązywacz łamigłówek
- złom, żelastwo
- kabel, donosiciel
- pracuje ze stiukiem
- niemowlece ubranko
- pontyfikalne nakrycie głowy papieża
- strzyżony przed domem
- zniewaga, plama na honorze
- ile i komu trzeba zwrócić
- coś na czarną godzinę
- judasz, wiarołomca

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1064”. Do rozlosowania książki „Ania z Zielonego Wzgórza” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 15 maja 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1061” z nr. 17: Nie ma złego bez dobrego.
Nagrody otrzymują: Zbigniew Nowak z Podkaminsos, Maria Przybylska ze Zgorzelca, Małgorzata Wójcik z Kielc.

PENETRACJE

ZDANIE

**PROF. ANDRZEJ
WERBLAN,**
POLITYK, UCZONY

Pod kierownictwem Józefa Teichmy Ministerstwo Kultury nabrało wielkiego znaczenia i prestiżu. Z niewielką przerwą kierował nim przez osiem lat. Prowadził światłą i liberalną politykę kulturalną, osłaniał ludzi kultury przed idiotyzmami cenzury oraz uzurpacyjnymi zamachami potężnego partyjno-rządowego centrum kierowania propagandą. Teichma ma w historii zapewnione miejsce najlepszego w Polsce sternika polityki kulturalnej państwa od niepamiętnych czasów. I godne miejsce w tradycji politycznego realizmu oraz zdrowego rozsądku, tradycji w dziejach Polski wyjątkowo rzadkiej i zatem odpowiednio cennej.

ANGORA

SZYMON ZIÓŁKOWSKI,
MISTRZ OLIMPIJSKI
W RZUCIE MIŁOTEM

Trener, podobnie jak ja, nie był „łatwy w obsłudze”. Bywał apodyktyczny, setki razy iskrzyło między nami, wiele spraw nam nie pasowało. Z jednej strony Czesław Cybulski to fantastyczny szkolenowiec, ale jako człowiek to postać tragiczna. Despota, na każdym kroku pokazujący swoją wyższość nad zawodnikiem. Nigdy nie zapomnę jego zachowania, kiedy poinformowałem o śmierci mojego taty. Trener powiedział: „No i co z tego?”. Po pogrzebie normalnie musiałem pojechać na trening i do dzisiaj nie potrafię zrozumieć takiego zachowania. Nie tylko ja, lecz także wielu innych sportowców miało „zryte berety” po współpracy z tym szkoleniowcem.

PANI TOMASZ LIPÍŃSKI,
MUZYK ROCKOWY

Zrzuciłem z siebie ponad 40 lat budowania wizerunku. To kawał czasu. Musiałem to zrobić, bo coraz mniej wygodnie czułem się w kostiumie człowieka sprzed lat. Gdy zakładałem pierwszy zespół, miałem 24 lata i zupełnie inną perspektywę. Dziś mam pobłażliwy stosunek do siebie z przeszłości, bo widzę teraz, jaki byłem naiwny. Gdy myślę o przyszłości, zupełnie inne rzeczy są dla mnie ważne. To już nie jest moment na planowanie kariery, tylko czas na dotknięcie spraw ostatecznych. Dla mnie jako buddysty myśl o śmierci jest naturalna. A śmierć jest w jakimś sensie ukoronowaniem życia. Chcę przejść przez ten proces możliwie najmniej boleśnie. Cokolwiek mnie czeka.

MYSTYL

**DOROTA
POMYKAŁA,**
AKTORKA

Ojciec był dla mnie wzorem mężczyzny! Pamiętam, jak w Barbórkę zakładał galowy strój i czapkę z pióropuszem! Silny, uczciwy. Nie bał się niczego. Jak coś postanowił, musiało tak być. Autorytarny typ. Ale mama uznawała jego dominację, uśmiechała się do ojca z czułością. Rodzice zapewnili mi bez troskie dzieciństwo i wsparcie. Często słyszałam: „Córeczko, jesteś wspaniała!”. Gdy wracałam ze szkoły, obiad czekał na stole, choć rzadko dwa dania. Uwielbiałam mamine placki ziemniaczane. Ojciec mamę szanował, oddawał jej całą pensję, ona oszczędnie gospodarowała.

Aby język giętki...

EDYTA GÓRNIAK O SHOW-BIZNESIE

Jest to siedlisko ludzi w dużym stopniu chciwych, próżnych, kłamliwych, manipulujących. Jest bardzo dużo złodziei, mnóstwo narkotyków i alkoholu.

JAN ENGLERT O AKTORSTWIE

Jak zaczynałem uczyć, mówiłem: „najpierw praca, potem talent, na końcu szczęście”. A teraz mówię: „najpierw szczęście, potem praca, a na końcu talent”.

JACEK WASILEWSKI

O POTRZEBIE ZMIANY JĘZYKA

Stwierdzenie samotna matka zakłada, że czegoś jej brakuje. Mówiąc samodzielna matka, unikamy oceny, a nawet podkreślamy, że ta osoba daje sobie radę.

GRAŻYNA TORBICKA

O MARIĘ DĘBSKIEJ W ROLI KALINY

Pracowaliśmy z Marią nad energią seksualną Kaliny, czyli kobiety wolnej, dzikiej, namiętnej, zmysłowej, bez krzty poczucia winy.

PAULINA HOLTZ

O POMOCY UKRAIŃCOM

Tkliwość odkładałam na bok, dziś ważniejsza jest konkretna pomoc niż rozczulanie się.

JANUSZ GAJOS

O JURKU OWSIAKU I WOŚP

Jestem przekonany, że uczestniczę w czymś kryształowym. Wiem, że nie wydarzy się nic, z czym źle bym się czuł.

EMILY RATAJKOWSKI

O BYCIU SEKSOMBOMBA

Czerpałam wiele korzyści z decyzji, by uczynić swoją seksualność źródłem zarobków.

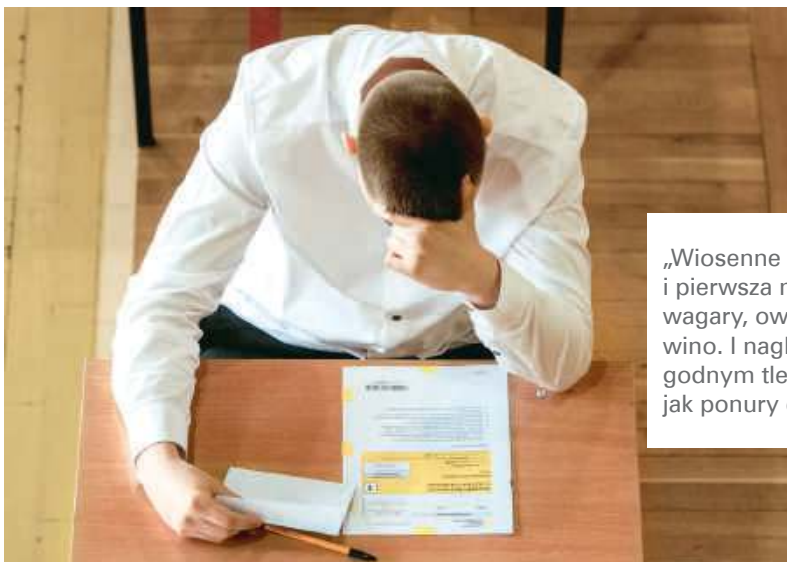
JUSTYNA KOWALCZYK-TEKIELI

O OBOZACH SPORTOWYCH

Między obozami miałam zazwyczaj osiem dni wolnego, dwa z nich zajmowało mi pakowanie się na następny obóz.

KATARZYNA BONDA O RYTUAŁACH

Lubię świece, kupuję je zawsze, gdy jestem w cerkwi, obdarowuję nimi przyjaciół.



„Wiosenne wody i pierwsza miłość, wagary, owocowe wino. I nagle na pogodnym tle matura jak ponury cień”...



CYTATY

PROF. ANNA PACZEŚNIAK, politolog,
Uniwersytet Wrocławski

Deklaracja: jesteśmy antypisem i przywrócimy normalność, już nie wystarczy, a jeśli, to bardzo niewielkiej części elektoratu.
„Odra”

PROF. GERHARD ROTH,
neurobiolog, badacz mózgu
Mózgi człowieka i szympansa wykazują bardzo duże podobieństwo, a różnica między ich genomami nie przekracza 1%.
„Charaktery”

RAFAŁ WOŚ,
publicysta
Nie pozwalając na zrobienie z Ukraińców taniej i dyspozycyjnej siły roboczej dziś, zmniejszamy jutrzejszy potencjał konfliktów.
„Tygodnik Solidarność”

THOMAS PIKETTY,
ekonomista francuski
Nasze życie i przeżycie w o wiele większym stopniu zależy od pracy pielęgniarki czy kasjerki niż maklera giełdowego.
„Forum”

Na szczytę na Srebrny Glob

Na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie można już się kształcić w zakresie kosmicznego górnictwa. Unikatowe w skali świata studia II stopnia, uruchomione w ramach kierunku Geoinżynieria i górnictwo otworowe, mają w programie techniczne aspekty eksploatacji surowców w warunkach pozaziemskich, ale także m.in. astrofizykę, planetologię, ekonomikę złóż kosmicznych oraz geologię Księżyca. O dwóch takich, co ukradli ten ostatni, sylabus dyplomatycznie milczy.

Co umie robogryzoń

Chińscy inżynierowie pod wodzą prof. Qing Shi z Pekiniego Instytutu Technologii opracowali i doskonalą robotycznego szczura. SQuRo, przypominający nie lubiane zwierzę m.in. pyszczkiem, rozmiarami i rzecz jasna długim ogonem, potrafi m.in. zawracać niemal w miejscu, podnosić się po upadku oraz przeciskać przez wąskie przejścia. Naukowcy mają nadzieję, że w przyszłości roboszczury będą wyszukiwać ocalałych z katastrof. Oczywiście o ile na ich drodze nie staną (robo)koty...

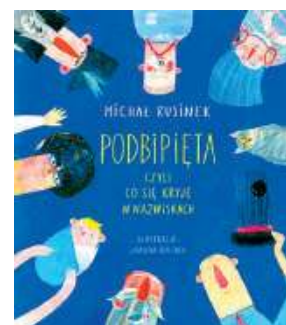
Zastrzyk zastrzykowi nierówny

38-letni antyszczepionkowiec z USA wstrzyknął sobie moc i lewdo przeżył. Christopher Key, który w mediach społecznościowych głosił wyższość urynoterapii nad szczepieniami ochronnymi, nie przepada za smakiem produktu własnych nerek, dlatego zdecydował się na prozdrowotną iniekcję. Dokonał jej na wizji, w duecie z Edwardem Groupem, guru zwolenników tzw. medycyny alternatywnej. Rzekomo zbawienna procedura zaowocowała u naszego bohatera m.in. ostrą niewydolnością oddechową, co mogło się skończyć tragicznie. Na szczęście dla Keya selekcja naturalna postanowiła dać mu jeszcze jedną szansę.

CO SIĘ KRYJE W NAZWISKACH

W naszych nazwiskach kryje się historia, nie tylko prywatna – także historia miejsca, z którego pochodzi nasza rodzina, zawód wykonywany przez jakiegoś naszego przodka albo jego przezwisko. Skąd się wzięło nasze nazwisko?

Palikot – to nazwisko zagadka. Prawdopodobnie nie pochodzi od okropnej czynności podpalać kotów (choć „koty” mówiono także na tzw. zgrabki, czyli resztki zboża zgrabione z pola). Być może chodziło o wybuchowość, bo „palikotami” nazywano armaty. Nie można też wykluczyć, że nazwisko to wzięło się z języka greckiego: w starożytnej grece przymiotnik παλίκωτος (palinkotos) oznaczał tyle co „wrogi” lub „niepomysłny”. Tak czy owak, nazwisko to wzięło się z jakiegoś przezwiska.



Fragment z książki
Michała Rusinka
Podbięta, czyli co się kryje w nazwiskach,
Znak Emotikon,
Kraków 2022



Influencerka Isabelle Boemeke na gali w Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku, której temat brzmiał w tym roku: „W Ameryce. Antologia mody”.

Wyłączona żona

Ciężkie chwile przeżywa inny 38-latek, Akihiko Kondo, któremu skasowano... małżonkę. Japończyk pozostawał w stałej relacji z wirtualną dziewczyną Hatsuune Miku, będącą częścią zabawki wchodzącej w użytkownikom w głosowe interakcje. Jej producent, firma Gatebox, po latach wyłączył usługę online, za sprawą której gadżet „ożywał”. Kondo, który w 2018 r. zorganizował ceremonię zaślubin ze swoją wybranką, tęskni za codziennymi rozmowami i nie traci nadziei na ponowne spotkanie. Zespół PRZEGŁĄDU i wszystkie nasze redakcyjne komputery trzymają kiuki!

Maya zdemaskowana

Szczęścia w miłości nie ma także Roberto Cazzaniga, były reprezentant Włoch w siatkówce. Sportowiec przez 15 lat utrzymywał internetową znajomość z Mayą Mancini; z czasem doszło do zaręczyn, ale nie do spotkania na żywo, które miał uniemożliwiać stan zdrowia kobiety. Siatkarz cały czas wspomagał ukochaną finansowo, a gdy zaczął jej odmawiać, zrewanżowała się groźbami. Zgłoszenie sprawy na policję doprowadziło do odkrycia, że Mancini to w rzeczywistości niejaka Valeria Satta, a przesyłane przez nią zdjęcia przedstawiają znaną brazylijską modelkę Alessandrę Ambrosio. Mężczyzna walczy o odzyskanie pieniędzy, a my życzymy mu zwycięstwa – choćby w piątym secie!



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogódowski,
Jan Ordyński, Rafał Piłkuła, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiliłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczała (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzytary: Magdalena Gluska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszkiw, ul. Pułtusa 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WKBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

#PatręCzujęRysuję



Marta Frej Memy

#PatręCzujęRysuję to wystawa zbudowana z fragmentów kobiecej codzienności, czasem zaskakujących i zabawnych, niekiedy trudnych i bolesnych. Z codziennych obserwacji rzeczywistości – prywatnej, publicznej, medialnej, politycznej. Artystki: Maria Apoleika, Matylda Damińska, Magdalena Danaj, Marta Frej, Małgorzata Halber, Karolina Plewińska, Agnieszka Szczepaniak, Kamila Szczesiak, Monika Szydłowska i Marta Zabłocka, korzystając z żartu jako narzędzia pozwalającego oswoić świat, wielokrotnie podają w wątpliwość rządzące nim zasady.

Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego
Warszawa, ul. Koźia 11
do 21 sierpnia



Magdalena Danaj, Porysunki



Magdalena Danaj, Porysunki



Karolina Plewińska, Szarosen



MAROKAŃSKI KANDYDAT DO OSCARA

RYTMY CASABLANKI

*POTĘŻNY HYMN
WOLNOŚCI I NADZIEI
POKOLENIA Z*



PREMIERA 13 MAJA

TYLKO W KINACH STUDYJNYCH

AURORA

eprasa.pl cc2302d197



FUNDACJA
DAJEMY
DZIECIOM
SIŁĘ

**Uciekły przed wojną, ale nadal
są narażone na krzywdzenie**

**Chrońmy dzieci
w kryzysie uchodźczym**

standardy.fdds.pl